

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 10 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 5 (332) • ROK XXIX • MAJ 2023



MAJOWE SNY
LĘKI MAJOWE

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

Johann Strauss
Zemsta Nietoperza
operetka w 3 aktach
tekst polski: **Julian Tuwim**

Jedna z najsłynniejszych operetek wszech czasów, od niemal 150 lat goszcząca na deskach najlepszych teatrów świata, zostanie wystawiona we współpracy z Akademią Muzyczną im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Uczelnia zapewni obsadę złożoną ze studentów Wydziału Wokalno-Aktorskiego pracujących pod kierunkiem doświadczonych pedagogów: reżysera **Grzegorza Eckerta**, choreografa **Artura Fredyka** i pianisty-korepetytora **Mateusza Lasatowicza**. Scenografię i kostiumy stworzyła **Katarzyna Płaskowicz** z Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Młodym artystom towarzyszyć będzie **Orkiestra MASO z Charkowa** pod batutą **Jurka Dybała**. Osadzona w XIX-wiecznym podwiedeńskim kurorcie akcja komedii pomyłek obfituje w salonowe intrygi, drobne i nieco większe występki, wygórowane ambicje rezolutnej służby, a wszystko to w oparach karnawałowego szaleństwa – taki zestaw zapewni doskonałą rozrywkę każdemu, nie tylko miłośnikom teatru muzycznego. Spektakle odbędą się w sali koncertowej Miasta Ogrodów w dniach **20 i 21 maja 2023 o godz. 18.00**.

Bilety w cenie **30 zł (15 zł z Katowicką Kartą Mieszkańca)** do nabycia w kasie Miasta Ogrodów, czynnej pn–pt w godz. 10.00–17.00 i bezpośrednio przed spektaklami, oraz na interticket.pl i kupbilecik.pl.

Partner:
Akademia Muzyczna w Katowicach
Patronat honorowy:
Prezydent Miasta Katowice Marcin Krupa
Patronat medialny:
COMTV
miesięcznik „Śląsk”
silesiakultura.pl
mojekatowice.pl
Sponsor:
Stowarzyszenie Muzyka Piękna

O wolność nauki i nauczania

Ankieta

W lipcu 2023 r. minie pięć lat od przyjęcia przez Sejm RP nowej ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, wprowadzającej radykalne zmiany w funkcjonowaniu uczelni wyższych. Przez środowisko akademickie ustawa została nazywana „ustawą 2.0”, „reformą Gowina”, a także „deformą” i jest oceniana ambiwalentnie. Zwolennicy „ustawy 2.0” podziękują opinię, że we współczesnym państwie uczelnie wyższe i nauka powinny być zarządzane centralnie, planowo, w systemie grantowym i powinny z sobą rywalizować na poziomie europejskim. Przeciwnicy „deformy Gowina” twierdzą, że zniszczyła ona tradycję polskich uczelni, ograniczyła demokrację zarządzania instytucjonalnego, przenosząc władzę w ręce nominatów, a pod pozorem samodzielności badawczej rozerwała więzi ludzkie. Dyskusja na ten temat wciąż trwa. Postanowiliśmy więc i my zadać wybitnym postaciom polskiej nauki (i regionu) pytanie, jak po pięciu latach oceniają Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Na ile ustawa określiła dobre, a na ile złe warunki badań i nauczania. Prosimy o podzielenie się opinią na temat stanu aktualnego Akademii (rozumianej całościowo jako szkolnictwo, nauka i środowisko), troski o jej przyszłość, a także o stan demokracji pionowej, rozumianej w kategoriach wspólnotowej obecności, którą ustawa radykalnie zawężyła. Wypowiedzi zainteresowanych ankietą zaczniemy drukować od numeru czerwcowego.

Nr 5 (332). Rok XXIX. MAJ 2023

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca redaktora naczelnegoTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztukaTOMASZ KOWALSKI
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA
KorektaBOGUMIŁA CYROŃ
Kierownik biuraStali współpracownicy:
EWA BARTOS

JAROSŁAW KAPSA

WOJCIECH LIPOWSKI

ZBIGNIEW LUBOWSKI

PAWEŁ MAJERSKI

KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
PIOTR SKOWRONEK
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WAROŃSKA-GĘSIARZ
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Felietoniści:

MARIAN G. GERLICH

PIOTR GRELLA

RYSZARD JASNORZEWSKI

ZBIGNIEW KADŁUBEK
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MALICKI
JAN MIODEKADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. z o.o.
ul. Pivna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:

Bezpośrednio w Biurze
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 120 zł, półroczna – 60 zł, kwartalna
– 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 10 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

2 Marian Kisiel CZWARTA NAD RANEM

4 Piotr Skowronek ORGANY WIERZĄCYCH. ROZMOWA Z PROF. JULIANEM GEMBAŁSKIM
10 Krystian Węgrzynek DWIE STRZAŁY WILHELMA TELLA ALBO O JĘZYKACH TEATRU
ŚLĄSKIEGO16 Andrzej Śnioszek MARZENIA ŚCIĘTEJ GŁOWY. ROZMOWA Z PIOTREM GRELLĄ-
MOŻEJKĄ

20 Wilhelm Szewczyk PAMIĘTNIK (15) Z rękopisu opracował Marian Kisiel

24 Anna Gurbicz, Witold Turant DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (10)

28 Jacek Okoń POETA JÓZEF KRUPIŃSKI I WĘGLOWE MANUSKRYPTY

34 Wojciech Lipowski BYĆ KIMŚ INNYM

38 Stefan Zabierowski JOSEPH CONRAD I PROFESOR JULIAN KRZYŻANOWSKI

43 Jacek Okoń POETA ANDRZEJ NIEMOJEWSKI – URZĘDNIK TOWARZYSTWA
GÓRNICZEGO

49 Ryszard Bednarczyk CZEGO MORCINEK SZUKAŁ W MIEŚCIE GWARKÓW?

50 Zbigniew Lubowski PERŁA SPLAMIONA KRWIĄ

54 Piotr Zaczekowski ŁĘK JAKO GATUNEK LITERACKI (II)

58 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek „ADA” NABOKOVA DO GRY ZAWSZE GOTOWA!

74 Roman Wyborski SAPERE AUSO O WŁODZIMIERZU KOLMANIE

78 Jan Cofałka PIOTR GAWRON 21 STYCZNIA 1943 – 11 STYCZNIA 2023

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

68 GALERIA: KAROL WIECZOREK – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

3 Barbara Gruszka-Zych WIERSZ NA OTWARCIE

14 Barbara Gruszka-Zych WIERSZE

22 Konrad Kitliński FALE

40 Gabriel Koch MAKROMENSJA

44 Witold Turant WIERSZE

66 Marek Piechota ZE STARYCH I NOWYCH PRZYOKAZYJEK (4)

73 Zenon Dytko WIERSZE

76 Henryk Cierniak WIERSZE

FELIETONY

9 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko ROMANZA PER ROMAN

27 Zbigniew Kadłubek LUDZIE Z INNEJ PLANETY

32 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski DROGA KRZYŻOWA
I MORDERSTWO NA SYCYLI37 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSzczyzna Jan Miodek „PRZÓDZI MY MIYSZKALI
W FAMILOKU”46 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich PRAWDZIWE WSPÓŁCZESNE ŚNIADANIE
WIELKANOCNE

47 ZAPISKI REZONERA Krzysztof Łęcki Z PIASKOWNICY

48 NOTATNIK SPORTOWY Ryszard Jasnorzewski UNIK ROTACYJNY

56 BIAŁE KRUKI Jan Malicki DOMAN WIELUCH I JEGO CHIŃSKO-POLSKI SŁOWNIK

KSIĄŻKI

61 Krystyna Heska-Kwaśniewicz „TRZYDZIEŚCI ŻYCIORYSÓW” WANDY POŁTAWSKIEJ

62 Ryszard Bednarczyk DALEKO OD CZECHŁA

63 Natalia Zientek ŚMIECH PRZEZ ŁZY

64 Piotr Skowronek MIĘDZY NAMI

65 Grzegorz Hajkowski KRÓTKO, NAJKRÓCEJ

79 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:

Karol Wieczorek, KOGUT, akryl, 2017





Czwarta nad ranem

1

Maj. — Dla mojego pokolenia zawsze będzie wspomnieniem zakończenia drugiej wojny światowej. Otwieram Elementarz wojenny Bertolta Brechta. Czytam: „Na murze napis kredą: / Chcą wojny. / Ten, co to napisał / Już poległ” (przeł. Andrzej Kopacki).

2

Nowy polonizm. — Kochamy sentencję Zagłoby z Pana Wołodyjowskiego: „Nie ma takowych terminów, z których by się viribus unitis przy boskich auxiliach podnieść nie można”. Co kochamy? Kochamy ufność, która w powszechnym warcholstwie pokładana jest w Bogu? Kochamy pychę, nadającą wspólnocie warcholów nierozrywalność? Kochamy wiarę, że warchołom uda się podnieść z każdej opresji? Kochamy, bo nie mamy nic innego do kochania? Gdybyśmy odrzucili polskie warcholstwo, kim byśmy się stali? Na jakich fundamentach zbudowalibyśmy „nowy polonizm” — polską religię patriotyczną?

3

Jacek Rykała, Żydom z Raciborskiej, 2018, olej, kolaż, 103 x 91 cm. — Deski, dykta. Zastania się nimi pustostany, okna. Co jest otwarciem na niebyt, należy zakryć. Pustka jest zasklepiana dyktą, zabijana deskami. Czy można wierzyć w Mickiewiczowskie „bramy na wciąż otwarte”? W miejscu, które minęło, gdzie nie ma życia, jest to niemożliwe. Otwarta brama zaprasza na podwórko, do świata, jakiego już nie ma. Podwórko jest rozświetlone. W oddali widać chlewiki zbudowane z białych cegieł. Cegły są filarem stabilności. Co jest z cegły, jest trwałe. Ale światło też jest trwałe. Pojawia się zawsze, nikogo nie oszczędza. Obnaża nędzę i głosi pochwałę wspaniałości. Światło jest wiecz-

ne. Oddzielone od ciemności, jest dobre. Jacek Rykała wierzy w światło. Bez światła (na innych obrazach) nie byłoby prześcieradeł suszących się na sznurkach, nie byłoby otwartych drzwi. Kiedy nadciąga ćma, zwiastun deszczu, należy szybko zamknąć bramę, ściągnąć ze sznurków prześcieradła, majtki, koszule. Artysta zatrzymuje chwilę. Chwila trwa, jest wieczna.

4

Rozłączność. — Spisuję notatki o godzinie, o której cierpiący na bezsenność kładą się spać. „Nikomu nie jest dobrze o czwartej nad ranem” — pisała Wiśława Szymborska. Ale właśnie dlatego, że dzień otwiera się na godzinę piątą i zapalają się pierwsze światła w oknach, mogę powiedzieć wątpięmu ciału: trwaj i nie gódź się na to, co ci będą mówić inni. — Dlaczego to, co napisałem musi się uzupełniać? Nic podobnego. Nic, co napisałem, nie musi dotyczyć tego, co już jest. W świecie myśli istnieję — jak romantycy — we fragmentach, lub — jak ekspresjoniści — w deformacji formy. Cokolwiek mnie pozytywnie doświadcza, równie dobrze mnie opuszcza, lekceważy. Nic się z niczym nie komponuje. Istnieję w rozłączności, ponieważ rozłączność jest oznaką mojej wolności. — Czwarta nad ranem wątpi i popycha mnie w depresję. Ale minuta na piątą dodaje sił, wpuszcza światło do ciemnego pokoju.

5

Archiwa. — Najpierw archiwum nieboszczyka. Można w nim mościć się do woli, wyciągać strzępy, fragmenty, nieukończone eseje, dopisywać przypisy do starych słów, przykurzonych nazwisk, nierozjaśnionych spotkań. Zagłębnego w takie mixtum nazywamy edytorem. Nieboszczyk mu nie przeszkodzi w mozolnej pracy rekordacji. — A co, jeśli nie ma nieboszczyka? Jeszcze, bo przecież kiedyś będzie! Czy przyszły nieboszczyk nie może wyjąć ze swojego archiwum różne rzeczy ukończone, lecz słabo przylegające do siebie? Może. To jest ta sama anamneza. Autor jest budowniczym tomu. A ci, jakby powiedział Czesław Miłosz, „którzy czekali błyskawic i gromów”, niech będą „zawiedzeni”. Bo żadna książka nie jest zapowiedzią końca świata, ani go nie zmienia. Książka jest zazwyczaj zbiorem szkieł bez adresu.

6

Lektura. — Stale czytam, byśmy nakłaniali do lektur. Pierwsze przykazanie dekalogu humanisty, z którego niewiele wynika: „Czytaj!” Samo czytanie nie zmienia czytelnika, ani nie zmienia świata. Czytelnik bez przewodnika jest podobny do ślepca, który ciągnie w przepaść kulawego. Mówi: „Podążaj za mną, za-

ufaj moim nogom; choć jesteś chromy, obaj dotrzemy do celu”. Chromy przyjaciel powinien odpowiedzieć: „Zaufaj mojemu spojrzeniu; tam, gdzie twój wzrok nie sięga, doprowadzę cię mimo swojego kalectwa”.

7

Unde malum? — Odwieczny spór: skąd bierze się zło? Przed ćwierćwieczem odżył za sprawą polemiki Czesława Miłosza z Tadeuszem Różewiczem. Obaj tak samo zatytułowali swoje wiersze: Unde malum. Różewicz w zakończeniu swojego Recyklingu twierdził, że „zło bierze się z człowieka / i tylko z człowieka”; słowo, którym posługuje się tylko człowiek, „może być narzędziem zbrodni”. Miłosz oponował w polemice: struktura świata jest stałym podziałem na dobro i zło: „zniknie ze świata zło / kiedy zniknie świadomość” — Czy dzisiaj umiemy zająć miejsce po którejś stron sporu?

8

Wiersz dla tych, którzy często nie pamiętają o sobie. — Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Pszczoła. — „Czyż na to poleciałam w tak dalekie strony, / by zdobyć jeszcze trochę żalu, / tej esencji, / tego gorzkiego miodu, / którym przepelniony / będzie ul złoty / mojej egzystencji?”.

9

Pamiętajmy. — Pamiętając o wojnie w Ukrainie, o (zacytuję Józefa Wittlina z Hymnów) „krzyku ginących batalionów”, o drgającej „gorącości pożarów / otchłananych piekieł”, o dławiącej „ohydzie krwawych, zatrutych oparów”, pamiętajmy również o naszych przeszłych wojnach, zwłaszcza o tej ostatniej, która zmieniła bieg historii. Jeżeli cokolwiek rozumiemy z lekcji przeszłości, niech to będzie naszą przestrogą dla przyszłych pokoleń. Egoizm odzywający się przy retoryce altruizmu; niechęć wypływająca spod woalki serdeczności; cwaniactwo, które objawia się w chwilach najwyższej ofiarności — niech odejdą „viribus unitis przy boskich auxiliach” w niebyt. Pamiętajmy (fizycznie, cieleśnie, całym sobą, a nie słownie, dla pozorów i na odczepne) o piątym błogosławieństwie na Górze, gdzie miłosierdzie oznacza nie co innego, jak miłość.

10

Myśl miesiąca. — „Kochaj płomień, który niweczy / i twą ziemię przepala jak kładkę / tak się rodzi pochmurny i męski / bohater. // Kochaj pocisk z niedobrego kruszcu, / gdy nad włosem ci leci prosty; / niejednego on przecież nauczył / miłości. // I człowieka, w którego godzisz / mrużąc oko pod blask broni siny, / on nauczył boleśnie twą młodość / ojczyzny” (Tadeusz Gajcy, Widma).

Marian Kisiel

kiedy leżymy bliżej siebie niż nieba
bo stąd go nie widać
tyle w naszych ciałach błękitu z wysoka
tyle cieni wędrujących po karku
i w miejsce gdzie lubię kłaść głowę
najbardziej na ziemi
bo wtedy od ziemi
najmocniej mnie osłaniasz
od zimna i mgły zaczajonych w kącikach traw
i pod drzewami zmęczonymi staniem
jak zdołał się uchować ten twój kawałek ładu
nietknięty żadną głową
choć przecież musiały tu leżeć
ze swoimi snami
lecz teraz nie śpimy
przitulona do twojej piersi słyszę
jak biegnie do mnie twoje serce
jak uderza w to co urosło w ścianę
jak zamiast kilofa rozbija zwały ciemności
by na chwilę oświetlił nas promień

Jest Pan Profesorem muzykiem, kompozytorem, wirtuozem organów. Często zarówno tożsamość etyczną, jak też estetyczną wynosimy z domu. Jaki był Pana dom, korzenie...

To był typowy śląski dom w Siemianowicach, gdzie muzyka była zawsze obecna. Oboje rodzice niezawodowo grali. Ojciec był urzędnikiem w przemyśle węglowym, ale przed wojną działał w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej i grał na paru instrumentach. Był także pasjonatem muzyki klasycznej. Posiadał płyty i już jako dziecko słuchałem Beethovena. Mama dobrze grała na fortepianie. Kiedy miałem 5 lat, razem z rodzeństwem posłano nas na lekcje do pana Gansińca, wykształconego muzycznie nauczyciela. Wydaje mi się, że był on krewnym wybitnego naukowca Ryszarda Gansińca, który również pochodził z Siemianowic. Rozpocząłem te lekcje w 1955 roku i u niego stawiałem pierwsze kroki w grze na fortepianie. Byliśmy także osłuchani z muzyką poprzez rodzinę – np. babcia działała przed wojną w chórach śląskich, które mocno pielęgnowały tradycje patriotyczne. Kultura muzyczna chórów była wówczas siłą Śląska. U nas w domu była również zawsze atmosfera sprzyjająca uprawianiu muzyki, na przykład urodziny były znakomitą okazją do wspólnego śpiewu, a także do popisów dzieci. Później w 1959 roku przeprowadziliśmy się do Katowic i wtedy poszedłem do Państwowej Szkoły Muzycznej im. Mieczysława Karłowicza.

Czy od razu Pan Profesor wiedział, że taki zawód wybierze?

Wtedy nie myślało się o tym jak o zawodzie, ale moje zainteresowania zostały ukierunkowane w stronę muzyki. Szkoła muzyczna trwała aż do matury, którą zdałem w katowickim Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Kopernika. Dyplom obroniłem w 1970 roku i poszedłem na studia muzyczne. Wtedy byłem już pewny, że muzyka będzie moim zawodem. Równie wcześnie zainteresowałem się grą na organach. Mój katecheta, ksiądz Anzelm Skrobol w Katedrze Chrystusa Króla w Katowicach, gdzie byłem ministrantem od 1959 roku, zachęcał mnie do akompaniowania na fisharmonii ministrantom, kiedy uczylimy się jakichś nowych pieśni. Stwierdził, że organista katedralny będzie mnie uczył gry na organach. Jako młody pianista miałem już wówczas dobrą formację klawiszową, dlatego nie sprawiało mi to trudności, a byłem bardzo zainteresowany organami. Jakiś wpływ na to miały także nasze rodzinne wakacje. Często z rodziną wyjeżdżaliśmy do Kudowy Zdroju w ramach Funduszu Wczasów Pracowniczych i kiedy w niedzielę szliśmy do kościoła, zawsze zerkałem na organy. Ojciec czasami podchodził do organisty i mówił, że chłopak interesuje się instrumentem



Organy wierzących

Z prof. JULIANEM GEMBALSKIM

rozmawia PIOTR SKOWRONEK

Organowym pasażem wiara przenika przez serce...

...O nieśmiertelność modlić się trzeba nawet w godzinę śmierci
 Jak deszcz równe i ciche dźwięki pokój niosą wierzącym w Panu,
 Rozkwitają jak kwiaty – kolejno światło spływa w kościół drewniany,
 Grzmiał fugą Gniew Pański wieszczą, aż się trzęsie strop ponad chórem...
 ...Znów się wodą spokój przelewa, płyną dźwięki nieprzerwanym szumem
 Chrystusową męką i miłość – radość wieszczą – ponad każdą żałobą:
 ...Idź moimi śladami, zamieszkać jak w obszernym domostwie w Tobie...

Krystyna Krahelska

i prosił, czy mógłby zobaczyć go z bliska. To mnie bardzo wspierało. Później, od 1964 roku, zacząłem się uczyć profesjonalnie u organisty Katedry katowickiej. Był to wybitny muzyk, pan Stanisław Kopernok. On mnie wprowadzał w tajniki gry na organach. Kiedy w 1970 roku poszedłem na studia, zacząłem się uczyć gry organowej regularnie, równocześnie studiując teorię i kompozycję. Początki w zasadzie związane były z fortepianem, ale ja traktowałem to integralnie. Uważałem, że szerokie wykształcenie muzyczne jest w tym zawodzie niezbędne, co zaowocowało działalnością na kilku płaszczyznach: gry instrumentalnej, kompozycji i teorii muzyki.

Pamięta Pan Profesor swój pierwszy kontakt z organami?

Ojciec znał się z organistą z Siemianowic i myśmy zawsze czekali po mszy, aż on coś zagra. Mnie fascynował dźwięk. Pierwszy kontakt techniczny z instru-

mentem miałem prawdopodobnie w czasie tych wakacji, gdzieś tam na Dolnym Śląsku. Później zacząłem interesować się konstrukcją organów. Już jako uczeń poszukiwałem książek o organach, robiłem wypisy, a z czasem zacząłem budować z kartonu piszczałki. Wtedy poznawałem organy od strony technicznej. Istotna była jeszcze jedna rzecz. Ojciec jeździł czasami na delegacje do Warszawy i raz przywiózł płytę z toccatą d-moll Bacha, tą najślawniejszą. To była płyta starego typu, jeszcze węglowa, bo potem się stłukła. Mógł to być rok 1960. Ojciec się nią zachwycał. Leciąca w kółko i mnie również zafascynowała. To był jeden z pierwszych utworów organowych, jakie usłyszałem. Zacząłem poszukiwać takich utworów w rodzinie i pamiętam, że gdy dostałem plik nut po wujku Józefie (to był brat mojej babci ze strony mamy), zacząłem ćwiczyć z tych nut. Wujek był organistą w Siemianowicach w latach dwudziestych. Kiedy miałem 11 lat

ciotka podarowała mi nuty i fisharmonię. W czerwcu, bo wtedy mam urodziny, mama mnie budzi i mówi: „Wstawaj! Ciotka przywiozła ci fisharmonię”. To było coś wspaniałego. Miałem ją w pokoju, który dzieliłem z braćmi. Wtedy poczułem się jak organista, kiedy rozczytywałem otrzymane nuty, mogłem akompaniować i grać. Potem były wspominane organy katedralne i po dwóch latach ks. Skrobol niemal przymusił mnie do lekcji u pana Kopernoka, którego zacząłem bardzo szybko zastępować. Grałem w Katedrze bardzo dużo. Czasami na wyjazdach improwizowałem, ale grałem głównie utwory fortepianowe Bacha. Kiedy zacząłem studia, wszystko zaczęło się bardziej krystalizować. Wcześniej jednak zostałem organistą Kościoła Akademickiego i grałem w krypcie Katedry na fisharmonii, bo organy postawiono tam dopiero w 1969 roku. Przez 9 lat, najpierw jako uczeń, potem student i asystent, byłem tam organistą do momentu, kiedy niemal nie wyrzucono mnie za to z pracy.

Jak to się stało, że wyjechał Pan na studia do Francji i Belgii?

To był przypadek. Skończyłem studia, a muszę się pochwalić, że byłem dobrym studentem i zostałem asystentem. Jako studenta esbecja tylko mnie straszyla i właściwie nie mogła mi nic zrobić. Dziekan wyzywał mnie na rozmowę, ostrzegał i na tym się kończyło. Natomiast kiedy byłem już asystentem, musiałem w 1977 roku zrezygnować z gry w krypcie Katedry, gdyż trzy razy próbowano usunąć mnie z pracy za zaangażowanie w Kościele. Nigdy ostatecznie do tego nie doszło, bo rektor i inni profesorowie wiedzieli, że jestem uczelni potrzebny. Udało mi się, dzięki rekomendacji rektora, w 1978 roku pojechać na kurs mistrzowski do Belgii. Ponieważ nie miałem paszportu, rektor rekomendował mnie w ministerstwie i stamtąd dostałem służbowy dokument. Przypadek sprawił, że kiedy oddawałem ten paszport w Warszawie, to bardzo serdecznie podziękowałem pani urzędniczce. Nie wiedziałem, że była to jakaś super ważna persona, ponoć znajoma samego Cyrankiewicza. Powiedziałem, że bardzo jestem wdzięczny, bo wiem, że już nigdy za granicę nie wyjadę. A ona mówi: „Jak to? Pan taki zdolny, młody. Niech pan napisze podanie o stypendium zagraniczne”. Złożyłem papiery o wyjazd do Francji, gdyż pasjonowałem się muzyką francuską, i rzeczywiście w 1979 roku otrzymałem stypendium w Paryżu. Paszport oczywiście znowu dostałem z ministerstwa, bo nawet go mi nie dawali, kiedy chciałem pojechać do NRD.

Zadziałała Opatrzność?

Oczywiście. Byłem wtedy na czarnej liście SB. Muszę jednak zaznaczyć, że miałem

bardzo sprzyjające środowisko na uczelni. Proszę sobie wyobrazić, że kiedy po raz trzeci na wniosek KW PZPR kazano mnie zwolnić, to rektor profesor Henryk Mikołaj Górecki stanął w mojej obronie. To był ewenement, żeby rektor wstawił się za asystentem. Pomógł mi również biskup Herbert Bednorz, ponieważ byłem bardzo zaangażowany w Duszpasterstwie Akademickim. Cały czas byłem na celowniku SB, która wiedziała o mnie wszystko. Kiedy jeszcze jako student zostałem wysłany do Austrii na spotkanie studentów wyższych uczelni muzycznych, to przed wyjazdem każdego z nas wzywali na Kilińskiego 9 i tam odbywało się przesłuchanie. Funkcjonariusz pytał: „Na czym Gembalski grać?”. Mówię, zgodnie z prawdą, bo tak zostałem wychowany: „Na organach”. „A to w kościele grać!”. On to wszystko notował i oczywiście paszportu nie dostałem, jednak pojechałem, bo rektor znowu interweniował w ministerstwie i paszport dostałem. Za każdym razem, kiedy chciałem gdzieś pojechać, byłem wzywany na Kilińskiego i tam mnie straszono. Jako asystent już mniej się bałem. Przywoływałem w pamięci fragment z Ewangelii św. Łukasza: „A gdy was będą wodzić po synagogach i do urzędów i do władz, nie troszczcie się, jak się bronić i co mówić. Duch Święty bowiem pouczy was w tej właśnie godzinie, co trzeba mówić” (Łk 12,11-12). I ripostowałem zarzuty tego urzędnika SB, co było dla niego zaskoczeniem. Pamiętam, że pewnego razu zaapelowałem do jego sumienia i mówię mu: „Pan tu tak niszczy ludzi! (Bo chwalił się, ilu ludziom z naszego środowiska zaszkodził). I potrafi Pan żyć z taką świadomością?”. Był totalnie zbity z tropu, bo na ogół na takim przesłuchaniu ludzie się bali i ra-

czej nie wchodzili w dyskusję z przesłuchującym. Niektórym młodym ludziom zaangażowanym w Kościele uniemożliwiano studia, łamano sumienia, a niektórych przymuszano do współpracy. W końcu esbek wkurzony wstał i powiedział: „Ja z panem nie potrafię rozmawiać!” i mnie wypuścił. W tym czasie sekretarz KC Zdzisław Grudzień kazał wyrzucić wszystkich asystentów, którzy pracują w Kościele i są aktywni w Duszpasterstwie Akademickim. Między innymi także na Uniwersytecie Śląskim, gdzie rektorem była wówczas Henryk Rechowicz, bliski przyjaciel Grudnia. Wyrzucano wszystkich, bo nikt się za nimi nie wstawił. A za mną wstawił się mój rektor, który zresztą po jakimś czasie, mając dosyć nacisków partii, podał się do dymisji. Kiedy w 1996 roku sam zostałem rektorem, dowiedziałem się, kto stał za nagonką na mnie, ale całe zdarzenie odsunąłem w przeszłość. Wówczas oczywiście musiałem przestać grać w Kościele Akademickim, a ponieważ przenieśliśmy się z żoną do Bytomia, więc granie w kościele Akademickim przejęli moi uczniowie. Była w tym znowu jakaś Boża logika. Kiedy przyjechałem z Francji, komuna upadła i moje losy potoczyły się inaczej. Na uczelni pracowałem w sumie 45 lat. Teraz jestem na emeryturze, ale dalej pracuję. Byłem kierownikiem Katedry Organów i Muzyki Kościelnej, przez sześć lat prorektorem, a potem do 2002 roku rektorem Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach i udało mi się bardzo dużo zdziałać dla muzyki organowej i dla naszego środowiska muzycznego.

Założył Pan Profesor między innymi Muzeum Organów Śląskich – jedyną taką placówkę w Europie Środkowej.



Tak. Są dwa muzea organów w Niemczech, jedno w Szwajcarii i prywatne, gdzieś we Francji. Nasze muzeum jest placówką o typie naukowo-badawczym. Być może przekształcimy je z czasem w instytut naukowo-badawczy. Muzeum powstało pośrednio jako rezultat mojej pracy badawczej i działalności jako wizytatora organów i organistów w Archidiecezji Katowickiej. Zanim zostałem nim mianowany przez wówczas jeszcze biskupa Damiana Zimonia, prowadziłem badania zasobów archiwalnych i samych instrumentów, nie zawsze spotykając się ze zrozumieniem proboszczów. Biskup w sumie bardzo mądrze mnie podszedł, gdyż mianując mnie wizytatorem, umożliwił mi niejako „służbowy” dostęp do organów i materiałów archiwalnych, nad którymi zacząłem pracować jeszcze przed studiami. Wówczas już jeździłem do parafii, robiłem wypisy archiwalne, badałem monografie, dokumentowałem organy. Kiedy ksiądz biskup Damian był moim proboszczem (wiele lat mieszkałem na terenie Parafii Mariackiej w Katowicach), mogłem gruntownie przebadać zasoby archiwalne parafii, ale także spenetrować wnętrze wieży, w której odnalazłem części poprzedniego instrumentu z 1869 roku. Poprosiłem o możliwość zabrania ich, wiedząc, że mogą być w przyszłości ekspozycjami muzealnymi i materiałem badawczym. Przez kolejne lata w podobny sposób odnajdywałem przyszłe ekspozycje. Można więc powiedzieć, że funkcja wizytatora pomogła mi w pracy naukowej. Jako wizytator nie tylko sprawdzałem organistów i organy, które opisywałem, ale także wchodziłem np. do pomieszczeń za organami, do wieży, i tam znajdowałem resztki instrumentów. Tych ekspozycji miałem coraz więcej, jeździłem często w teren i wszędzie coś znajdowałem. Doszedłem do wniosku, że trzeba stworzyć placówkę, która to będzie gromadzić, opisywać, opracowywać naukowo a w ten sposób zabezpieczać dla przyszłych pokoleń. I tak powstało muzeum. Zresztą od bardzo młodych lat miałem takie „ciągoty” muzealnicze i historyczne. Myślałem o muzeum dużo wcześniej i starałem się pozyskiwać różne elementy organów, a z czasem nawet całe instrumenty. Na przykład w Chorzowie, w środku organów odkryłem element dawnego stołu gry – system włączników rejestrowych z nazwami głosów. Organista mówi: „Niech pan sobie to weźmie, bo to jest fajne”. Podobnie zdobyłem cenny element organów z 1735 roku z kościoła ewangelickiego w Legnicy. Tak powstały zbiory, które dzisiaj są olbrzymie. Kiedy kończyłem swoją kadencję rektora, to na zebraniu senatu uczelni zaproponowałem stworzenie placówki naukowej w ramach Katedry Organów i Muzyki Kościelnej, deklarując przekazanie wszystkich swoich zbiorów uczelni. Senat za-

akceptował moją propozycję uchwałą z 4 kwietnia 2002 roku. Mój następca, prof. Eugeniusz Knapik zaczął budować nowy gmach Akademii Muzycznej i przekazał dla muzeum pomieszczenia biblioteki głównej, która przeniosła się do nowego budynku. Widzę w tym Bożą logikę. Zbiegły się w czasie inicjatywy, które otworzyły uczelni nowe perspektywy: — wspaniałą nową gmach z salą koncertową i biblioteką oraz placówką naukowo-badawczą, jakiej nie ma żadna inna uczelnia. Trzeba dodać, że nasza biblioteka jest największą uczelnianą biblioteką muzyczną w Polsce. Po zbudowaniu nowego gmachu zwolniły się cztery pomieszczenia w przyziemiu starego budynku, co umożliwiło urządzenie ekspozycji muzealnej wraz z magazynami. Sporo informacji na temat Muzeum Organów Śląskich można znaleźć na stronie internetowej Akademii Muzycznej, a także w publikacjach naukowych. Placówka gromadzi i zabezpiecza ekspozycje, całe organy lub ich części, opracowuje je naukowo i 4 razy w tygodniu udostępnia je zwiedzającym. Ich liczba jest różnicowana, jednak muzeum cieszy się zainteresowaniem nie tylko mieszkańców Katowic ale i całej Polski. Z powodu pandemii liczba zwiedzających ostatnio spadła (w tamtym roku było ich 600), natomiast wcześniej mieliśmy średnio około 2500 zwiedzających, co jak na placówkę specjalistyczną jest bardzo dobrym wynikiem. Muzeum stale się rozrasta i z pewnością w przyszłości będzie potrzebowało dalszych pomieszczeń.

Ale na tym Pan Profesor nie poprzestał! Osiem lat temu założyłem drugą placówkę – Archiwum Organologiczne. Została częściowo wydzielona z muzeum, bo w zasobach muzeum mamy też typowe archiwalia: dokumenty, kontrakty, projekty, portrety organmistrzów, zdjęcia, dokumenty koncertowe, recenzje itp. Stanowi to teraz osobny zbiór, który częściowo jest ekspozycyjny w Muzeum. Archiwum powstało z grantu, który dostałem w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki ówczesnego Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Jest placówką bardzo profesjonalną, ważną dla dokumentowania dorobku organistyki i organologii w Polsce, głównie na Śląsku. Jesteśmy na etapie tworzenia największej bazy danych o śląskich organach. Mamy już 10 tys. archiwaliów i tworzymy tzw. rekordy tematyczne, których jest już 7 tys. Część zbiorów już jest udostępniana badaczom, część jest w trakcie digitalizacji. Ich digitalizacja będzie trwała może 20 lat, ale na razie przymierzamy się do digitalizacji afiszy koncertów organowych na Śląsku, których jest w naszych zbiorach ponad 1200. Obie te placówki są unikatowe i ważne z jednego jeszcze powodu: w PRL-u nie prowadzono badań nad niektórymi obszarami kultury, w tym nad śląską muzyką organową i kościelną. Było to ideologiczne obce systemowi, toteż nasze działania są rodzajem nadrabiania zaległości i budowaniem refleksji naukowej w zakresie ważnego obszaru kultury i nauki. Proszę sobie wyobrazić, że przez



pierwsze 30 lat po wojnie praktycznie nie powstały żadne większe prace naukowe na temat organów śląskich. Powstawały sporadyczne artykuły, a organy nie były w zasadzie przedmiotem głębszych badań. Kiedy w 1977 roku zgłosiłem radzie wydawniczej pierwszą publikację zatytułowaną *Muzyka organowa na Śląsku. Szkic historyczny* to powiedziano mi: „Niech pan tego nie robi, bo to jest niemieckie i kościelne”. To się nie mieściło w głowie! Żyliśmy w państwie, w którym Kościół był zwalczany, a osoby takie jak ja, uznawane za klerykałów, bo związane z Kościołem, były permanentnie podejrzane o jakąś działalność „wywrotową”. Kiedy z moim profesorem Henrykiem Klają zorganizowaliśmy koncert śląskiej muzyki organowej, to natychmiast do rektora przyszedł jakiś agent SB i zaczął dochodzenie: „Co to jest za koncert? Kto tam będzie grał? Kto na to przyjdzie? Czy są zaproszeni jacyś księża?”. Już wtedy czułem, że badania nad organami śląskimi są moją powinnością. Zacząłem potem organizować konferencje naukowe. Pierwsza, zatytułowana *Organy na Śląsku*, odbyła się w 1984 roku, a dotychczas było ich już dziewięć. Rezultatem konferencji są publikacje, których do tej pory ukazało się osiem – dziewięć to jest w druku. W sumie zawarto w nich ok. 150 artykułów na temat śląskich organów.

Komplementarnie do tych działań na grał Pan Profesor również brzmienie organów w poszczególnych kościołach.

Tak. Zacząłem współpracę z Radiem Katowice i zrobiliśmy serię płytową *Antologia organów na Górnym Śląsku*. Wcześniej to były tylko nagrania radiowe, emitowane w Radiu Katowice, a później przez rok w Polskim Radiu, w programie ogólnopolskim. Przez 10 lat nagrałem 95 instrumentów z naszego regionu i nagle ludzie uświadomili sobie, jakie tutaj mamy bogactwo. Po paru latach do tego pomysłu dołączył projekt Uniwersytetu Opolskiego. Powstała wówczas Katedra Muzykologii, gdzie pracują fantastyczni organolodzy: ks. Franciszek Koenig i ks. Grzegorz Poźniak a także młodzi badacze, w tym także wywodzący się z naszego środowiska. W dorobku fonograficznym mają już ponad 30 płyt w serii, którą nazwano *Organy Śląska Opolskiego*. W obu ośrodkach organizowane są na zmianę konferencje naukowe. Ostatnia była w marcu w Opolu, a ja zrobię w przyszłym roku w naszej Akademii. Te działania spowodowały niezwykle ożywienie badań nad organami i ich rolę na Śląsku i uświadomiły, że organy są znaczącą częścią kultury muzycznej naszego regionu.

Są jego bogactwem.

Oczywiście! Natomiast to bogactwo dostrzeżono bardzo późno. Pierwsza książ-

ka syntetyczna o organach w Polsce powstała dopiero w 1970 roku. Napisał ją prof. Jerzy Gołos, który dokonał pierwszej inwentaryzacji organów w Polsce, ale swymi badaniami objął Polskę przedrozbiorową, czyli nie opracował Śląska. Był to wybitny, nieżyjący już dziś organolog, który wyznaczył kierunki badań nad organami. Ja poszedłem za ciosem i zająłem się Górnym Śląskiem, którego on nie uwzględnił. Takie było jego świadome założenie. Ja przeprowadziłem w latach 1981–1983 inwentaryzację organów dawnej Diecezji Katowickiej, która była wtedy trzy razy większa niż obecnie. Wzór ankiety inwentaryzacyjnej był ten sam, dlatego uzyskane dane były tożsame z ogólnopolskimi. Powstała w ten sposób baza danych, z której do dziś można korzystać. Baza ta, to ponad 600 kopert, zawierających wspomniane ankiety, uzupełniane na bieżąco innymi źródłami, wypisami archiwalnymi, ikonografią i wszelkimi danymi, które są przydatne przy opracowywaniu artykułów źródłowych. Materiały te także udostępniam moim asystentom i innym badaczom. Myślę, że ostatecznie trafią one do Archiwum Organologicznego przy naszej uczelni. Opisany obszar mojej działalności naukowej stał się częścią działalności naszego środowiska. Dziś badaniami nad historią organów śląskich, a także nad problemami ich konserwacji i roli w kulturze, zajmuje się już spora grupa młodych badaczy, co także wpływa na postrzeganie organów jako instrumentu obecnego od zawsze w życiu społecznym. Organy są bardziej obecne w świadomości społecznej niż jakikolwiek inny instrument, również i z tego powodu, że występują powszechnie w kościołach. Dlatego wymagają rzetelnej refleksji naukowej. W ich naukowym i kulturowym promowaniu ważną rolę odgrywa organologia – jedna z najmłodszych dyscyplin w ramach muzykologii, która wykładana jest dziś na kilku uczelniach. Kiedyś organologia istniała tylko na KUL-u, a pierwszymi organologami byli księża, wysyłani na studia przez swoich biskupów. W naszej diecezji był to m.in. ks. Edward Poloczek i ks. Krzysztof Kmak, dziś – obok młodych księży – są to także studenci świeccy. Największe zasługi w promowaniu badań nad organami miał ks. prof. Jan Chwałek, wychowawca wielu działających dziś muzykologów-organologów. Z jego dziedzictwa czerpiemy dziś wszyscy, choć muszę wyznać, że specjalistów jest ciągle za mało. Cieszę się, że w Katedrze Organów i Muzyki Kościelnej naszej uczelni udało się pozyskać do pracy badawczej wielu młodych asystentów, którzy nie tylko dobrze grają i uczą, ale także prowadzą poważne badania naukowe nad śląskimi organami. To także stanowi o sile naszej uczelni.

Pan Profesor także popularyzuje muzykę organową w ramach festiwalu „Muzyka Organowa w Katedrze”?

Tak. To jest bardzo ważny festiwal, a pretekstem do jego powstania była budowa – w 1980 roku – wspaniałych organów w Katedrze. Ks. proboszcz Henryk Zganiacz, który był pasjonatem muzyki, podsunął mi pomysł organizacji takiego festiwalu. Najpierw zapraszałem do udziału moich uczniów, bo nie mieliśmy żadnego budżetu, ale na pierwszy festiwal złożyło się już 7 koncertów. Potem wpadłem na pomysł, że trzeba zdobyć jakieś pieniądze i w organizację festiwalu wciągnęliśmy Klub Inteligencji Katolickiej, który ma osobowość prawną. Pan Andrzej Dawidowski, który tam szefuje, zajął się pisaniem projektów do Urzędu Miejskiego i dostaliśmy budżet. Niestety jest on coraz mniejszy. W tamtym roku napisałem pismo do Wydziału Kultury, tłumacząc, że tak niska dotacja grozi upadkiem festiwalu, a jest to jedyny festiwal organowy w Katowicach z trzydziestoletnią tradycją, będący także wizytówką kultury muzycznej naszego miasta. Bardzo mi trudno pozyskiwać jako wykonawców np. organistów z zagranicy. Zapraszam wybitnych wykonawców krajowych, którzy zgadzają się grać za niewielkie honoraria (często są to moi zaprzyjaźnieni organiści), jednak nie jest to rozwiązanie. W ramach festiwalu odbywają się także recitale dyplomowe, co podnosi rangę takiego egzaminu, wieńczącego studia. W organizację koncertów zaangażowani są kolejni proboszczowie Katedry – kiedyś ks. Henryk Zganiacz, potem ks. Stanisław Puchała i obecnie ksiądz proboszcz Łukasz Gawel. Festiwal promuje muzykę organową, a także młodych wykonawców, ułatwiając im start do działalności koncertowej. Muszę dodać, że organy katedry należą do najlepszych instrumentów w Polsce, a występ na festiwalu jest marzeniem wielu organistów z kraju i zagranicy. Ufam, że uda się także w tym roku.

Od pewnego czasu Ślązacy są dumni z nowej siedziby NOSPR-u. Tam również pojawiły się nowe organy. Jak to instrument?

To są największe organy w salach koncertowych w Polsce. Posiadają 105 głosów, dwa stoły gry i zespół brzmieniowy umożliwiający wykonywanie muzyki wszystkich epok. To potężny instrument, który powstał z inspiracji poprzedniej dyrektorki NOSPR-u, pani prof. Joanny Wnuk-Nazarowej. Idea budowy organów powstała parę lat temu, kiedy spotkaliśmy się z panią Dyrektorem w Akademii Muzycznej. Zaproponowała mi wówczas opracowanie koncepcji instrumentu i założeń projektowych. Po opracowaniu szczegółowych założeń, w tym wielkości, koncepcji estetycznej i założeń technicznych ogłoszono przetarg. Wy-



grała go firma Skrabl ze Słowenii, jedna z największych i najbardziej cenionych firm europejskich. Powstał instrument, który nawiązuje do tak zwanych organów symfonicznych, budowanych od końca XIX wieku w salach koncertowych. Taki instrument musi nosić cechy pewnej uniwersalności – musi być partnerem orkiestry symfonicznej i instrumentem solowym, dającym możliwości kreacji literatury organowej różnych stylów i epok. Punktem odniesienia przy projektowaniu były organy francuskie przełomu XIX i XX wieku, bo tam się narodził typ organów sym-

fonicznych. Takie organy były wówczas budowane także w wielkich katedrach, np. w katedrze Notre-Dame w Paryżu. Idea materializowała się podczas ponad pięcioletniego procesu produkcji i montażu w sali. Umieszczone za ciekawym projektem autorstwa Tomasza Koniora organy zabrzmiały na koncercie z orkiestrą 13 stycznia 2023 roku. Pierwszy recital solowy odbył się w niedzielę 15 stycznia b.r.

Na koncercie piątkowym (13 stycznia) organistka estońska Iveta Apkalna wykonała symfonię koncertującą fińskiego kompozytora Esa-Pekka Salonena. W tym utworze organy dialogowały z orkiestrą symfoniczną, będąc niejako jej częścią. Natomiast na moim recitalu ukazałem całe bogactwo solowych możliwości organów, prezentując muzykę Bacha, Francka, Guilmanta, Alaina i własne utwory i improwizacje. Frekwencja na koncertach była stuprocentowa, co wskazywało, że na ten moment oczekiwano długo, a samo oddanie organów sali NOSPR-u uznano za jedno z największych wydarzeń artystycznych polskiej kultury muzycznej. Zaplanowano już całą serię koncertów, w których wystąpią także moi współpracownicy i wychowankowie oraz zapraszani organiści z Europy. To nowy rozdział działalności NOSPR-u. Instrument został oce-

niony bardzo wysoko od strony brzmieniowej i technicznej. Można powiedzieć, że powstało arcydzieło, które reprezentuje najwyższy światowy poziom. Nie ukrywam, że jego realizacja przyniosła mi wielką satysfakcję, a współpraca w jego powstawaniu, w tym nadzór nad ostateczną stroną brzmieniową i współpraca z firmą Skrabl – to doświadczenia, które pozostaną mi na długo w pamięci. Wrażenie robi sama firma. Zatrudnia ok. 70 ludzi, wśród których są specjaliści odpowiedzialni za różne elementy organów. Prawie wszyscy oprócz opanowanego rzemiosła potrafią grać na instrumentach lub śpiewają w chórach. Zespół jest bardzo zgrany i zdyscyplinowany. Dzięki temu firma może sprostać każdemu zadaniu. Zbudowała do tej pory ok. 500 organów na całym świecie. Organ w sali NOSPR są jej największym i najbardziej skomplikowanym instrumentem. A jeszcze w tym roku rozpocznie się montaż organów dla sali koncertowej Akademii Muzycznej w Katowicach, gdyż firma Skrabl również wygrała przetarg. Możemy się cieszyć, że w Katowicach powstają tak dobre organy. Wzbogacają one instrumentarium organowe naszego miasta, które może się poszczycić wspaniałymi instrumentami, takimi jak organy kościoła Opatrzności Bożej w Zawodziu czy kościoła św. Rodziny w Brynowie, organami katedry Chrystusa Króla i romantycznymi organami katedry ewangelickiej Zmartwychwstania Pańskiego. Obok wielkich dokonań naszych orkiestr i aktywności Akademii Muzycznej, zaliczanej do najlepszych w kraju, nowe organy Sali Koncertowej Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach stają się kolejną wizytówką miasta. Zachęcam wszystkich melomanów, w tym także czytelników „Śląska” do uczestnictwa w koncertach i czerpania pełną garścią z dobra, jakie niesie z sobą muzyka organowa.

Bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę.

JULIAN GEMBALSKI, ur. w 1950 r. w Siemianowicach Śląskich. Edukację muzyczną odbywał w Państwowej Szkole Muzycznej I i II stopnia im. Mieczysława Karłowicza w Katowicach, gdzie ukończył z wyróżnieniem klasę fortepianu prof. Wandy Uszok. Gry organowej uczył się najpierw u organisty Katedry Chrystusa Króla w Katowicach, Stanisława Kopernoka, a następnie w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach, w klasie organów Henryka Klai. Ukończył także Wydział Kompozycji i Teorii (1975, dyplomy obu specjalności z wyróżnieniem). W 1978 odbył kurs mistrzowski u prof. Flor Peetersa w Mechelen (Belgia) a w latach 1979-80 studiował w Paryżu, pod kierunkiem Andre Isoir'a i Michela'a Chapuis (organy) oraz Jean'a Saint-Arroman (muzykologia). Prowadzi ożywioną działalność artystyczną, naukową i pedagogiczną. Występował z koncertami w całej Europie oraz w USA, nagrywał dla Polskiego Radia (m.in. seria „Antologia Organów na Górnym Śląsku”, gdzie zarejestrował 90 organów regionu) i telewizji. Nagrał ponad 50 płyt CD. Jest laureatem I nagród w konkursach improwizacji fortepianowej w Gdańsku i Nowej Rudzie oraz improwizacji organowej w Weimarze, a także wielu innych nagród, (m.in. nagrody „Orfeusza” XXXVIII Festiwalu Warszawska Jesień, nagrody im. Wojciecha Korfantego, im. Stanisława Ligonia, nagrody Arcybiskupa Katowickiego „Lux ex Silesia”, nagrody „Śląski Smaragd” Biskupa Ewangelicko-Augsburskiego, nagrody Marszałka Województwa Śląskiego za wkład w ochronę zabytków; odznaczony przez Papieża Jana Pawła II medalem „Pro Ecclesia et Pontifice”). Honorowy Ślązak Roku, Honorowy Obywatel Miasta Sejny i Powiatu Bieruńsko-Lędzińskiego. Autor prac z zakresu historii organów na Śląsku, problematyki ochrony i konserwacji organów zabytkowych, a także projektant wielu instrumentów. Profesor Akademii Muzycznej w Katowicach, gdzie do 2020 roku prowadził klasę organów i kierował Katedrą Organów i Muzyki Kościelnej. W latach 1996-2002 był Rektorem swej macierzystej uczelni. Od wielu lat jest też Archidiecezjalnym Wizytatorem Organów i Organistów. W 2004 roku założył pierwsze w Europie Środkowej Muzeum Organów.

Romanza per Roman

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



Znakomity Ryszard Gabrys tak właśnie zatytułował jedną ze swoich najciekawszych kompozycji – i w znakomitym skrzypku, któremu ten utwór dedykował, Romanie Lasockim, ta smaczna muzyka znalazła wybornego interpretatora. Miałem okazję (i szczęście) wysłuchać *Romanzy...*, utworu będącego dla solisty egzaminem fantazji, kilkakrotnie i za każdym razem artysta potrafił mnie ująć bardzo inteligentnym a zarazem twórczym stosunkiem do materiału – zawsze marzę o takich kreatywnych, poważnie podchodzących do współczesnego repertuaru wykonawcach w kontekście swojej własnej muzyki. A Lasocki do tej nielatywnej Nowej Muzyki podchodzi zawsze z jemu tylko właściwym młodzieńczym emocjonalizmem, spontaniczną energią, ale i mózgiem – ponieważ ma do niej stosunek konstruktywny, analityczny, jednym słowem – mądry. Rezultatem takiego podejścia, z jednej strony intelektualnego, badawczego, z drugiej pełnego żywiołowej radości nie wolnej od refleksji, są doskonałe, wręcz wypieszczone interpretacje nawet tych miniaturowych, „ulotnych” utworów – a to, zgódźmy się z Goethem, najlepsza miara mistrzostwa. Nie bez kozery w liście do Romana Lasockiego wysłanym tuż po ukazaniu się płyty z nagraniem *Recitativo e arioso*, Witold Lutosławski stwierdził: *Dzięki Pana i Pani Musialskiej [Urszuli Brożek-Musialskiej, wieloletniej pianistycznej partnerki Lasockiego] wykonaniu uwierzyłem, iż „Recitativo e arioso” nie zostało napisane przeze mnie lewą ręką, a wykonanie Państwa podoba mi się bardzo.* Samo dzieło – Lutosławski skomponował je w 1951 – trwa nieco ponad trzy minuty, lecz Lasocki uczynił zeń dźwiękowy klejnot.

Przez długi czas Roman Lasocki był chyba jedynym wybitnym polskim skrzypkiem, który stale – powtarzam: stale, a nie przy jakiejś rocznicowej czy innej okazji – wykonywał utwory licznych (a nie dwu czy trzech wybranych) współczesnych mu kompozytorów i kompozytorek, przede wszystkim polskich. Nagrywał już od wczesnych lat (miał talent i ktoś na szczęście się na tym poznał) – w nagraniach tych widać (i słysząc) rzetelne oddanie temu repertuarowi. Nagrywał więc dzieła nie tylko Witolda Lutosławskiego (nagranie *Partity* na skrzypce i orkiestrę z Orkiestrą Filharmonii Śląskiej po dyrekcją Mirosława Jacka Błaszczyka dla wytwórni Dux należy uznać za wzor-

cowe), ale i Grażyny Bacewicz (*IV Sonata* na skrzypce i fortepian, *VII Koncert skrzypcowy*), Rafała Augustyna (wysocę oryginalny, super trudny i stanowiący wyzwanie od strony formalnej *Utwór cykliczny*), Jerzego Bauera (*Invocazioni*), Mariana Borkowskiego (doskonale *Images II*), Krzysztofa Meyera (*Koncert skrzypcowy*, Op. 12), Stanisława Moryty (pięknie nagrał Lasocki *Arię i chorał* tego wielkiego kompozytora), Witolda Rudzińskiego (*Sonata pastorale*), Romualda Twardowskiego (*Niggunim, Fantazję hiszpańską*). Do tego dochodzą klasyczne już nagrania *II Koncertu skrzypcowego* Karola Szymanowskiego oraz *I Koncertu skrzypcowego* Dymitra Szostakowicza. Żałować wypada, że Lasocki nie nagrał więcej płyt, bo artysta z niego tegi i najprawdopodobniej ma w repertuarze więcej kompozycji, które warto by utrwalić. Co prawda jego oficjalna biografia mówi o ponad dwudziestu płytach, ale gdzie je nabyć? Mnie szczególnie cieszy to, że nagrywał dzieła twórców, których z jakichś przyczyn – dla mnie niezrozumiałych – nie gra się w ogóle albo gra się nad wyraz rzadko. Kto dziś zwraca sobie głowę muzyką Jerzego Bauera albo Witolda Rudzińskiego? Albo też Stanisława Moryty, kompozytora godnego by znaleźć się w Panteonie polskiej muzyki? A jednak ci – i inni – kompozytorzy pozostawili po sobie pokaźne dorobki, gdzie można znaleźć rzeczywiście udane, godne stałej uwagi dzieła.

To samo powiedzieć można o działalności koncertowej naszego skrzypka. Na jego zamówienie powstało kilkadziesiąt wartościowych tytułów, które prezentował, jak się to mówi, z przekonaniem i fanatycznym uporem – w imię dobra polskiej muzyki. Oprócz wymienionych kompozytorów pisali dla niego i dedykowali mu swe dzieła Marcin Błazewicz, Edward Bogusławski, Sławomir Czarniecki, Andrzej Dutkiewicz, Jan Wincenty Hawel, Benedykt Konowski, Włodzimierz Kotoński, Bronisław Kazimierz Przybylski, a zatem twórcy o najpoważniejszym znaczeniu. Lasocki grał ich utwory praktycznie wszędzie – od Polski po Koreę Południową (gdzie zrestą gościnnie uczył), od Niemiec po Austrię (Bösendorfer Saal), Francję (Salle Gaveau), Hiszpanię, Kanadę, Stany Zjednoczone (Carnegie Hall), Wielką Brytanię, a także na prestiżowych festiwalach łącznie z „Warszawską Jesienią”.

Roman Lasocki urodził się w Łodzi w roku 1948. Wyrastał w rodzinie o silnych powi-

zaniach muzycznych. W domu państwa Lasockich bywali m.in. Eugenia Umińska i Witold Małcużyński, zatem mały Roman miał kontakt z wiodącymi indywidualnościami ówczesnego polskiego muzycznego życia. Nie mogło to pozostać bez wpływu na jego rozwój osobowościowy i artystyczny. Rzec można, że był na muzykę skazany. Dyplom uzyskał w roku 1971 w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w swoim rodzinnym mieście. Był tam uczniem Franciszka Jamrego, którego do dzisiaj (i słusznie!) wspomina z szacunkiem i podziwem. Uczestniczył w klasach mistrzowskich, które prowadzili legendarni już skrzypkowie André Gertler, Stanisław Lewandowski, Henryk Szeryng, Tadeusz Wroński. To pod ich wpływem wykształcił swą nienaganną wiolinistyczną technikę i głębokie zrozumienie materii muzycznej, tak różne od dzisiejszej płytkości i powierzchowności – na nieszczęście dzisiaj takie autentyczne, dogłębne przeżycie muzyki niejednokrotnie ustępuje miejsca zewnętrzny manifestacjom pseudoartyzmu, w których bardziej się liczą uroda i kuse odzienie artystek (aż dziw, że tak postępują w czasach swarliwej poprawności politycznej) lub rozwichrzone fryzury i obcisłe spodnie artystów. Nie, nie jestem zaśniedziałym konserwatystą tylko zwolennikiem prymatu sztuki nad niedojrzałym, w gruncie rzeczy infantylnym ekshibicjonizmem, którym coraz częściej udaje się sztukę zdegradować nieomal do poziomu Norwidowego bruku. Tutaj Roman Lasocki okazuje się reprezentantem najlepszych tradycji wykonawstwa skoncentrowanego na dziele, nie na ciele.

Działalność pedagogiczną rozpoczął jeszcze podczas studiów, by z biegiem czasu objąć profesurę klas skrzypiec w katowickiej Akademii i warszawskim Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina. Jako artysta dokonał więcej niż tuzin innych – w księdze polskiej muzyki pisać o nim trzeba złotymi literami.

Dwie strzały Wilhelma Tella albo o językach Teatru Śląskiego

KRYSTIAN WĘGRZYNEK

*Obojętnie, po której stronie kurtyny
wypadnie nam żyć, jakaś część na-
szej duszy zostanie po drugiej stronie.*

Stanisław Bieniasz

Generałowi Stanisławowi Szeptyckiemu Górny Śląsk jawił się jako „bezwzględnie złote jabłko Polski”, od niego miała rozpocząć się przemiana nadwiślańskiego zakątka w kwitnący ogród; tak samo widzieli ten region i Niemcy, którzy uczynili z niego krainę węglem i żelazem płynącą. A ja próbuję spojrzeć na to jabłko jak niemiecki aktor, grający Wilhelma Tella, który strzałem z kuszy otworzył pierwszy sezon w dziejach katowickiego teatru.

Od 1907 roku dwa tysiące premier przetłoczyło się przez serca reżyserów i aktorów. Kurtyna na katowickiej sceny szła w górę wielokrotnie częściej. Grano i Schillera, i Goethego, Szekspira i Moliera, Czechowa i Gorkiego, Mickiewicza i Słowackiego, Wyspiańskiego (często!) i Zapolską, Różewicza i Mrożka. Dyrektorowali tu i Emmanuel Raul, i Gustaw Holoubek. Reżyserowali Jerzy Jarocki i Jerzy Szajna. Grali tu Fritz Kortner i Ludwik Solski...

— — — z tej sceny

błyskał szpadą Ruy Blas, szerzej
znany jako Fan-Fan; z warg mima
z filmu *Komedianci* schodziły

francuskie słowa w majestacie
frazy Racine’a; na tych deskach

w pół tchnienia przemieniał się
z muzyka w mandaryna Arkady
Rajkin (...)

(Feliks Netz, *Teatr jak teatr*)

Słowem ogrywano świąty dawne i młode, lądy znane i nieznanne, przestrzenie realne i wymyślone, tylko owo złote jabłko porzucono gdzieś za kulisami, w magazynie, na strychu...

Czyż Wojciech Bogusławski już nie nawoływał: „Nie czekać publiczności, szukać jej tam, gdzie jest!”. A kto tworzy(t) tę śląską publiczność? Marian Sobański, wieloletni dyrektor katowickiej sceny w okresie międzywojennym, zaliczał do niej: inteligencję napływową (traktująca lokalny przybytek Melpomeny z rezerwą) oraz „szerokie sfery śląskiej inteligencji wolnych zawodów, przemysłu i handlu, urzędników zakładów przemysłowych, urzędników państwowych i komunalnych oraz ludność robotniczą i chłopską”.

Czy można było zadowolić tych i innych bywalców teatru?

Nie.

I takich odpowiedzi trzeba by szukać dużo wcześniej – chyba już w 1859 roku. Sztuki grane wówczas po niemiecku w Tarnowskich Górach (*Ein Abenteuer in einer polnischen Schenke*), czy w Królewskiej Hucie (*Der Pole und sein Kind*) pozytywnie przedstawiające Polaków, nie znajdowały widzów, bo ci nie rozumieli kwestii wypowiedzianych ze sceny. Gdy na inauguracji Stadttheater widownia wchłaniała strofy Schillerowskiego

Wilhelma Tella, część niemieckiej opinii publicznej krytykowała dobór pierwszej sztuki (czy ci uciskani Szwajcarzy to nie czasem... tutejsi Polacy?), a wśród miejscowych dużą popularnością cieszy się śląska parodia tej historii o odważnym bohaterze i wiarołomnym władcy („Ta drugo patrona, co jo tu móm w gorści/ Jest narychtowano dla naszej Waszmości”). Ale i później nie jest lepiej... Kiedy w czasie kampanii plebiscytowej trupa krakowska przyjeżdża do Giszowca z *Mazepą* Juliusza Słowackiego, spektakl się nie udaje, ponieważ młoda publiczność „zachowuje się nieodpowiednio”. Gdy pierwszy polski sezon otworzy *Królewski jedynak* Lucjana Rydla, recenzentka „Gazety Robotniczej” narzeka, że sztuka „trochę nudna”. A potem Sobański i jego zespół, aby zaspokoić „różnorodne gusta śląskiej publiczności”, aby jakoś łączyć sztukę „ambitną” i „popularną”, pracują jak szaleni – dają po kilka premier w miesiącu; a w sezonie 1938/1939 grają 527 (sic!) przedstawień własnych. I co? I kiedy na przykład przyjeżdżają do Chorzowa z *Nie-Boską komedią* to kontakt z publicznością wręcz się urwał, bo „rozmawiała, śmiała się, słowem robiła wszystko, jeno nie przeżywała tego pięknego dzieła dramatycznego” (Zbyszko Bednorz).

Tak.

Kiedy ślący społecznicy – a skala amatorskiego ruchu teatralnego szczególnie na przełomie XIX i XX wieku była ogromna – prezentują sztukę w literackiej polszczyźnie, to wyma-

fot. Krzysztof Lisiak



Czarny ogród

fot. Przemysław Jendroska



DRACH [spektakl Katowice]

ga to od nich sporego wysiłku („wymowa szwankowała” – odnotował recenzent „Kurieru Śląskiego”), ale tam, gdzie mogli się posłużyć „gwarą ludową”, grali „z werwą i swobodnie”. Gdy towarzystwa alojzjańskie wprowadzają w lokalny obieg sztuki chorzowianina Piotra Kołodzieja, to widzowie przychodzą tłumnie, mimo iż jego ślasy bohaterowie mówią tylko po polsku. A w okresie plebiscytowym lokalną publiczność podbijają i aktorzy-amatorzy z PPS u, i scenicznie usposobieni członkowie kongregacji mariańskiej, zachwycają i *Tkacze* Gerharta Hauptmanna, i *Kościuszko pod Racławicami* Władysława Anczyca.

Druga strzała Wilhelma Tella dzieli teatr – tak jak Górny Śląsk – na dwie części: najważniejsza scena regionu początkowo staje się przestrzenią współdzieloną przez niemieckich i polskich aktorów, teatrem snów niemieckich i polskich, by potem przeobrazić się w jeden narodowy teatr ogromny – Leopold Pobóg-Kielanowski wystawi tu m.in. *Dziady* Adama Mickiewicza i *Wyzwolenie* Stanisława Wyspiańskiego. Wilhelm Tell staje się zatem Konradem. Wydaje się, że ten drugi belt utkwiał już głęboko w sercu landrata Gesslera „faroną złęgo gatunku” i rozbił spiżowe słowa – *Deutschem Wort Deutscher Art* – w drobny mak...

Tymczasem widzowie walą drzwiami i oknami na *Wesele na Górnym Śląsku* Stanisława Ligonia, pogodną śpiewogrę, zanurzoną w śląskim folklorze, opowiadająca o miłości Francika i Tereski. Sztuka Karlika z „Kocyndra”, zainspirowana *Weselem na Kurpiach* wystawianym w Katowicach w marcu 1929, była przyjmowana z aplauzem nie tylko po obu stronach nowej granicy, ale także w Warszawie i w Wilnie.

W Katowicach będzie szła – przy „huraganie oklasków” („Polska Zachodnia”) w latach trzydziestych aż 115 razy, podczas gdy *Dwa orły śląskie* ks. Emanuela Grima (ich premiera 100 lat temu mogłaby być uznana za formalny początek śląskiego teatru) zagrane zostaną dwa razy, a *Konrad Kędzierzawy* Jana N. Jaronia razy jedenaście. Druga sztuka tego autora, także utrzymana w młodopolskiej manierze (zdekapitowany książę Henryk Pobożny wraz ze swoją armią czeka na wezwanie powstańców) a jednocześnie mająca charakter reportażu powstanczo-plebiscytowego (wspomniane są autentyczne wypadki wstrząsających mordów Izzydora Murka i Wincentego Janasa), w ogóle nie zostanie zrealizowana na scenie.

A potem o lokalnej widowni się zapomina na dłuższy czas. Przez chwilę, tuż po wojnie, gdy sceną kilka miesięcy kierują Wilam Horzyca i Karol Adwentowicz, grany jest tu krótko *Lompa*

Kazimierza Gołby (1945). Kiedy jednak komunistyczne władze decydują, że właśnie do Katowic zostanie przeniesiony Polski Teatr Dramatyczny ze Lwowa, sztuka o budźcielu polskości na Śląsku, schodzi ze sceny. Wprawdzie teatr zmienia nazwę – będzie od tej chwili „śląski” – ale tylko po to...by zamaskować kresowe pochodzenie nowego zespołu. „Niestety, w nowych warunkach politycznych przymiotnik >śląski< w nazwie nie był dla Ślązaków symbolem wolnej Polski – przypomina Andrzej Linert – Nazwa >Teatr Śląski< pojawiła się w chwili bolesnego zniewolenia rdzennej ludności tej ziemi”. Szyld zatem nijak się ma do repertuaru. Pierwszy śląski spektakl w Katowicach, który przyciąga lokalną widownię, pojawia się na dużej scenie dopiero w...2008. Na *Polterabend* Stanisława Mutza przyjeżdżają wycieczki autokarowe z całego regionu, by usłyszeć ze sceny dialogi w *noszyj godce*. Dla niektórych jednak jest to język hermetyczny, wykonywany, dziwny...

Oj, niełatwo...

Przez cały okres Polski Ludowej błysną tu na chwilę dwie śląskie iskielki – *Powstańczy rapsod*, montaż słowno-muzyczny poświęcony powstaniom śląskim, przygotowany przez Bolesława Lubosza (1966) oraz – w karnawale Solidarności – *Kapry i brzany* Andrzeja Niedoby (1980), interwencyjny reportaż o nadzyciach władzy. Z tej właśnie atmosfery – okresu zachłannego wykorzystywania wolności i wystawiania komunistom rachunków – wyrastają dwa dzieła wyreżyserowane przez Wielkiego Twórcę Śląskich Obrazów, Kazimierza Kutza: film *Paciorki jednego różańca* (1980) i spektakl Teatru Telewizji *Stary portfel* (1981). Gdyby opowiedziana przez Stanisława Bieniasza historia autochtonów, którzy byli zmuszeni do wyjazdu do RFN, mogła wtedy wybrzmieć, zdecydowanie odnowiłaby kontakt z rodzimą publicznością...Autor *Starego portfela* wydawał się pewnym następcą Kutza, ale przejęcie tej schedy uniemożliwił stan wojenny – zabrzańskiemu dramaturgowi udało się wyjechać z kraju tuż przed jego ogłoszeniem, a nagranie, cudem ocalałe, miało swoją premierową emisję dopiero w 1989 roku! Co ciekawe, Kutz wyreżyserował na katowickiej



DRACH [spektakl Katowice]

scenie tylko trzy sztuki: rosyjską (*Bałałajkin* i *spółka* Siergieja Michalkowa) mołdawską (*Zapach dojrzałej pigwy* Iona Druță) i szwedzką (*Twórcy obrazów* Pera Olova Enquista).

Teatralną obsesją Bieniasza były z kolei tematy śląskie. Tak, lata dziewięćdziesiąte, po jego powrocie do kraju, mogłyby być dekadą jego „teatru najmniejszego”. Ale – patrząc z perspektywy czasu – nią się nie stały. Dramaty związane z regionem – *Senator*, poświęcony Eduardowi Pantowi, niemieckiemu antyfaszyszcie z Bielska, czy *Biografia*, będąca rozliczeniem Ślązaków z okresu dwóch totalitaryzmów (nazistowskiego i komunistycznego) – nie zdobyły szturmem lokalnych scen. A przecież Wiktor Grzesiok, członek i NSDAP, i PZPR (grany przez samego Bernarda Krawczyka) mógł stać się symbolem Ślązaków wiecznie siedzących „między dwoma krzesłami”.

Spośród wielu dzieł przedwcześnie zmarłego autora z Pawłowa najbardziej zapadają w pamięć te, ukazujące człowieka pograżonego w alkoholowym nałogu. Takie są *Haldy*, rozgrywane ten dramat w śląskich realiach, wystawione na Scenie Kameralnej w 1995, a wyreżyserowane przez samego autora. Taką jest i *Ucieczka*, frapująca historia, osadzona w realiach stanu wojennego, której sprawną adaptację można właśnie zobaczyć na scenie zabrzańskiej. Ale Bieniasz nie stał się odnowicielem śląskiego teatru, bo tak jak trudno zostać prorokiem we własnym kraju – prze-



Pokora

konywał kiedyś Krzysztof Karwat – tak trudno „być Górnoślązakiem na Górnym Śląsku, gdy głośno wypowiada się prawdy wcześniej mozolnie zafałszowywane, zapomniane bądź nieznane”.

Czy tym prorokiem okazał się Robert Talarczyk? Następcą Kazimierza Kutza? Czy może po prostu sprawny „twórca śląskich obrazów”? To on wynalazł teatralny język, dokonując adaptacji napisanej po niemiecku powieści Janoscha Cholonek dla katowickiego Korezu, który związał lokalną scenę z rodzimą publicznością. Żaden z cenionych niemieckich autorów związanych ze Górnym Śląskiem – Joseph von Eichendorff, Hans Lipinsky-Gottersdorf, August Scholtis czy Horst Bienek – takiego inscenizacyjnego sukcesu nie doczekał.

A grana nieprzerwanie od dziewiętnastu lat historia rodziny Cholonek i Świętków, przeżywających swój rozkwit w czasach hitlerowskich i upadek po zakończeniu wojny, odbierana jest przez widzów jako „nasza”. Za sukcesem tandemu reżyserskiego Talarczyk-Neinert kryje się, w pewnym sensie, jeszcze jeden twórca – Marian Makula, autor niezwykle popularnych śląskich trawestacji klasyki dramatu: *Pomsty* według Aleksandra Fredy czy *Zolytów* opartych na *Ożenku* Gogola. Makula zasugerował twórcom, w czasie próby na którą go zaproszono, naszkicowanie postaci bardziej swojską kreską. Hit Korezu nie akcentuje jednak – jak scena Makuli – śląskiej ludyczności opartej na importowanym materiale, sięga i po elementy liryczne, i demaskatorskie, a jednocześnie próbuje zdjąć ze śląskiej opowieści kłutwę Bercika, bohatera *Świętej wojny*, która królowała na małym ekranie przez całe lata dziewięćdziesiąte.

Ta synkretyczna, liryczno-plebejska formuła przeniknie i do *Polterabend*, i do *Piątej strony świata*. Ten ostatni spektakl to przekazanie Talarczykowi teatralnej pochodni. A może szwajcarskiej kuszy? Albo – spoglądając na

Śląsk z dalszej perspektywy – przekazanie dzina w butelce, jakoś jeszcze ujarzmianego przez Kutza, a wypuszczonego przez Twardocha...?

Seria spektakli duetu Talarczyk - Twardoch (*Drach*, *Pokora*, *Byk*) jest bowiem odejściem od wizji mniej lub bardziej przez Kutza kontestowanej, ale jednak wizji polskiego Śląska.

Niejako symboliczną puentą były kontrowersje (*votum separatum* Jerzego Illga i Iwony Świętochowskiej-Kutz) po ogłoszeniu werdyktu w II edycji Nagrody im. K. Kutza – zdobył ją właśnie pisarz z Pilchowic. Twardoch, uważający się za pisarza śląskiego, o powstaniach literalnie nie pisze. W kolejnych powieściach widać wyraźnie jak bohaterowie Twardocha wyraźnie się od polskiej opowieści powstańczej odwołują: Mały Kostek Willemann (*Morfina*) patrzy zafascynowany – mimo iż jego ojciec zdecydowanie opowiada się po drugiej stronie – jak powstańcy (jeszcze!) rozbijają niemieckiego żołnierza. Josef Magnor (*Drach*) jest wprawdzie członkiem POW, bierze udział w jakichś działaniach zbrojnych, ale narratora bardziej interesuje jego romans z Caroline Ebersbach. W opowieści o rodzinie Pokorów po stronie polskiej opowiada się dwóch z dziesięciu synów starego Pokory; Alois wiąże się z tymi, którzy szukają dla Śląska od-

rębnej drogi – obok polskiej i niemieckiej. Ale te wszystkie wątki w zasadzie nie trafiają do scenicznych adaptacji.

Nic więc dziwnego, że pilchowski autor odrzuca ikoniczną scenę z siekierą (*Sól ziemi czarnej*), kiedy ojciec grozi odrażaniem głowy każdemu synowi, który sprzeniewierzy się walce o „złote jabłko”. Wizja siedmiu braci Basistów podążających za marzeniem o Polsce, jest dla autora wizją „skłamaną”.

Gdyby myśleć o tej drugiej, ofensywnej strzale Tella, szczególnie z warszawskiej perspektywy, to siła jej rażenia zawarta jest przede wszystkim w *Byku*, wydanym przez krakowskie Wydawnictwo Literackie, a wystawionym przez warszawski Teatr Studio. Główny bohater, Robert Mamok, wykrzykuje bezpośrednio do publiczności:

„Bo na przykład jak mnie zauważyliście w tej waszej, kurwa, jebanej Warszawie, byka rogatego, i zapraszaliście na te wasze inteligentkie kolacje w roli atrakcji, jak człowieka słonina albo babę z brodą: Patrzcie, patrzcie, oto Ślązak, który mówi ludzkim językiem! Po polsku! Je nożem i widelcem, jak my! Dziw nad dziwy! Cyrk przyjechał!”

Ten ludzki język, jakim się odgraża – by sięgnąć po dychotomię Immanuela Wallersteina – tubylec z Peryferii mieszkającym Imperium, ma być zarówno sygnałem odzyskiwanej równowagi *enfant terrible* salonów, jak i budowanej nowej siły. Może nowego języka?



Skazany na bluesa

Bohater przypominający nieco Kamila Durczoka, nieco samego Twardocha, ma też wywoływać skojarzenia z odtwórcą głównej roli:

„Wiesz, że byłem pierwszym Ślązakiem w dziejach tej znakomitej śląskiej instytucji? Pierwszym Ślązakiem dyrektorem, w sensie. Śmieszne, nie? Pierwszy Ślązak dyrektor tej znakomitej śląskiej instytucji, która ma już sto pięćnaście lat. Wiedziałeś o tym?”

Rzeczywiście Robert Talarczyk jest dyrektorem Teatru Śląskiego. Ale przecież najpierw był Stadttheater, kresowa stacja artystyczna umacniająca niemieckość „am Ende des Reiches”, a później analogiczna placówka umacniająca polskość na rubieży zachodniej, zwana Teatrem Polskim, a od września 1936, po premierze *Wyzwolenia* – Teatrem Polskim im. S. Wyspiańskiego. Teatr staje się Śląski z nazwy – jak już wiemy – po II wojnie światowej, ale jest on przede wszystkim sceną narodową pod patronatem czwartego wieszczą. Przez jakiś czas na tympanonie funkcjonuje nazwa Teatr im. Wyspiańskiego, teraz do wstęgi wrócił przymiotnik...

Jaki zatem obraz Górnego Śląska, po dziełach Kutza, zafascynowanego Wojciechem Korfantym i łączącego polski romantyzm z lokalną plebejskością, wyłania się z dzieł jego następców? Talarczyk miał przygotowaną od początku, podobnie jak Wilhelm Tell, i tę drugą strzałę; wypuszcza najpierw pierwszą – opowiada po to, by zachować śląską pamięć oddzieloną od Wielkich Narracji. Opowieść brynowskiego twórcy jest ulepiona przede wszystkim – jak figurki Gryzoka – ze śląskiej gliny. Bohaterowie jego *Cholonka* w jeszcze większym stopniu mówią po śląsku niż to wykreował w translacji Leon Bielsa (o niemieckim oryginale nie wspominając). Poruszają się między *byfymem* a *ryczką*, lawirują między brunatnym i czerwonym niebezpieczeństwem, operują tragicznym szeptem i pijacką piosenką. O ile jednak jego pierwsza śląska należy do Teatru Małego Zwierciadła, o tyle kolejne będą już miały rozmach Teatru Snów... Robert Talarczyk wybiera poetykę, podobnie jak Leopold Pobóg-Kielanowski, wielkich inscenizacji. Taka jest – do jakiegoś stopnia uzgadniana z Kutzem – *Piąta stroina świata*, ale taki będzie już autorski *Wujek. 81. Czarna ballada* i tworzone na podstawie reportażu o Jerzym Kukuczce *Himalaje*. W tych dwóch ostatnich przypadkach – reżyser sięga i po postaci traktowane jako alegorie śląskiego losu – Barbórkę (grającą o górników w szachy ze Śmiercią) oraz Lhotse, (przypominającą boginię Kali odmawianą przez Erwina Sówkę), i po różnorodne formy muzyczne od operowych arii po żywy rap. Zresztą podobne tendencje można było zauwa-



Skazany na bluesa

żyć w spektaklach z cyklu zatytułowanego *Śląsk święty/Śląsk przeklęty*, inaugurującego jego dyrekcję. Ten język śląskiego teatru ogromnego jest szczególnie artykułowany w spektaklu Arkadiusza Jakubika *Skazany na bluesa*. W tym dziele, poświęconym legendarnemu wokaliście zespołu Dżem, scenę zaludniają bohaterowie śląskiej mitologii: Czarny Górnik, Niebieski Budka czy Anioł z Tektury.

Ta druga strzała to język opowieści konfrontacyjnej, to – oprócz Twardochowych opowieści – *Miłość w Königshütte*. Spektakl Ingmara Villqista, wystawiany w teatrze bielskim, którego dyrektorem był wówczas Talarczyk, przywoływał traumy związane z funkcjonowaniem komunistycznego obozu w świętochłowickiej Zgodzie w 1945, prowokował także reakcje kontrofensywne. Przed teatrem gromadzili się widzowie, żądając natychmiastowego ściągnięcia spektaklu z afisza, jeden z widzów wymachiwał biało-czerwoną flagą w finale przedstawienia, jakby w odpowiedzi na scenę zakładania przez bohaterów żółto-niebieskich opasek. Nie słyszałem, by takie demonstracje odbywały się w warszawskim Teatrze Studio, szczególnie po gorzkich słowach o powstaniu warszawskim.

Talarczyk dba jednak o polifonię śląskiej opowieści. Zaprasza do Katowic reżyserów spoza regionu, którzy nie tylko patrzą na jego dzieje z zewnątrz, ale i operują inną estetyką. Ewelina Marciniak przekładając na język teatralny *Morfine* Twardocha, wydobywa z niej maczystowski sznyt i ją – szczególnie poprzez postaci kobiece – dekonstruuje. Przemysław Wojcieszek patrzy na losy Korfantego z perspektyw społecznej, a nie narodowej – opowiada w formie rockowego *slamu* o kosztach transformacji (post)industrialnego regionu. Jacek Głomb chce zobaczyć w losach

mieszkańców Giszowca i Nikiszowca modelową biografią członka przemysłowej osady, zestawiając *Czarny ogród* Małgorzaty Szejnert z ogrodem rajskim i jego owocami.

Jednocześnie jednak opowieść o miejscu stanie się kodem, poprzez który twórcy sprawnie porozumiewają się ze śląskim widzem. Są to także małe ojczyzny twórców: Brynów Talarczyka, Pilchowice Twardocha, Zabrze Bieniasza (Pawłów) i Janoscha (Zaborze), a ostatnio gliwicka Ostropa, potraktowana przez Zbigniewa Rokitę futurystycznie. Czy zagęszczające się śląskie *postapo* (słyszalne już i w *Synku* Marcina Gawła, a powtarzane w *Nikaj* przez Rokitę, czy przez Przemysława Pilarzkiego w *Węgla nie ma*) mogłoby oznaczać, że o najważniejszych wydarzeniach przeszłości (plebiscyt, powstania śląskie, II wojna światowa, tragedia górnośląska) i teraźniejszości (poprzemysłowe transformacje) regionu powiedziano już wszystko?

W śląskim teatrze dziejów mieszkańcy regionu stawiani byli przed wyborami, bez mała tragicznymi, dla wielu czymś takim był udział w plebiscycie w 1921 roku, dla drugich poddanie się kolejnym weryfikacjom w 1939 i 1945 roku, a dla innych (nie)założenie munduru Wehrmachtu. Teraz te historie przetwarzuje i szlifuje właśnie T(t)etar Ś(ś)ląski – złote jabłko ani nie matowieje, ani nie pokrywa się kurzem, ale... my już się w nim przejrzelismy.

Czy śląska scena wytyczyła odrębną ścieżkę pomiędzy Wielkimi Narracjami? Może odreażowuje bycie stanicą kresową? Czy teatr znalazł artystyczny wyraz, by oddać dramat tych wyborów? Czy zaprosił do siebie swoją publiczność, a zniechęcił inną? Nie rozstrzygnę teraz takich kwestii. Nie muszę – nie jestem Wilhelmem Tellem. A kusza? A kusza niech zostanie na strychu.

przyjdę popatrzeć ci w oczy
 przyjdiesz popatrzeć w moje
 żeby zobaczyć nas

kołysze cię w ramionach pociąg
 stukot doskonały usypia
 pośród pola zmienionego w obrus
 rozłożony na stole tuż za szybą okna
 a może to stukają łyżeczki z innego świata
 odłożone tutaj na talerz
 nasze odbicia też za nimi pędzą
 ledwie widoczne jak
 duchy w wędrownice przez ziemię

o Jezu któryś ręką swoją chleb rozdawał
 rękę Ci skrupowali na krzyżu pod gwoździem
 i nam wbija się ostrze między marne kostki śródrečza
 marne choć tyle razy świat był w naszych rękach
 w Jego rękach jest wszystko
 podziurawionych przestrzelonych zatrutych
 jadem niewiernego słowa
 uniesionych choć przecież chętnie by opadły
 bo nam nie raz już tylko opadają ręce

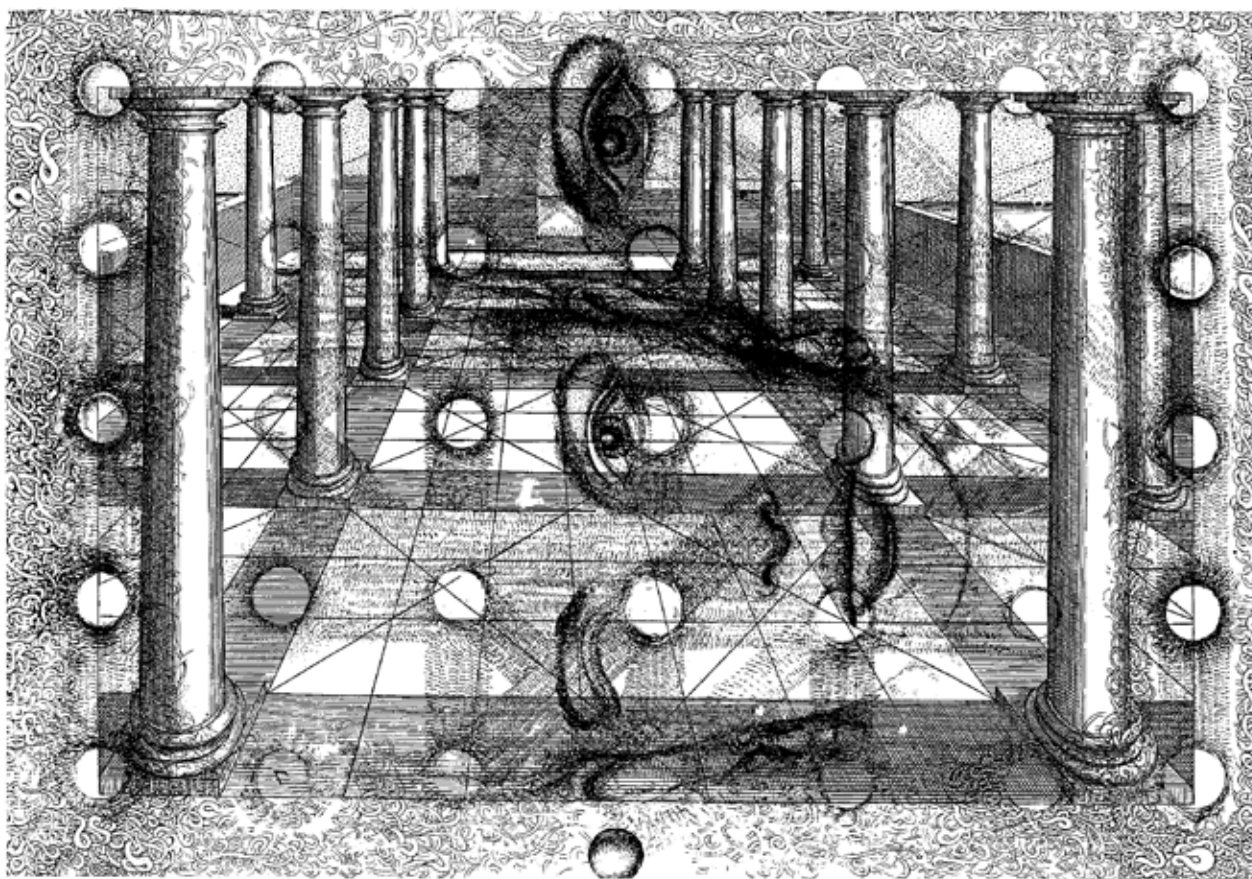
z ciemności coraz wyraźniej
 patrzą czyjeś oczy
 nie wiesz jakiego widza
 zainteresujesz tematem jakim jesteś

w wielkim zimowym mieście
 dwoje ludzi
 ich ciepłe wargi spotykają się na pożegnanie
 jakby nie było za późno
 by ogrzać te domy i ulice

dzisiaj może jutro
 zbyt szybko to się zmienia
 twoja twarz czyjaś twarz
 włosy kawałek ramienia
 mewy krzyczą za oknem
 wywiało ten piasek
 po którym chodziliśmy
 jak zielonym lasem
 teraz łapki pazurki
 szarpia nasze ślady
 rozwiane dużo przedtem
 papier z czekolady
 i czerwone wino
 grzane w garnuszku z uchem
 żeby nie parzyło
 trzymałeś przez koszulę
 bo to była miłość
 teraz poprawiam włosy
 może trochę krótsze
 i widzę swój podbródek
 krzywy uśmiech w lustrze
 z którego dawno starłam
 twój oddech a teraz się
 boję przed nim
 zwyczajnie umierać

kolory jabłka cienie trawy i zapachy
 zieleń pewna że będzie tu do końca świata
 jak my a kiedy listek żółcią się ubrudzi
 potem rdzą i czerwienią czernią wielką dziurą
 w miejscu gdzie przy łodydze tańczył bujał się śpiewał
 teraz kołysze się niebo i ziemia
 zapomniany początek wieczny akt stworzenia

tak szybko przeszła przez chudy korytarz
w miejsce gdzie hala odlotów czekała
pioruny skrzydeł erupcja silników
rozwiązane wstęgi kołujących maszyn
posłusznych chociaż próbujących lotu
na przekór ludzkim wystraszonym nogom
tracącym nagle stabilne podłoże
bo tak naprawdę to się miało udać
nieplanowany lot na jedną z planet
poza układem znajomym ich dwojga
w galaktyk proch w pył świetlnych marzeń
lata mleczne jak z piersi smak odnaleziony
na krawędzi wszechświata brzegu czarnej dziury



rys. Marek Przybyła

wieczory i zamki do drzwi
coraz mocniej zamknięte
teraz już o tym wiesz
przynajmniej w ciemności
nie poranisz palców
próbując wymusić
uchylenie szparę
przez którą światło
wpadnie tam gdzie jesteś
czy tam gdzie nikt jeszcze nie był
światło tylko może
przechodzić tak jak Chrystus
przez zamknięte drzwi
dlatego wierzę kiedy zamknę oczy

Piotrze, chciałbym tą rozmową przypomnieć twórczy – choć nie przez wszystkich aprobowany – ferment, jaki spowodowałaś w latach osiemdziesiątych w śląskim życiu muzycznym. Chodzi mi o zainicjowany przez Ciebie „Festiwal Muzyki Fascynującej” (w skrócie FMF), organizowany w Katowicach w okresie 1983-1985. W dużej mierze patronował mu wszechstronny dorobek Bogusława Schaeffera, nazywanego „da Vincim rodzimej awangardy (nie tylko muzycznej)”, autora pierwszej na świecie partytury graficznej. Nim jednak zapytam Cię o Festiwal, przybliżyć proszę genezę swoich zainteresowań tzw. Nową Muzyką. Ciekaw jestem, co wpłynęło na decyzję organizacji tej imprezy.

Przed wszystkim chcę Ci, Andrzej, bardzo podziękować za pomysł podjęcia tematu „Festiwalu Muzyki Fascynującej”, bo nikt inny nie podjąłby się tego. Wiele osób, dzisiaj jeszcze aktywnych, najchętniej zapomniałoby o tej imprezie. Niezrozumienie i wypływająca z niechęci obojętność nic nie kosztują i nie trzeba w nie nic inwestować (oprócz złości i złośliwości) – przyjaźń to już poważna inwestycja – więc nigdy mnie nie dziwiło, że choć to temat... fascynujący, na Śląsku nikt nie chciał go podjąć, nawet z perspektywy czasu przeszłego. Tu i ówdzie wspomiano o FMF, ale te wzmianki miały charakter dość – nie zawaham się tak twierdzić – zdawkowy, a nawet oszczerczy, co wyjaśnię trochę później. A przecież była to impreza wyjątkowa, niezależna, tak, niezależna, która umożliwiła zaistnienie czy też pokazanie pewnych tendencji, które do tamtego czasu były albo nieobecne, albo obecne rzadko, albo ignorowano je, bo nie były w stanie wpasować się w standardowy obraz śląskiej muzyki, jaki tujsze środowisko oficjalnie akceptowało.

Jeśli zaś chodzi o moje zainteresowanie Nową Muzyką, czyli współczesną zachodnią muzyką klasyczną we wszelkich jej przejawach, to wzięło się ono z wrodzonej mi ciekawości, którą zainspirowały radio i telewizja, wtedy, za czasów tzw. komunistycznych, uważam, wcale dobre (tak zwanych, bo to nie był komunizm, tylko zwykły gangsterizm polityczno-społeczny). W tej „komunistycznej” telewizji mogłem np. obejrzeć wykonanie *Pasji według świętego Łukasza* Pendereckiego z Leszkiem Herdegenem – czy pokazałaby to dzisiaj polska telewizja, ta „wolna”??!

Początek mojego **twórczego** zainteresowania Nową Muzyką nazwałbym przypadkowym – to był rzeczywiście przypadek, ale przypadek, który również wyniósł z dociekliwości poznawczej. Mianowicie pewnego dnia, znudzony słuchaniem rocka, zacząłem szukać na różnych kanałach czegoś innego. I tak odkryłem audycję śp. Andrzeja Chłopcickiego, *Kontrapunkt*. Mówię „odkryłem”,



Marzenia ściętej głowy

O „Festiwalu Muzyki Fascynującej” i śląskim życiu artystycznym z **PIOTREM GRELLĄ-MOŻEJKĄ** rozmawia

ANDRZEJ ŚNIOSZEK

bowiem w czasie przesłuchiwania kolejnych kanałów radiowych natknąłem się na przedziwną kakofonię – przedziwną z mojego ówczesnego punktu widzenia i doświadczenia słuchowego – od której nie mogłem się oderwać, musiałem tej muzyki – bo zdałem sobie sprawę, że to muzyka, choć taka inna – wysłuchać do końca. I do końca jej wysłuchałem. To właśnie był program *Kontrapunkt*, dzięki któremu mogłem co tydzień poznawać sporo wartościowych dzieł najnowszych. A tamtego wieczora (to było

chyba w 1975?), kiedy to poznałem ową muzykę, niby kakofoniczną acz piękną, niby chaotyczną acz uporządkowaną – bo tak ją instynktownie odebrałem i pojąłem – doznałem prawdziwego olśnienia i zdałem sobie sprawę, że to moja przyszłość. Następnego dnia pojechałem do centrum Katowic (mieszkałem wtedy na Osiedlu Tysiąclecia), znalazłem księgarnię muzyczną i kupiłem kilka książek, które uznałem za przydatne. Były to *Harmonia* i *Kontrapunkt* Sikorskiego, *Instrumentoznawstwo* Drobne-

ra, *Podstawy techniki dyrygowania* Burgo. W miarę zdobywania wiedzy i artystycznej samoświadomości stopniowo uzupełniałem tę kolekcję, więc znalazło się tam miejsce i dla prac Stuckenschmidta o Schönbergu, Rognoniego o drugiej szkole wiedeńskiej, Rudzińskiego o warsztacie kompozytorskim Bartóka, a także dla *Poetyki muzycznej* Strawińskiego i pism Bouleza oraz Cage'a. To wybrane przykłady. Od początku kupowałem też partytury (przecież musiałem nauczyć się pisma nutowego!) i do dzisiaj posiadam kolekcję kilkuset dzieł kompozytorek i kompozytorów polskich i zagranicznych, która przetrwała szereg przeprowadzek, również tej interkontynentalnej.

Tak na marginesie, Bogusław Schaeffer nie był autorem „pierwszej partytury graficznej”. Nie chodzi mi tutaj o pomniejszanie dorobku tego geniusza – bo geniuszem był i kropka – tylko o prawdę. Zerknij na dadaistów – Hans Richter i Kurt Schwitters to świetne przykłady – i zobaczysz bardzo interesujące muzyczne idee wyrażone graficznie! Tak było i żadna manipulacja, a tych wiele w sztuce mamy, tego nie zmieni. Czy byli to Morton Feldman (*Projection I*, 1950) albo Earle Brown (*November '52*)? Też nie! Pójdźmy głębiej w przeszłość – a znajdziemy!

Mamy rok 1983. Jesteś dwudziesto-dwuletnim studentem Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego. Za Tobą prywatne lekcje kompozycji u Schaeffera i Edwarda Bogusławskiego. Czy pomysł „Festiwalu Muzyki Fascynującej” był od początku do końca Twój? Czy można mówić o wpływie Twoich profesorów na jego kształt?

Ten pomysł był od początku mój, ale nie do końca! Wydawało mi się, iż zorganizowanie takiego festiwalu dałoby możliwość zbudowania mostu między „oficjalnym” środowiskiem, a tymi, którzy działali na jego antypodach, jak ja – skazany na mierną egzystencję, bo nie mia-



Grudzień 1984 – Barbara Ba-da, Marek Bogacz, PGM

łem „papierów”, tzn. dyplomu szkoły muzycznej. Zauważ, proszę, stosunek tego oficjalnego środowiska do mnie. Ludzie ci, bez wyjątku, narzekali na tzw. komunizm i związaną z nim biurokrację, a sami myśleli i zachowywali się jak komunistyczni biurokraci. Ten biurokratyczny wymóg „papierów” był absurdalny. To „papiery” są ważniejsze niż talent? Jeden ze studentów kompozycji, później oczywiście doszedł do stanowiska profesorskiego, zapytał mnie dlaczego komponuję. Zdziwiłem się niepomniernie i zapytałem skąd mu do głowy przyszło takie pytanie. A on mi na to: „No bo ty nie masz papierów!”. Powiedziałem mu, że w takim razie jest lepszym kompozytorem niż Strawiński – bo Strawiński też nie miał „papierów”. Obraził się. Ale oni, od młodzieńców na studiach po zaawansowanych wiekowo profesorów kompozycji, w ten sposób myślowo generalizowali (jak „Oni” Witkacego!). Zresztą Bogusławski mnie przestrzegał przed tymi, którzy niby co tydzień chodzili do kościoła, a rozumowali jak komuniści! Miał rację.

Zamarzył mi się więc festiwal – a festiwal to wygodna forma propagowania muzyki – według zasady „raz (do roku), a dobrze” – ale sam nie zrobiłbym tej imprezy. Pomocy udzielił mi mój serdeczny przyjaciel, plastyk Andrzej Schaefer (jedno „f”, nie był spokrewniony ze śp. Bogusławem), wówczas zatrudniony w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, popularnym empiku. Andrzej był odpowiedzialny za organizację wystaw oraz reklamę, a przy tym obdarzony talentem, wiedzą, życzliwością i wielką inteligencją, okazał się świetnym partnerem w procesie planowania i realizacji pomysłu. Jako główny punkt naszych działań obraliśmy sam klub, który znajdował się na parterze Domu Prasy, tam gdzie dzisiaj mieszczą się wydziały magistratu katowickiego. To było dobre miejsce, w samym centrum, więc wygodne, a przy tym nieduże, wymarzone również ze względu na istniejącą tam Galerię „Pod Prasą”, ponieważ od samego początku chcieliśmy przy okazji festiwalu prezentować wystawy współczesnych partytur, nie tylko graficznych. Chcieliśmy też potraktować festiwal jako platformę spotkań intermedialnych, dlatego w książeczkach programowych znajdujemy poezję, m.in. Marii Fiderkiewicz, Marii Korusiewicz i Katarzyny Młynarczyk, a także grafiki lokalnych artystów, by wymienić Renatę Bonczar, (ponownie) Marię Korusiewicz, Bożenę Łabędź, Marka Michalskiego, Marka Moskala, Marka Przybyłę, Pawła Pykę i oczywiście Andrzeja Schaefera, który był także autorem godła festiwalu, tzw. Pegaza trojańskiego. Scenografię koncertów projektowała świetna Beata Laufersweiler. Później doszły przedsięwzięcia multimedialne, koncerty z udziałem członków bytomskiej grupy „dell’arte”, czyli Danuty i Leonarda Jaszczuków oraz Piotra Stawińskiego. Nie przesadzę, jeśli powiem, że każda z tych osób wniosła do festiwalu



II Festiwal Muzyki Fascynującej – grudzień 1984 – wystawa partytur

nowe wartości, co więc zainicjowałem ja, przerodziło się w wysiłek zespołowy. Zauważ Andrzej, że oprócz mnie nie było w tym zespole żadnych muzyków, lecz ludzie pióra i artyści wizualni.

Później FMF rósł i jego koncerty odbywały się nie tylko w empiku, ale też w Akademickim Centrum Kultury „Marchoń” i w samej Akademii Muzycznej. Współpracowaliśmy także z Muzeum Śląskim, w którego Galerii „P” odbyła się w grudniu 1985 przy okazji trzeciego FMF pierwsza w ogóle wystawa partytur śląskich kompozytorów współczesnych – i w wielu przypadkach nie były to druki, tylko oryginalne rękopisy! Bardzo miło wspominałem wizytę u Wojciecha Kilara i rozmowę z nim. Najpierw oczywiście zatelefonowałem do niego, by wyjaśnić cel wystawy. Zaprosił mnie do swojej willi w Brynowie, gdzie pojechałem z bijącym sercem. Jakiż to był sympatyczny, dobry, wyrozumiały człowiek! W wyniku naszej konwersacji udostępnił festiwalowi jeden z rękopisów, już nie pomnę który (może to była *Siwa mgła?* albo *Przygrywka i kolęda na oboje i smyczki?*); oczywiście traktowaliśmy tę partyturę jak świętość.

Wracając do drugiej części Twojego pytania, muszę stwierdzić, że ani Edward Bogusławski, ani Bogusław Schaeffer nie mieli wpływu na kształt festiwalu. Gdyby mieli, to zapewne nie odbyłyby się wykonania niektórych utworów, zabrakłoby niektórych nazwisk – a ja zawsze starałem i staram się stać na uboczu pewnych rozgrywek i animozji. Muszę wszak podkreślić, iż niektóre sugestie obu panów wzięłem poważnie i dlatego na festiwalu pojawili się m.in. Barbara Świątek, Ensemble MW2, Muzyka Centrum. W tym sensie Bogusławski i Schaeffer okazali się pomocni – ale nie mieli wpływu na repertuar, w skład którego weszło wiele utworów mnie przynajmniej obcych; nie podobały mi się, lecz chciałem, żeby i one na festiwalu zabrzmiały, choćby po to, by młodym twórcom dać szansę zaistnienia, której nie dano mnie.

Katowice ostatniej dekady PRL-u miały dwa festiwale, które potencjalnie mogły wyjść naprzeciw zainteresowaniu „nową muzyką” spod znaku „awangardysty awangardy” Schaeffera. Myślenie o „Śląskich Trybunach Kompozytorów” i „Śląskich Dniach Muzyki Współczesnej”. Czy próbowałeś współpracować z organizatorami tych wydarzeń? Nie próbowałem – i próbowałem. Jako organizator festiwalu muzyki współczesnej, który *nota bene* nigdy nie miał być konkurencją wobec istniejących imprez, a raczej ich dopełnieniem, nie byłem zainteresowany współpracą z ludźmi, którzy organizowali tamte imprezy. Z drugiej strony ludzie ci byli często kompozytorami, więc zależało mi na włączeniu ich dorobku do programu FMF.



December 1984 – Composers PGM, Bogusław Schaeffer, Marek Pietrucha

Czy na FMF było miejsce jedynie na twórczość par excellence nową? Innymi słowy, czy prezentowano tylko tych kompozytorów, którzy wykazywali – cytuję Schaeffera – „rzeczywiste zainteresowanie dla nowych możliwości muzyki, dla jej wciąż nieogarniętego potencjału, wobec którego wielokrotnie powielany »styl obowiązujący« jest tylko parodią”?

Oczywiście, że nie! Byliśmy otwarci na wszelkie wartościowe przejawy twórczości kompozytorskiej. Obok dzieł awangardowych i eksperymentalnych pojawiały się kompozycje silnie związane z idiomem tradycyjnym, czy wręcz konserwatywne. Czemu nie? Bez takiego kontekstu dzieła nowatorskie byłyby zawieszane w estetycznej próżni. W programie pojawiały się utwory Strawińskiego, Lutosławskiego (*Wariacje na temat Paganiniego*), Kisielewskiego... Dobrze pamiętam znakomite autorskie wykonanie *Hymnu* na organy, utworu Władysława Szymańskiego, po latach rektora katowickiej Akademii. To był utwór bardzo tradycyjny, ale tak dobrze napisany, że przyjemnie było słuchać!

Jaki był stosunek ówczesnych władz do Twoich działań? Czy miałeś kłopoty z przekonaniem lokalnych decydentów do idei FMF?

Nie. Z Andrzejem Schaefferem uderzyliśmy do Dyrektorów Wydziałów Kultury i Sztuki Urzędów Miejskiego i Wojewódzkiego. Byli to wtedy Rajmund Hanke i Lech Szaraniec. Obaj panowie, dodajmy sympatyczni, dobrze odnieśli się do naszej idei i w rezultacie otrzymaliśmy – naprawdę skromne – wsparcie finansowe. Sam KMPiK w osobie dyrektora Czesława Polakowskiego też dał parę groszy – i w ten sposób nasz festiwal doszedł do skutku.

Pozwól, że przywołam dłuższy fragment artykułu Jana Błońskiego o „hi-

storii prozy polskiej w latach istnienia Polski Ludowej” („Teksty Drugie” 1990, nr 1): „Dostęp do sztuki światowej był oczywiście błogostawieństwem i w muzyce, plastyce, teatrze i poezji mógł mieć tylko dobroczynne skutki. Kłopot, przyznajmy, że bardzo niewielki... przyniósł dopiero moment, kiedy władza pojęła, że awangardowe figliki, których oczywiście nie brała poważnie, uważając za pańskie czy żydowskie fanaberie... że więc te igraszki nie tylko nie przynoszą szkody, ale nawet – umiejętnie subsydiowane – mogą odciągnąć młodych a zdolnych od niepotrzebnych opozycji, kontestacji i dysydencji. Już w latach sześćdziesiątych zaczęto spostrzegać i nagradzać rzeczy tak trudno zrozumiałe jak powieści Parnickiego i Buczkowskiego, początkowo raczej tolerowane niż szanowane. Pociętki też – umiarkowaną strużką – pieniądze na spędy poetów i studenckie festiwale teatralne”. A jak to wyglądało z Twojej perspektywy w połowie lat osiemdziesiątych? Czy kiedykolwiek czułeś się beneficjentem komunistycznej władzy, która wspierając fanaberie pożałował się Boże piewców „nowej muzyki”, w istocie chce Was odciągnąć od niepotrzebnej kontestacji „systemu”?

W taki czy inny sposób beneficjentami byli wszyscy ci, którzy operowali w ramach oficjalnego nurtu działalności kulturotwórczej – od Lutosławskiego, Pendereckiego, organizatorów „Warszawskiej Jesieni”, po Kantora i Magdalenę Abakanowicz. Kiedy więc otrzymywaliśmy pieniądze z kas Urzędów Miejskiego i Wojewódzkiego, to też stawaliśmy się niejako automatycznie beneficjentami „systemu”, tak samo zresztą jak organizatorzy „Śląskich Trybun Kompozytorów”, „Śląskich Dni Muzyki Współczesnej” albo „Rawy Blues”. I niech mi ktoś spróbuje udowodnić, że tak nie było! To, co powiedziałem, odnosi się do płaszczyzny „oficjalnej”, organizatorskiej. Na płaszczyźnie prywatnej, osobi-

stej nie znalazłbyś wśród artystów zaangażowanych w organizację festiwalu jednej osoby, która chwaliłaby ten upiorny „system”. Co więcej, prezentację takiej niezależnej, nowej sztuki za państwo („systemowe”) pieniądze traktowaliśmy jako sprytnie rozwiązanie, które pozwalało nam kreować rzeczywistość alternatywną – bo to była alternatywna rzeczywistość. I dlatego wszelkie oskarżenia wobec mnie o „flirtowanie” z władzami uważam za idiotyczne, ba, podłe.

Domniemanie „flirtu” musiało krążyć w środowisku, które – tak to sobie wyobrażam – poczuło się dotknięte osławionym artykułem Muzyczne Katowice Schaeffera („Życie Literackie” 1985, nr 4). FMF towarzyszyło sporo zdrowych i niezdrowych emocji...

Tak! Kiedy przeczytałem ten artykuł, to aż mnie ciarki przeszły! Pierwszym zdaniem, które po jego lekturze w duchu wykrzyknąłem, było: „O k... , ale mi dadzą popalić!” Pamiętam jak dziś. Wstępny paragraf tego artykułu przedstawiający Katowice jako miasto muzycznie wymarłe, jako muzyczną pustynię, bardziej mi w życiu artystycznym zaszkodził niż cokolwiek innego. Nawet obecnie, kiedy o tym czasem myślę, nie mam pojęcia, dlaczego Schaeffer tak napisał. To było bardzo niesprawiedliwe wobec środowiska. Wierz lub nie, sam się poczułem dotknięty.

Wierzę. Myślę, że miał on jakieś zataręgi z poszczególnymi osobami.

Schaeffer – świetnie go znałem, może nawet lepiej niż ci, którzy się z nim spotykali na co dzień – bardzo zazdrościł sukcesu Góreckiemu, Kilarowi i Pendereckiemu, kompozytorom, których uważał za podrzędnych. Czasem to, co o nich publicznie mówił w swoich klasach kompozycji, na które uczęszczałem, było nie do przyjęcia. Później zdecydowanie odsunąłem się od niego, bo nie znosiłem tego kultu nieomyślności, który starał się tworzyć, utrzymywać i rozprzestrzeniać. Natomiast do końca utrzymywałem niezwykle ciepłe stosunki z Barbarą Buczkówną, osobą piękną, wstrzemięźliwą w sądach, jakże różną od „nademocjonalnego” Schaeffera. Wiedziała, że była wyjątkową, ale do końca zachowała skromność i pokorę wobec sztuki. Mnóstwo się od niej nauczyłem.

W latach osiemdziesiątych w katowickim środowisku kompozytorskim dominowały dwie oddalone od siebie postawy estetyczne. Pierwszą – bardziej tradycyjną, konserwatywną – symbolizował Józef Świder. Drugą – poszukującą nowych rozwiązań, awangardową – wspomniany Bogusławski. Czy FMF był przedmiotem sporu tych odmiennych nurtów?

Nie, nie był. Staraliśmy się, jak powiedziałem wcześniej, pokazywać wszystko to, co miało znaczenie pozytywne, niezależnie od obranej estetyki. Do dziś naprawdę żałuję, że nie udało się nam zagrać choć jednego dzieła Józefa Świdra. W programie FMF pojawiły się tytuły prawie wszystkich znaczących kompozytorów śląskich tamtego okresu, jak i tych, którzy później doszli do głosu, m.in. Edwarda Bogusławskiego, Wiesława Cieniacha, Henryka Cierpiola, Jana Wincenckiego Hawla, Eugeniusza Knapika, Grażyny i Andrzeja Krzanowskich, Ernesta Małka, Sławomira Olszomowskiego, Krzysztofa Zgrai (ten ostatni miał multimedialny koncert monograficzny z udziałem projekcji wideo). Za wielki sukces poczytuję sobie doprowadzenie do wykonania *Tocaty* na dwa fortepiany Henryka Mikołaja Góreckiego. On w tamtym okresie w wyniku szykan ze strony władz województwa zabraniał wykonywania swoich dzieł na Śląsku, a tu dwoje pianistów, Gabriela Szendzielorz i Andrzej Jungiewicz, zapragnęło zagrać ten utwór. Zadzwońiłem do kompozytora. Początkowo nie chciał się zgodzić, ale powiedziałem mu, że może jednak nie należy karać dwojga młodziutkich entuzjastów za grzechy innych. W słuchawce zapadła cisza... a po chwili Górecki powiedział: „Przekonał mnie pan. Niech grają”. To był wielki człowiek.

Żywoć FMF dobiegł końca w 1985 roku. Dlaczego? Czy byłeś już wtedy jedną nogą w Kanadzie, dokąd wyemigrowałeś na stałe dwa lata później?

Nie byłem jeszcze nigdzie indziej ani jedną, ani drugą nogą! W tamtym okresie nie planowałem wyjazdu. Zdawałem sobie sprawę, że coś muszę zrobić, że jako samouk bez „papierów” nie mam w Polsce żadnych szans, niemniej decyzję o wyjeździe podjąłem później, już po otrzymaniu wiadomości, iż w Kanadzie przyjęto by mnie na studia kompozytorskie nie na podstawie „papierów”, tylko partytur i nagrań. I rzeczywiście, kiedy przyjechałem do Kanady, nikt mnie nie pytał o „papiery”, tylko o partytury i nagrania moich utworów. Inny kraj, inna kultura. Liczy się to, co potrafisz, a nie jakieś mityczne „papiery” – więc dominuje podejście praktyczne, nie zaś biurokratyczne. Może to jedna z zasadniczych różnic między Ameryką Północną a Europą. W Europie razi mnie pewne skostnienie, widoczne we wszystkich sferach, również tej artystycznej. A sam FMF zmarł „śmiercią naturalną” z braku funduszy, byłem też zmęczony tą ciągłą organizacyjną krzątaniną.



II Fascinating Music Festival - December 1984 - Opening - Piotr and Andrzej Schaeffer

W Twoim biogramie trafiłem na informację, że w okresie od 1991 do 1997 kierowałeś „Edmonton New Music Festival”. Czy był to kanadyjski odpowiednik „Festiwalu Muzyki Fascynującej”?

Tak jest. Tworząc i organizując ten festiwal, kierowałem się doświadczeniami, które zdobyłem w Polsce. Mogę nieśkromnie powiedzieć, że było to świetne, pożyteczne przedsięwzięcie, które środowisko lokalne przyjęło skwapliwie – udzielono mi wszelkiej możliwej pomocy.

Jak dziś, po czterdziestu latach od pierwszej edycji FMF, postrzegasz sytuację Nowej Muzyki w naszym regionie? Czytelnicy „Śląska” znają Twoje refleksje z comiesięcznego felietonu *Język w strunach*, ale tutaj zależy mi na ujęciu syntetycznym.

Tę sytuację postrzegam tak, jak postrzegałem ją wtedy: działało tu i działa tyle utalentowanych osób – kompozytorek i kompozytorów, zespołów, chórów, orkiestr, powstaje tyle świetnych dzieł, że aż się prosi, by zorganizować tu wielki festiwal Nowej Muzyki na kształt „Warszawskiej Jesieni” lub wrocławskiej imprezy „Musica Polonica Nova”! Jak stwierdziłem wcześniej, festiwale są użytecznymi platformami wymiany poglądów i doświadczeń – im więcej ich, tym lepiej. Śląskie środowiska artystyczne – muzyczne, literackie, teatralne, plastyczne – są wysoce kreatywne, są, tak!, fascynujące. Dlatego marzy mi się też na Śląsku wielki interdyscyplinarny festiwal sztuki, który odzwierciedliłby jakość tutejszej, twórczo rozwibrowanej, działalności artystycznej. Ale to marzenia ściętej głowy.

Dziękuję za rozmowę.

Pamiętnik (15)

Z RĘKOPISU OPRACOWAŁ MARIAN KISIEL

Piątek, 29 grudnia [1936].

Słyszałem, że wszyscy kochają autora *Tęczy nad sercem* — Jana Wiktora^[1]. Czytałem tę książkę dawno, byłem jeszcze wtedy bardzo zimny, nic dziwnego, że nie odczułem piękna tej książki. Ale dzisiaj wpadł mi znów w ręce Wiktor.

Eros na podwórzu^[2] — — —

Osobliwa książka. Kronika podwórza. Bajka dla dzieci od lat siedmiu do stu. Taki sobie Teatro dei Piccoli. Dla wszystkich. Bez wyjątku.

A cała rzecz wynika z tego, że Wiktor obdarzył wszystkich mieszkańców podwórza: kury, kaczki, wróble, wiewiórki itd. — rozumem. Utworzył z tego wszystkiego społeczeństwo drobiu, żyjące ludzkim życiem, różniącym się jeno od naszego pewnymi „psychologicznymi” znamionami zwierząt. Wychodząc z tego założenia, z tego fundamentalnego faktu, autor stwarza z podwórza państewko tak ciekawe, że nie sposób oderwać się od jego obserwowania.

A więc odtąd mówi się o zwierzętach z ludzkim rozumem. Zamiast Boga mają swojego prakura, pralisa, prawróbla itd. Najrozkoszniejsza jednak jest mowa tych mieszkańców podwórza. Autor każe im mówić i rozumować po... chłopsku, po wiejsku, po chamsku nawet.

Najważniejsza jest miłość. Miłość gra tu we wszystkim pierwsze skrzypce. Czyż nie są rozkoszne te zaloty koguta do popieliczki z sąsiedniego podwórza? I te rumieńce niewinnej zielononożki, skoro poznaje, do czego kogut zmierza? Albo te narzekania lisa na baby, które nic nie robią, a trzeba im nosić żarcie? Albo te zaloty kaczora do kury i jego sromotna porażka. Cały ten świat podwórzowy, ze swoimi troskami, plotkami i przygodami. I ten Wobo, urwisz nad urwisze^[3], wiecznie ironicznie uśmiechnięty do strojącego koperczaki kaczora.

Ale naj-naj-najcudowniejsze są wróble. Szczególnie ten jeden „srodze doświadczony”, który utracił małżonkę musi się starać o żarcie dla młodych. W starym już wieku zakochuje się w nadobnej wróblicy. Wkrótce jednak ostyga w zapalch. Zbliża się przecież śmierć i pozostaje już życia jedynie robienie filozoficznych uwag nad marnościami tego świata.

O! jak to wróblica prosi o rozkosz:

„— Jeszcze ino razik — ino — ten roz — ino — ino — Parobecku mój”.

A on „rozgoryczony do głębin swej niezłomnej duszy machnął skrzydłem i strasznie smętnie ćwierknął z wściekłym zniechęceniem:

— Marność — nad marnościami...”

A przedtem to jej słodko ćwierkał.

„— Zawiodę cię na boisko — do zapola — gdzie ino ziarno — ten cham wykwintnie ćwierkał, jakby trubadur z karczmy. Będziesz widziała, jaki ja — hu! ha! Podkóweczki dajcie ognia, bo dziewucha — hu! ha!”

A potem obojętnością swoją zasłużył na łgarza, ślamazarę, niemrawca, oszusta, niedojdę, nicponia i darmożjadę. Nic dziwnego, że przyznał rację wrońcowi^[4], który wykrakiwał:

„— Wszyscy optymiści — to idioci. Małżeństwo jest sromotną pomyłką. Miłość to bujanie na nici pajęczej, błyszczącej w słońcu przed otwartym potrzaskiem. Trudno o równowagę i trwałość”.

Tym słowom mógłby przyznać rację niejeden z ludzi. Czasem i wrony coś mądrego wykraczą.

A wróble w ogóle — to gromada łazęgów, wędrowców, bezdomnych i chacharów.

Miła książka. Kocham Wiktora właśnie za to podejście do natury od strony nam najbliższej, od strony uczuciowej w znaczeniu ludzkim.

Ryś wyjeżdża jutro na kurs narciarski do Wisły. Cieszy się niezmiernie. Przecież to jest perspektywa dziesięciodniowej radości wśród ośnieżonych gór.

Czekaliśmy na Władka, bo się chciał z nim pożegnać. Ten dziad jednak dopiero o dziewiątej powrócił z biura. W dodatku czuł się chory. Z przepracowania. Właśnie spał — jak przewidziałem.

Zanim czekaliśmy na Władka rozmowa była jako tako poważna, skoro jednak przyszedł Władek, stała się od razu świńską. Władek w tym celuje. Uważa jasne aż do ostateczności wypowiedzenie się za potrzeba naturalną. W tym jednym wypadku Władek mówi barwnie, obrazowo.

Dałem Rysiowi adres Alföldyemu. Niechby napisał mu kartkę. Tamten lubi widoki górskie. Oczywiście do mnie obiecał również napisać.

Wyjeżdża jutro pierwszym pociągiem. Dlatego pożegnał się z nami dzisiaj. Czule jak z panienkami. My tak lubimy.

A matka moja, skoro się dowiedziała, że Ryś wyjeżdża w góry, przestraszyła się i rzekła:

— Przecież tam raz dwa może się zabić (— nie była nigdy w górach —). Gdybym była jego matką, to bym go absolutnie nie puściła.

Nie wiem, co tu podziwiać: wyniosłą naiwność czy szlachetna troskę.

Środa, 30 grudnia.

Psiakrew! Piszę pamiętnik po pijanemu. Co to szkodzi? Prawda, że nic?

Zresztą, co mnie to obchodzi? Za chwilę będę koty darł, jak powiedziała matka. A potem?

Jestem w cholernym humorze! Zresztą, co mnie to obchodzi? Prawda, że nic.

Niech żyje Szewczyk. Tzn. ja. I ty. I wszyscy.

Uwaga! Filozofia po pijanemu — — —

Wódka sprawia, że stajesz się świnią. I kpem. I śliwą. I w ogóle kapuściarzem.

Hej!!!

Hej!!!

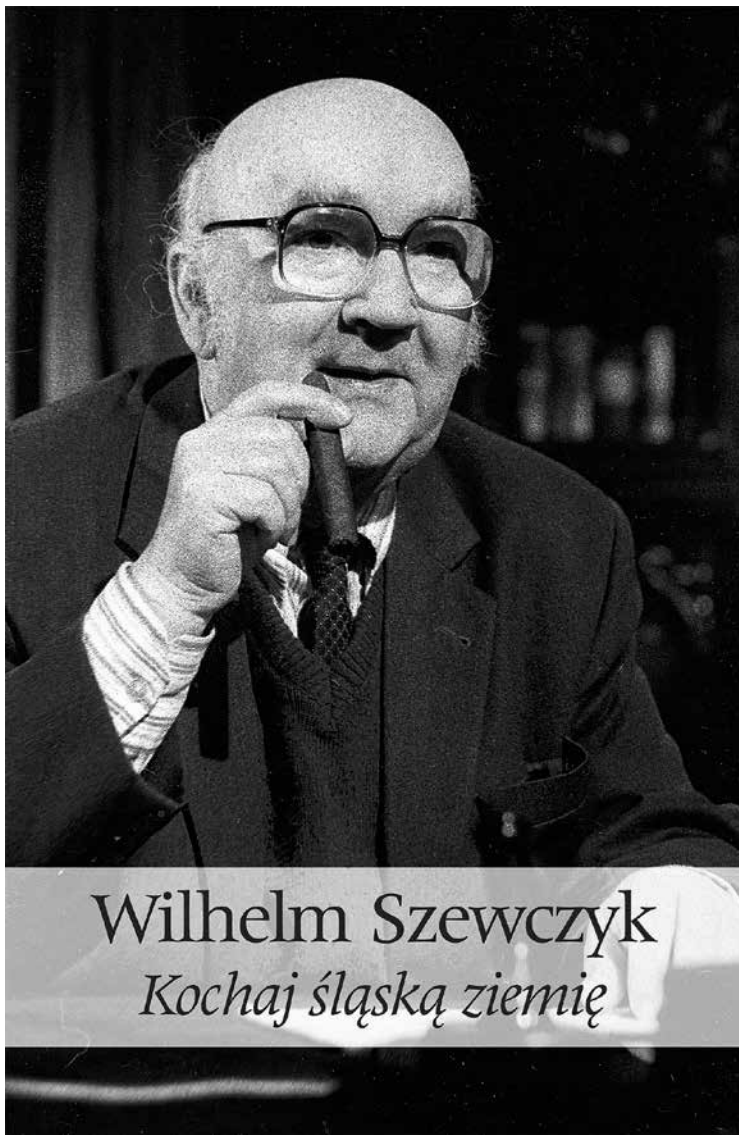
Hej!!!

Hej!!!

Acha! Oho!!

Czwartek, 31 grudnia.

Teraz już naturalnie jestem trzeźwy. I zupełnie normalny. Za to inni chodzą po ulicach, przetaczając się z boku na bok. Jest zimno. Śniegu nie ma. Kroki brzmią głucho na kamieniach ulicy. W pokoju migoce pod oknem choinka — wspomnienie chwili radości.



Wilhelm Szewczyk *Kochaj śląską ziemię*

Upiłem się u wujka Emila. Po trzech kieliszkach byłem zawiany całkowicie, doszczętnie, bezapelacyjnie. Nie mogłem nawet potem trafić łyżką do ust. Zdaje mi się, że znowu gadałem zupełnie nie do rzeczy. Na tematy polityczne oczywiście. Jak zwykle. Kręciłem coś, że Jamajka jest w wojennym sojuszu z Polską. Itd. Brednie, fanaberie pijanego umysłu.

Ale grunt, że już jestem trzeźwy. Trochę jeszcze jest mi tylko niewyraźnie. Czuje się jak rekonwalescent po strasznej chorobie.

Teraz już nawet zdaję sobie sprawę z tego, co było. Wiem również, że byłem w kinie. Na *Kapitanie Bloodzie*⁵. Cudowny film. Akcja żywa. Wątek historyczny wprowadzony z całą wiernością. Oryginalność typów (z XVI i XVII w.). Ładne sceny na okręcie korsarskim. Realistyczne ujęcie wojen morskich. No i ciekawie, i bełkocząc niezrozumiałe głupstwa.

Nie widziałem i nie słyszałem nic. Może pod choinką Stary Rok powstał i pożegnał się z Nowym. Może pod pachnącą choinką, błyszczącą od złotych kul, szeleszczącą strugami srebrnych wstęg, lepką od pachnącej, świeżej żywicy, może pod ciemno-zieloną choinką, stary brodacz powitał złamanym głosem młodego, rumianego chłopaka. Może...

A ja nie czekałem do północy. Przespałem Nowy Rok. Snem pijaczyny, psiakrew.

Chciałem napisać wiersz, ale trudno było mi się zdobyć na słowa prawdy. Nie mogłem. Chciałem napisać parę słów, maleńki epigram, maleńki dwuwiersz. Nie mogłem. Przespałem Nowy Rok, nie wiem, jak to się wszystko stało, że dziś już jest r. 1937 — więc nic dziwnego, że nie umiem napisać prawdy o tej świętej chwili.

Nie będę sporządzał bilansu z ubiegłego roku. Wiem, że w pierwszym półroczu będę tęsknił, w drugim miłość i dalej: zapały i rozczarowania; radości i smutki; praca i rozleniwienie. Tak — drugie półrocze było zmarnowane. Pierwsze — nie; chociaż o nim tak mało w dzienniczku napisałem — — —
Rok 1937.

Oby był rzeczywiście dla mnie przełomowym.

A powinien nim być. Przecież wiele spraw musi w roku tym znaleźć rozwiązanie. 1-o, matura — powiniem ja naturalnie zdać, a jeżeli ją zdam: 2-o, pójdę albo do wojska jako ochotnik, albo na posadę. To drugie w tym wypadku, jeżeli nie będę mógł zrealizować mojego największego marzenia — studia wyższe. Na pieniądze mogę liczyć jedynie w domu. Mianowicie na ojcową rentę wojenną. Jeżeli uda mi się go przekonać do kapitalizacji jego renty na całe życie — co w wypadku przeznaczenia skapitalizowanej renty na studia jest wykonywane w Warszawie bez większych zastrzeżeń — to mam zapewnić całe studia. I jeszcze ojciec otrzymałby co najmniej dwa tysiące złotych. Ale to, jak dotychczas, są tylko marzenia. Czy się spełnia i w jakim stopniu — to okaże dopiero nowy rok.

I wreszcie:

— może wypłynę... może uda mi się zadebiutować przed społeczeństwem jako młody, ale rokujący, nadzieja i pełen twórczych możliwości — literat. To byłoby najradośniejsze, najświętsze, najbardziej przełomowe. A to nawet nie jest takie nieziszczalne. Jeszcze doskonale oszlifuję mego ducha. Moja spostrzegawczość co dzień staje się rozleglejsza, rozszerza horyzonty, rozświetla zakamarki myśli ludzkiej, wzbija się ku rzeczom wzniosłym, pięknym, boskim. Staję się coraz większym i mocniejszym w[e] władztwie mego ducha. To nie jest bynajmniej megalomania. To jest jedynie szlachetna duma z umiejętności wykazania tego, co Bóg stworzył właśnie dla mocnych duchem. Świat istnieje dla mnie już nie jako arena walk życiowych — życie bowiem przepędzam poza światem — świat istnieje

dla mnie jedynie jako łąka, pachnąca w podwieczór, otulająca się w ciszę pod księżycowym niebem, na którą spoglądam z wyżyn mojej niezawisłości.

Przepraszam: powiedziałem *n i e z a w i s ł o s c i*, której w zupełności *n i e p o s i a d a m*, ale którą rozumiem, czuję, wiem jaką jest i jaką *b ę d z i e!*

Nowy Rok przetoczył się w moje życie cicho, bezszelestnie jak szary, codzienny dzień i jak kropla wody do pełnej szklanki. Dalsze lata już nie będą decydującymi kroplami — tak myślę — ta obecna wypełniła życie. Teraz powinno zacząć się wrzenie, wybuch, fermentacja.

Boże, błogosław mnie na przełomie!...

Przypisy

¹ Jan Wiktor (1890–1967) – pisarz, publicysta, działacz ludowy. Zadebiutował „opowieściami z Podlasia” *Oporni* (1919), pisał później m.in. o polskich emigrantach we Francji (*Wierzy nad Sekwaną*, 1933), Polakach na Śląsku Opolskim (przedwojenną niemiecką częścią Górnego Śląska). Największe uznanie przyniosła mu powieść *Orka na ugorze* (1935), nagrodzona Złotym Wawrzynem Literackim, przyznawanym przez Polską Akademię Literatury.

² Jan Wiktor, *Eros na podwórzu*, Wydawnictwo Literacko-Naukowe, Kraków 1932, s. 219.

³ *urwisz* (przestarz.) ‘urwis’.

⁴ *wroniec* – czarnowron, wrona czarna.

⁵ *Kapitan Blood* (ang. *Captain Blood*) — amerykański film przygodowy z 1935 roku w reżyserii Michaela Curtiza.

Metal poważnie uszkadza włosy. Plastik poważnie uszkadza włosy. Fala wåtpliwoŃci, przez anonimowych ekspertów nazywana depresją, uszkadza włosy. Zbyt głoŃny dźwięk uszkadza włosy. Nieekologiczny nadruk na koszulce uszkadza włosy. Produkt, którego nie zatwierdził koncern Apple uszkadza włosy. Przestań borykać się ze śmiesznoŃcią wśród robiących sobie zdjęcia z jedzeniem własnej produkcji! Opłać prenumerabonament a w ciągu godziny prześlemy Ci tik toka z przepisem na szampon i sposobem jego zastosowania! OFERTA, nie dla sztynnych!

– UŃmiechnij się! U nas produkuje się uŃmiechniętych! Kurwa!
– Jestem z Ukrainy...
– AAA! Więc dlaczego nie płaczesz?! Przecież płaczenie przy sprzątanii!

SzeŃ stacji po jednym drinku wpadł na wizytację i przyglądał się lżeniu. Zwolnił od ręki. Oboje.

– AAAAA!!!
– (Boże, moja ręka)
Leżała w ciszy dziesięć minut z ustami rozchylonymi w rozkosznym uŃmiechu.

– Kotek, nigdy tak się nie czułam. Uczucie jakbym doszła, ale nie do końca, które trwało w nieskończonoŃ. Dziękuję ci...

– Dobrze. Tyle razy musiałem słuŃać kaszlu tego skurwiela z góry. Niech on raz czegoś posłucha.

– Znaczy, byłam twoim Ńrodkiem zemsty, tak?! Jak mogłeŃ?! A ja cię kochałam!! Tak mnie szanujesz?! Ty mnie nie kochasz!! Mama miała co do ciebie rację!! JesteŃ jak twój ojciec!! (95%). (ZaŃmiała się). (5%).

Wnuk, matka i pies wracają z mieszkania chorej babci. Mężczyzna jako pierwszy nacisnął przycisk windy, niewidoczny zza warstwy...

Wybór jest jeden, windy są dwie.

Jeszcze przed pierwszymi przesłankami kobieta i pies (dwunastoletnia suczka) podeszły do prawego szybu. Mężczyzna nie zauważył. Myślał o wietrze, który zawiął mu ze zsypu, mieszczącego się koło windy. Z tych nieprzyjemnych.

Gdy podjechała winda, kobiety wsiadły i długo trzymały drzwi, by mężczyzna mógł zamknąć je za sobą i stwierdzić, że potrzebna jest tu wymiana lustra.

Jestem dzieckiem z kiedyŃ.

Dziadek wszedł do pokoju ze spraną szmatką kuchenną na ramieniu. Mały, z bujną, naiwną wyobraźnią i nadzieją siedziałem w pokoju przy udawanym stolicku. Dziadek utykał, nie pamiętał słów, nie wymawiał imienia wnuka, ale potrafił powtórzyć scenę, którą pokazał synowi córki kilka lat temu. Pamiętał. Bawiliśmy się w kelnera i klienta.

Minęło dwadzieŃcia lat, dalej płaczę, a po pierwszych siwych włosach brody spadają te same łzy.

Byłem kiedyŃ na nieudanej randce i jak każdy o zdrowych zmysłach chciałem się z niej wykręcić. Niestety jestem tym jednym na pięciu, który posiada jakiś niezauważalny w lustrze, ale za to zauważalny dla innych, napis na czole. „Opowiedz mi swojå historię”. Moje ŃczęŃcie można kupić w kostkach, ale tylko w nieistniejących juź marketach Tesco.

Po randce w galeriowym Maku, załatwiam się w toalecie publicznej. W najmniej oczekiwanym momencie przygniata mnie pijane ciało całkiem trzeźwo myślącego nieznanomego. Z rozmowy wynikało, że obaj mamy wolny wieczór.

Porwał mnie, prawie za rękę, ale zdążyłem przejrzeć się w lustrze. Poglądziłem tylko worki pod okularami z pobłażliwoŃcią misjonarza i popłynąłem za żółtą kurtkę towarzysza, którego imienia dotąd nie znałem. Nie jestem pewien, ale wyglądał jak ten Tom Cruise, którego widziałem ostatnio na strajku kobiet dwa lata temu.

Więcej grzechów nie pamiętam.

Czasem nie wytrzymuję i płaczę. Zwykle wieczorami, przed snem, samotnie w pokoju. Nie robię tego przy ludziach, nawet tych, których kocham bardziej od siebie. Tylko sam przed sobą potrafię być kruchy, wydaje mi się, że z dnia na dzień coraz bardziej. Moi bliscy i dalsi widzą słowa i gesty rąk, bo to jedyne ubrania, które noszę swobodnie, choć nie wiem czy do mnie pasują, nie mam dobrego lustra. Zimą lubię się schronić, bo czuję jakby mój rozum i poczucie wartoŃci ucięły sobie drzemkę. Tylko ja nie mogę spać, niestety, obowiåzki... Kłóca się z moją naturą. W nocy najlepiej się myŃli, przynajmniej samemu. Ale to doŃcý groźne, tylko utrwała się błądy, a nie ma komu ich naprawić. Może dobrze byłoby zacząć żyć jak inni ludzie, za dnia i praktycznie. Muszę odkurzyć parasol.

Czasem dziwię się, że jesteŃmy spokrewnieni. Mam tylko twojå gębę, która i tak inaczej się uŃmiecha i inaczej smuci. Inne oczy, chociaŃ i tobie i mnie mówią, że tylko to mamy niezmiennie od lat. Ciągłe ubliżasz mi pod kątem mojej teoretycznoŃci i romantycznoŃci, a to tak, jakbyŃ przekreŃlił mnie całego; tylko z tego się składam, tylko to czuję i tylko to jest dla mnie waŃne. ŃczęŃcie jest w abstrakcji. Ty nigdy jej nie czuleŃ, dlatego sypie się twoje ósme chyba małżeństwo, przestałem juź liczyć. PrzyziemnoŃ i praktyka jest koniecznoŃciå, narzędziem przeŃycia. Ale to odróżnia nas od HIV-a, że potrafimy zatracić się w ŃczęŃciu, a nie tylko w przetrwaniu. Ta pedalska abstrakcja jest perłą w koronie, promieniem słońca, padającym na szczyt piramidy. W sumie na co ci on? Masz piramidę. Ale czy nie budowałeś po to, żeby właśnie blask rozŃwietlił jej wewnętrzne sale? Dlaczego ciało faraona balsamowane jest olejami, wartymi całe wioski, skoro biedota oŃiåga podobny efekt, wpierdalając dziadka do gorącego piasku? Czy te pałace, które budujesz „karingtonom” nie są wraŃem ich abstrakcji? Oni o tym wiedzą. Najzabawniejsze jest to, że nie trzeba być nimi, by żyć równym z nimi ŃczęŃciem. MoŃe nawet większym. Wystarczy powiedzieć skromne pedalskie: „Kocham Cię, skarbie/tato/synu”.

Wykształcenie mówi: „motyw sobotwtóra”, ojciec mówi: „kameleon przeŃmiewca”, sam mówiłem kiedyŃ: „konflikt Areasa z Hefajstosem”. A to po prostu ja. Jedna kartka, jasne, podarta do połowy na dwoje, gdzieŃ tam fragment niewyraźnie napisanej poezji, gdzie indziej szpachla, sperma i piwo w jednym miejscu. A co, ja jeden? Ja jeden uciekam przed dorosłoŃciå, która moŃe przynieŃć Ńmierć tej radosnej, koniecznej perspektywie? A moŃe dlatego, że nie wiem, jak być dorosłym? Przecież romantycy nie dożywają... a ci, którzy jednak dają radę... znam dwoje... rodziców.

Miewam sny o pięknych dziewczynach, które pojawiły się w moim życiu. Niektóre są juź niemal staruszkami, inne nie zmieniły się ani o dzień i tym właśnie budzą moje sprzeczne emocje. Z jednej strony udowadniałbym im dzień po dniu, że nie warto są nawet nienawistnego spojrzania. W drugiej części miniseriału byłoby miejsce na ŃczęŃliwe zakoŃczenie, wbrew mojej, a przede wszystkim ich naturze. Wampiry

z ofiarami to innowacja, kto wie czy nie przełomowa. Budzę się wtedy z równie mieszanym poczuciem winy i satysfakcji. Wywołuje je obraz innej kobiety, która pojawiła się w moim życiu dziełem niesamowitego przypadku. Na platformie, którą skazałem na niepowodzenie, pochodząc z miejsca, w którym zaznałem niemało cierpienia, przedstawiając postawę, której unikam u innych. Była odbiciem mnie: wystraszonego, zagubionego, szukającego szczęścia bez większego entuzjazmu. To ona podniosła mnie z kolana, bym ja mógł podnieść ją znacznie wyżej. Wzięła mnie ze sobą. Minęło zaledwie kilka lat wspólnego życia, a mam wrażenie jakby wszystko wcześniej było jedynie czytana mi przez mamę baśnią na dobranoc.

Spójrz, dwaj owłosieni faceci, piją, chwytają się za ramię, mówią, że się kochają, słuchają muzyki. Czego oczekujemy? Ty chciałbyś SYN A, pewnie z wykształceniem inżyniera, ostry język, i żebym w końcu zrobił prawo jazdy, najlepiej na Volvo, jak dziadek.

A ja jestem mężczyzną, który rozkłada ręce, oczywiście w badaniach, które wnoszą tyle, co literatura. Tańczę do twarzy pokoleń, ale przecież dziadek mówił, że drugi to ostatni.

A ja tęsknię za dziadkiem, który widział moje nowe buty, który jadł ze mną śniadanie i mówił do mnie, nie ważne co. Który owijał mi głowę ręcznikiem, gdy siedziałem na palce i rozgrzewał zimne uszy.

Czy już rozumiesz, dlaczego nie chcę dziecka?

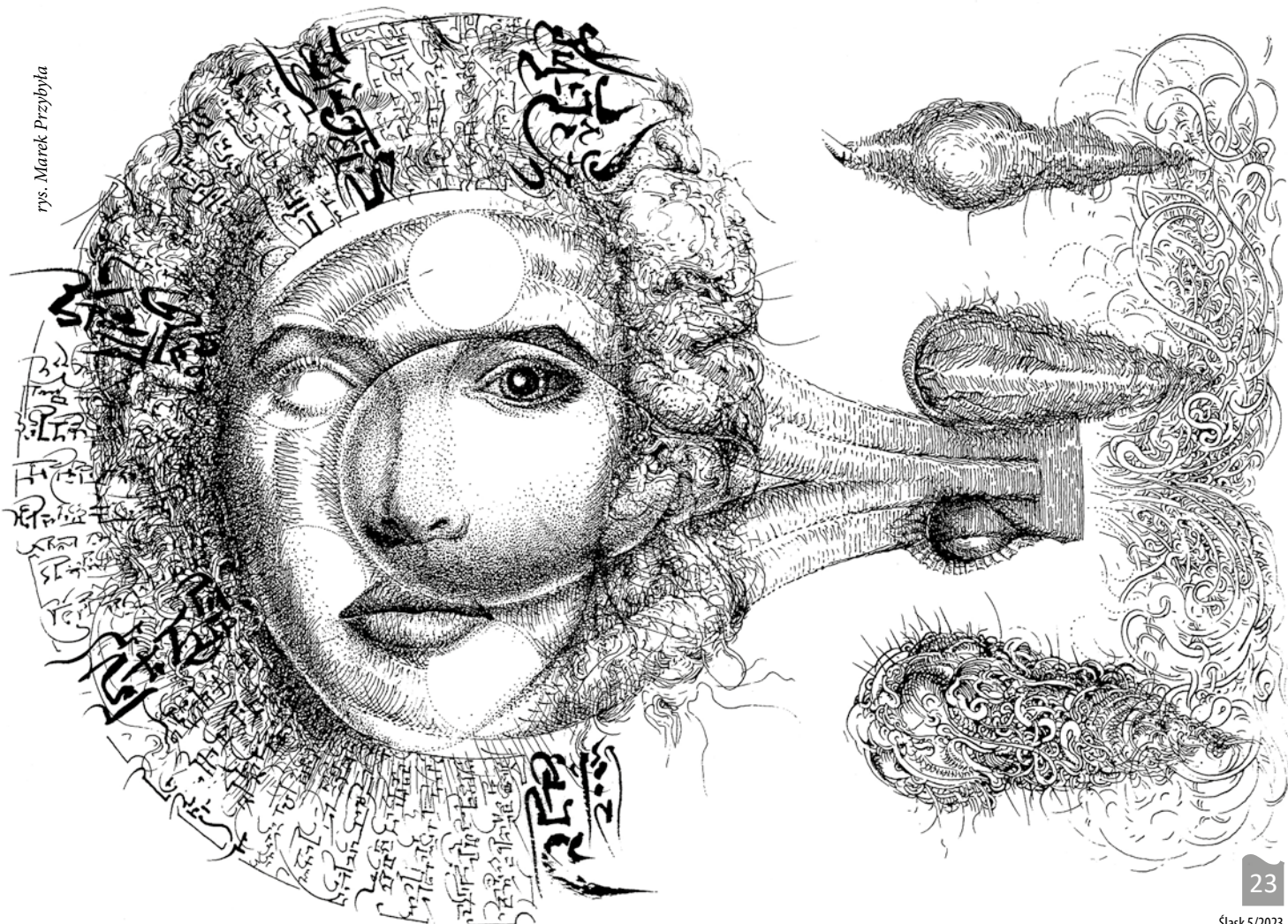
Twardy mężczyzna potrafi tęsknić. Kobieta? Często bywają różne życiowe miłości, gorzkie życie wypłukuje romantyczne oczekiwania. Ideał? To materia, która płynie szybciej niż tygodni rzeka. Mężczyzna tęskni do ojca. Widzi go niedosko-

nałym, pamięta momenty zawodu. Ojciec jest tym niesamowitym wzorcem/odbiciem/sobowtorem. Może stąd rodzi się ta agresja chwytania za szyję. Siwe włosy dotykają tych ledwo wykłutych. „Nigdy” to słowo ojca do syna. A dlaczego nie: „Kocham”? Tak ciężko przytulić? Łatwiej wyrzucić, by ochłoniął z nerwów, nieheteronormatywności, nie bycia odbiciem? Jeśli widzisz w synu zagrożenie, to może użyj jedwabnego sznura, polecam, tradycyjna osmańska metoda.

Zagubienie ruchów. Krewni, którzy nigdy nie mogą trafić w ramiona rodziny. Spotkanie to najgorszy wymiar, trudny dla ugodowych, ognisty dla bezkompromisowych. Tradycja jest i nie jest. Rozmywa między rodzinnymi emocjami. Jeśli żałoba jest szczerza zostanie zgnieciona. Nawet zimne ręce umyte w zimnej wodzie nie umkną uwagi samozwańczego wodzireja. Szczęściem jest goniący autobus. Uściskanie dwa razy w życiu niewiele kosztuje.

Tato, chyba wiem, jak się umiera. Witek i Renia we śnie, i Jurek, który na pewno kłócił się na Rozprawie, coś by o tym powiedzieli. Całe nasze życie podzielone jest na pół. Rodzisz się, ale nie pamiętasz, że żyłeś, żyjesz, ale pod koniec zastanawiasz się, po co poszedłeś do zoo akurat wtedy, kiedy zwierzęta były karmione. Kiedy umierasz, czujesz jakby po trochu zalewał cię piękny marmur. Stajesz się w końcu częścią tego wszystkiego, zapamiętaną w uczuciu; wiesz, że śnieżynka soli z twojej łzy zostanie arcydziełem. Boisz się przejścia. Nie widzisz tego, co za drzwiami, chociaż są otwarte. Dom rodziców czy dno jeziora, które nigdy cię nie udusi. Na to nie odpowiedziała nawet cisza. Przekonaj się, kiedy spojrzysz na swoją inną twarz.

rys. Marek Przybyła



Dziennik zdruzgotanego życia (10)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

Szczegółowa i całkowicie prawdziwa historia tego kraju byłaby chyba najbardziej pouczającą książką, jaką można by ofiarować przemyśleniom ludzi, ale nie sposób jej napisać.

Astolphe de Custine, *Listy z Rosji*, Tłum. Marian Górski, Maria Leśniewska

17.02. Wczoraj cały dzień praktycznie bez telefonu i internetu. A dziś, jak zwykle, w pracy. I tak jakoś dzień mi mija w miarę spokojnie. Syrena odezwała się tylko raz. Co Rosjanie szykują? Tego dokładnie nie wiemy, ale nasz wywiad przypuszcza, że na 24 lutego szykują nam trzy fale rocznicowych ataków z powietrza. Krótko mówiąc, jeśli dożyjemy do marca, będziemy nadal żyć. Muszę? No pewnie, że muszę. Pamiętam, że wciąż mamy coś do napisania, a drugiej takiej jak ja łatwo nie znajdziesz. No i mamy pójść razem do teatru.

Jak widać nawet niewielka chwila wytchnienia sprawia, że Annie wraca poczucie humoru. Tymczasem pod wieczór media informują o kilku alarmach przeciwlotniczych na całej Ukrainie.

18.02. Jak się masz, mój drogi? Tu dziś rano polatały sobie znów rakiety. Uderzenie skierowane było głównie w zachodnią Ukrainę. Ale to nie wszystko. Wyobraź sobie, że SBU otrzymała wiadomość, że jeśli wojna nie zakończy się w ciągu dziesięciu dni, to wszystkie nasze stacje metra w Dnipro, szpitale, placówki oświatowe i temu podobne zostaną wysadzone w powietrze. Wyobraź sobie ten dom wariatów, jaki nam tu teraz urządzili. W oczywisty sposób dążą do wywołania paniki wśród ludności. Nie pisałam ci jeszcze o tym, ale mniej więcej co tydzień mamy fałszywe alarmy bombowe w galeriach handlowych i szkołach. Dlaczego wybrali Dnipro? Może właśnie dlatego; jak w tej bajce o chłopcu i wilku. Tyle razy podnosił fałszywy alarm z powodu nieistniejącego wilka, że kiedy prawdziwy wilk nadszedł, nikt nie reagował. Musimy wystrzegać się zobojętnienia na zagrożenie, a jednocześnie nie ulegać panice. Trudne i męczące? Oczywiście, ale czy możemy inaczej? Mam się nie bać wilka? Obiecuję, że nie będę.

No cóż, wyjątkowo perfidna metoda prowadzenia wojny psychologicznej, a także sposób, by odpowiednie służby zając tak, by nie mogły reagować na prawdziwe zagrożenia. Wolę nie wyobrażać sobie tego, co może się dziać w Dnipro za dziesięć dni, nawet jeśli nic się nie wydarzy. Napięcie będzie ogromne.

19.02. Dziś w pracy, ale bardzo niewyspana. Na razie spokoj, a ja marzę o długim i solidnym śnie, ale pewnie nic z tego nie będzie.

Wysłałam Annie link do video z kojącą muzyką.

Ty sobie tu lirycznej muzyczki słuchasz, a tam rosyjski propagandysta obiecuje twój kraj w dwadzieścia minut przenieść do epoki kamienia łupanego (filmik z wystąpieniem propagandy). Jestem w szoku. Jak można pleść takie bzdury? Czy oni muszą swój zasmakany nochal wtykać do wszystkiego i wszędzie? Po pierwsze musieliby najpierw nas pokonać, a poza tym ściągliby sobie na kark całe NATO. Czy ten osioł o tym nie wie?

Wie bardzo dobrze, odpowiadam. Liczy jednak na to, że ci, którzy go słuchają, nie wiedzą.

21.02. Wczoraj był dla nas wielki dzień, a dziś jest dla was. To była dla nas niezwykle ważna wizyta. Byliśmy podekscytowani i dumni z naszego prezydenta. Także pod wrażeniem przemówienia Joe Bidena. Zrobił wszystkim niespodziankę, przyjeżdżając do Kijowa.

To fakt. Spodziewaliśmy się prezydenta USA tylko w Warszawie, a on pojechał najpierw do Kijowa, nadając swojej wizycie głębszy sens. Jakkolwiek by nie oceniać jego przemówienia, ta wizyta, w jej ostatecznym kształcie, była niezwykle istotnym wydarzeniem, być może, jak chcą niektórzy, epokowym. Lecz to ciągle wielka polityka, której wpływ na dramatyczne życie Anny dopiero może się po jakimś czasie ujawnić. Na razie na tych niższych poziomach życia jest, jak jest.

23.02. Wczoraj miałam wolny dzień. Niewiele zdziałałam. Zdaje się, że zupełnie tracę energię życiową. Zmusiłam się jakoś do zrobienia podstawowych rzeczy. Czulałam się jak wyczerpany akumulator, który wymaga pilnego doładowania. To miłe, że uważasz mnie za kogoś, kto tak łatwo się nie poddaje, i że doładowanie niebawem nastąpi, ale sprawa jest poważna. A dzisiaj? Z niepokojem oczekujemy „rocznicowego” ostrzału. Mamy nadzieję, że ta zapowiadana nowa broń dotrze na czas. Nasi chłopcy w Bachmucie są zagrożeni okrążeniem. Zmieniając temat: Kijów stał się teraz celem pielgrzymek europejskich, i nie tylko, polityków. To świetnie, okazują solidarność i wspomagają nas, ale ma to także swoją piarową stronę. Pokazują, jacy są odważni. Czasem jednak nachodzi mnie taka głupia myśl: ilu z nich zmienia gatki zaraz po przekroczeniu polskiej granicy?

Dziś przeczytałam czterowiersz napisany przez jakąś kobietę z Dnipro. To obraz mojego życia w ciągu minionego roku.

*Minął już prawie rok,
a moje ręce drżą jak za pierwszym razem...
Jestem starsza o rok,
ale moje serce postarzało się o całe stulecie.*

Szczególny dzień, ponura rocznica. Oglądam wideo, ukazujące „pobudkę” pod ambasadą Federacji Rosyjskiej w Warszawie – jest godzina szósta rano, słychać wycie syren, odgłosy wystrzałów. Myślę sobie, że może dobrze czasem przekonać się na własnej skórze, jakie efekty dźwiękowe niesie ze sobą wojna (nie żadna tam „operacja specjalna”), jaką się wywołało. Jadę po gazety. We wszystkich tytułach dominuje rocznica.

W „Wyborczej” na pierwszej stronie komentarz Adama Michnika w dwóch wersjach językowych – polskiej i ukraińskiej. Militariów w mediach nie za wiele, natomiast pod



obserwacją dziennikarzy są ludzkie losy. Zdarzają się historie tak dramatyczne, że nie sposób czytać bez ucisku w gardle. Także Anna dzieli się ze mną wspomnieniami z pierwszych dni wojny. Zaczyna jednak od komentarza do warszawskiej pobudki:

24.02. *Och, jak fajnie, że oni także usłyszeli rano syreny i strzelaninę. Podoba mi się to. U nas też zawyła rano, ale teraz spokój.*

Potem wymieniamy uprzejmości i nagle robi się poważnie, wręcz dramatycznie. Ania wraca do tamtej lutowej nocy sprzed roku. Wideo z ostrzału Dnipro. Jakże koszmarnie musiało być wówczas jej przebudzenie.

Tego nie da się zapomnieć ani wybaczyć. Wiesz, Kochany, ja to dokładnie pamiętam, jak by to było minionej nocy. Ten huk eksplozji dochodzący z lotniska, te rozbłyski na niebie. A potem zajmowali jedno miasto po drugim. Nie zapomniałem tego zwierzęcego strachu przed ich piechotą, kiedy dowiadaliśmy się o horrorze w Buczy, Irpieniu... Wiedzieliśmy co nas czeka, gdy wejda. Zwłaszcza nas, kobiety. Pamiętam, jak zastanawialiśmy się z przyjaciółkami, gdzie najlepiej ukryć pod ubraniem nóż. Po co nóż? Otóż przysięgaliśmy sobie, że zanim zostaniemy zgwałcone i zamordowane, bo taka była zwykła kolej rzeczy, każda z nas zabierze choć jednego skurwysyna ze sobą. Może to brzmi strasznie, ale tak było. Straszne także jest to, że od tamtych wydarzeń minął rok, a ja nadal myślę tak samo. Nie tylko ja i dlatego nigdy nas nie złamią. Tak, zgadza się. Jestem bardzo już zmęczona. Wszyscy jesteśmy zmęczeni i na skraju nędzy, ale każdy Ukrainiec, jeśli będzie trzeba, stanie z flagą naszego kraju i hymnem na ustach, nawet jeśli by to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

Patos? Nie inaczej, ale jakoś mnie nie dziwi ani nie razi, bo wynika z autentycznej rozpacz.

25.02. *Witaj, mój drogi. Czuję się dziś dobrze, ale od rana syreny. Na szczęście niewiele się w mieście dzieje, ale panuje jakiś taki grobowy nastrój, jakbyśmy wszyscy czekali na śmierć. Kurwa, to jest nie do zniesienia. Ktoś, kto powiedział, że oczekiwanie na śmierć jest gorsze od samej śmierci, miał pieprzoną rację. Przecież wiemy, że ten zmasowany atak raketowy nastąpi, tylko, cholera, nie wiemy kiedy. I ta niepewność nas zabija.*

U nas piszą o polskim legionie ochotniczym na Ukrainie i pierwszych Leopardach.

No to wreszcie jakaś pocieszająca wiadomość. Czytałam o czterech. Ale, słuchaj, nawet ci ich skretyniali propagandyści zaczynają coś przebąkiwać o porażce.

Zaczynamy trochę żartować i nastrój Ani wydaje się nieco poprawiać. Ale czy na pewno i na jak długo? Media rozpisują się o pomocy psychologicznej dla uchodźców. Wydaje się jednak, że to, co jesteśmy w stanie im zapewnić, jest kroplą w morzu potrzeb, a najbardziej poszkodowane są i będą dzieci. Kto pomoże ludziom, którzy jak Anna, pozostali na Ukrainie? Kto pomoże tym, którzy byli ofiarami czy choćby świadkami największych okrucieństw? Pod tym względem ten kraj nawet po wielu latach po wojnie będzie ogromnym wyzwaniem dla społeczności międzynarodowej, bo sam nie da sobie z tym rady.

26.02. *Witku drogi, dziś mamy szczególny dzień, ważne święto – „niedzielę przebaczenia”. Powinniśmy prosić osoby nam bliskie, zwłaszcza te, które kochamy, by wybaczyły nam wszystkie przykrości i przewiny, jakich wobec nich kiedykolwiek dopuściliśmy się. Dlatego także i ciebie proszę, abys mi wybaczył, jeśli kiedykolwiek cię w jakiś sposób dotknęłam lub sprawiłam ci przykrość.*

Poprosiłem Annę o to samo. Niedziela przebaczenia zobowiązuje. Poza tym mściwość ani pamiętliwość chyba nie leżą w moim charakterze. Tak mi się w każdym razie wydaje i takie święto przydałoby się także i u nas. Nie tylko w przestrzeni osobistej, ale także społecznej.

Uwielbiam to święto. Może dlatego, że sama potrafię wiele zrozumieć i wybaczyć. Jednego tylko wybaczyć nie potrafię: przemocy wobec kobiet. Mężczyzna bijący kobietę nie tylko okazuje swoją słabość mentalną i fizyczną, ale także jest tchórzem. Poza tym, jeśli uczyni to raz, będzie to robił znowu. Za sowieckich czasów popularne było takie powiedzenie: jeśli facet bije, to znaczy, że kocha. Boże! Jak ja takich gadek nienawidziłam.

U nas brzmiało to mniej więcej tak: jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije. Niby żart. Też tego nie lubiłem. Ale mam pytanie: czy prawosławna Rosja także uznaje to święto?

W zasadzie powinni, tylko że oni teraz mają dość specyficzne prawosławie. Zawiera się w nim także idea „świętej wojny”.

Jakie poniedziałkowe wieści?

27.02. *Nic dobrego. Minionej nocy atak dronów, a dziś ogłoszono duże prawdopodobieństwo ataku raketowego. Nowy okręt z wyrzutniami pojawił się morzu. Na razie spokój, ale ludzie są podminowani, a je też mam złe przecucia. Co będzie, zobaczymy.*

Nie ma sensu przytaczać medialnych komentarzy i przewidywań. Wiadomo, że będzie ciężko i należy mieć nadzieję, że cena, którą wciąż płaci Ukraina, będzie ceną zwycięstwa i pokoju na jej warunkach.

28.02. *Miasto stara się żyć normalnym życiem. Chyba wszyscy się tu staramy. Musisz jednak wiedzieć, że wielu mieszkańców w ostatnich dniach wyjechało – do krewnych na wieś, do miejsc, które uchodzą za bezpieczniejsze. Spodziewają się, tak jak my wszyscy, zmasowanego ataku na największe aglomeracje, takie jak przede wszystkim Kijów. Dnipro należy do największych. Uważamy, że jest to nieuniknione, tak jak rosyjska ofensywa na dużą skalę wiosną. Mniej więcej wiadomo, gdzie gromadzą sprzęt i uzbrojenie. Osobiście jestem przekonana, że to będzie ich ostatnia próba. Sam Putin ostatnio zaczął śpiewać na nieco inną nutę. Tak jakby dotarło do nich, że nie wygrają tej wojny. Najgorsze jest jednak to, że tak bardzo starają się zniszczyć, co tylko mogą i pomordować tylu ludzi, ile tylko będą w stanie. Naszych i swoich. U nas się mówi w takich sytuacjach: „jeśli nie dam rady zeżreć, to przynajmniej pogryzę”.*

Bachmut to najgorętsze miejsce w ostatnich tygodniach. To dla mediów, bo tak naprawdę zacięte walki toczą się tam od miesięcy, a zdjęcia z pola walki przypominają cmentarzysko albo Stalingrad. Początki Bachmutu datują się na rok 1571. Kroniki odnotowują istnienie twierdzy granicznej o tej nazwie.





Jednak do rangi miasta została ta miejscowość podniesiona dopiero w 1783 roku. W chwili wybuchu wojny Bachmut liczył niemal 80 tys. mieszkańców, ale to już przeszłość. Właśnie oglądałem w telewizji ostatnich, nielicznych mieszkańców ewakuujących się z tego miasta. Transformacja i rozwój tego miejsca w dużej mierze łączy się z wydobywaniem soli na skalę przemysłową. Istnieje przypuszczenie, iż Jewgienij Prigożyn, właściciel prywatnej armii, znanej pod nazwą Wagnerowców, dlatego wziął się na zdobycie miasta niemal za wszelką cenę, ponieważ ma plan zawładnięcia tamtejszymi pokładami soli, co zapewniłoby mu niebotyczne dochody. Był także czas, gdy tamtejsze winnice służyły z win musujących.

Wróćmy jednak do historii. Tak się jakoś złożyło, iż nadanie praw miejskich Bachmutowi łączy się z ostatecznym rozprawieniem się przez Katarzynę II z kozactwem. Wojownicy nie byli jej już potrzebni. Siedem lat wcześniej podpisała traktat pokojowy z Turcją, Chanat Krymski stał się rosyjskim protektoratem, więc Kozacy byli jedynie zawadą na drodze do ustanowienia czegoś, co miało nosić nazwę Noworosji. Wolni ludzie z dawnej Sycylii zostali wywiezieni na Kuban, a na ich miejsce sprowadzono osadników z Niemiec i z Serbii oraz oczywiście z Rosji. Ziemie przekazano rosyjskim możnowładcom, a ich ukraińskość miała zostać wymazana z historii. Za sowieckich czasów zmieniono nazwę miasta na Artiomowsk, a dawną przywrócono w niepodległej Ukrainie. Obecne ruchy separatystyczne na tych terenach, wspierane przez Rosję, są próbą powrotu do pomysłu carcy. Na tle tych kilku faktów historycznych wyraźnie widać powód, dla którego Ukraina przywiązuje taką wagę do odzyskania tych ziem, w tym także Bachmutu, a Rosja tak zajadle je atakuje.

3.03. *Dzień dobry, Witku. Miałam dwa bardzo pracowite wolne dni. Odwiedziłam mamę, odrobiłam mnóstwo zaległości w pracach domowych. Teraz jestem w pracy, a w całym kraju znów te cholerne syreny. Tutaj także. Czy udało mi się trochę odpocząć? Nie bardzo. Jestem nawet bardziej zmęczona, ale i zadowolona, bo udało mi się tyle spraw pozatapiać. A teraz zrobię sobie przerwę na kawę.*

4.03. *Cześć, mój drogi. Jestem w pracy i wszystko we względnie porządku. Względnie, bo od rana już było kilka alarmów. Wybuchy w Zaporozżu. Rosjanie podwoili liczbę wyrzutni na morzu.*

Jak rozmawiać, kiedy w tle słychać eksplozję? Udawać, że nic się nie dzieje, że nas to nie dotyczy? Zbywać to ponure tło jakimś cynicznym żartem? Początkowo wydawało mi się, że tak będzie można; w końcu to tak daleko i Ania jest dla mnie obcą, przypadkowo w gruncie rzeczy poznaną osobą. Okazało się jednak, że to trudne. Równie trudne, jak wpadanie w podły nastrój, ilekroć dowiaduję się o atakach rakiet czy dronów. Nie potrafię sobie powiedzieć, że to gdzieś tam o tysiąc kilometrów stąd i Ania ma swoje wybuchy, a ja mam swoje radio z nastrojowym jazzem i tak już ten świat został podzielony, a my tego nie zmienimy. Tym bardziej, że tysiąc kilometrów dla rakiety nowej generacji to tyle co nic. I ten sączący się z głośnika jazz zaczyna mnie irytować. A właśnie dzisiaj było tak:

5.03. *Piszę do ciebie, a tu huk, jak cholera. Nie wiem, czy to rakietą, czy nasza obrona przeciwlotnicza. Nie mam jak sprawdzić. Wydaje się, że jestem teraz bezpieczna, ale nerwy mam napięte do granic możliwości. Tak jest w dzień, a w nocy nie lepiej. Uwierz mi, że to koszmar. Nie ma sposobu, żeby zlikwidować to nieustanne napięcie. Najgorsze jest jednak to, że życie w nieustannym napięciu obniża sprawność mojego umysłu. Nie potrafię się już skupić na niczym, zapominam o wielu ważnych rzeczach, a moje myśli pędzą bezładnie w różnych kierunkach. Teraz zmagam się ze swoim umysłem, żeby napisać do ciebie tych kilka składnych zdań. A kiedyś wydawało mi się, że jestem osobą racjonalną i dobrze zorganizowaną.*

Dzień zaczyna się nieprzyjemnie. Media informują o zerwaniu przez narodowców w Poznaniu spotkania z wybitną ukraińską pisarką, Oksaną Zabużko. Anna nie komentuje, raczej mnie uspokaja. Wstyd i złość. I pytanie: zwykła głupota, czy zlecenie Kremla?

8.03. *Posłuchaj, mój drogi. Oksana to mądra kobieta i doskonale wie, że są ludzie, nie tylko u was, dla których zawsze będziemy banderowcami. I coś ci jeszcze powiem; wszystko na tym świecie może mieć swoją jasną i ciemną stronę. Ani ty, ani ja tego nie zmienimy. Szczerze mówiąc o wiele bardziej nas bulwersuje i smuci zamordowanie naszego żołnierza, jeńca, za powiedzenie do orków „sława Ukraini”. Z pewnością widziałeś ten okropny filmik. Sukinsyny wiedzą, jak doprowadzić cały nasz kraj do płaczu. Ale ten filmik pokaże światu, jaka jest różnica między rosyjskimi „gierojami”, a Ukraińcami. Za wskazanie sprawców wyznaczono nagrodę – 30.000 dolarów i ta kwota wciąż rośnie. Mam nadzieję, że wszyscy mordercy poniosą sprawiedliwą karę.*

A drony i rakiety?

To już taka codzienność, że nie chce mi się o tym wspominać. Były, owszem, czemu by nie?

Kolejna ciężka noc dla Ukrainy. Alarmy w całym kraju. Są, niestety, także ofiary, nawet w okolicach Lwowa. Oglądam w mediach przerażający filmik z ataku na Dnipro. Nieustająca łuna na nocnym niebie nad miastem. Anna komentuje:

9.03. *Ta noc była naprawdę straszna. Oni uwielbiają różnego rodzaju święta. Wczoraj w ciągu dnia było spokojnie, co mnie zaskoczyło. Spodziewałam się świątecznych (Dzień Kobiet) „pозdrowień” od rana. Ale wieczorem zaczęło się na całego. Trwało to ponad 6 godzin i objęło, jak zapewne wiesz, cały kraj. W rezultacie przez całą noc nie zmrzulałam oka i jeszcze teraz jestem tak napompowana adrenaliną, że w ogóle nie czuję się niewyspana. Przed wojną nawet nie wyobrażałam sobie, że istnieje taki poziom strachu i nienawiści. Na szczęście wciąż mamy prąd. Te łajzy jednak wciąż marzą o tym, żebyśmy pozdychali z zimna i z głodu. O, takiego! Wyczytałeś, że większość tych miast, które już zrównali z ziemią i które właśnie niszczą, założył Potiomkin? To prawda. Dziwi cię to, że tak beztrasko likwidują jego ślady? Przecież to idioci, nie wiedziałeś o tym? Tak sobie myślę, że byłoby znacznie gorzej, gdybyśmy nadal mieszkali tam gdzie przedtem, w bloku nieopodal lotniska i w pobliżu elektrowni. Kiedy wybuchła wojna, pomyśleliśmy, że lepiej będzie, bezpieczniej, przeprowadzić się do starego, niezamieszkałego od kilku lat domu, w którym teraz jesteśmy. Okolica jest ładna i rzeka blisko, ale nie to zdecydowało, że postanowiliśmy ten stary dom trochę odremontować i tu się przenieść. Kiedy w nocie takie, jak miniona nie mogę zasnąć i zastanawiam się, co mogłoby nas spotkać, a zwłaszcza dzieci, w tamtym miejscu, gdybyśmy tam pozostali, skóra na mnie cierpienie.*

Ludzie z innej planety (4)

ZBIGNIEW KADŁUBEK

„[...] na przystankach obserwowałem ludzi z innej planety”

Zygmunt Haupt
w Katowicach w 1937 roku

Był sobie taki człowiek, który miał urodziny miesiąc temu. Pięćdziesiąte urodziny, Abrahama. A potem zaraz umarł i zakopali go w ziemi na cmentarzu ewangelickim w Zabrze. Był taki człowiek, który był Górnoślązakiem, ale w ogóle go to nie obchodziło. Był tak śląski, że aż coś we mnie karłało, gdy stałem blisko niego, ale sprawy śląskości po prostu miał w nosie.

Jak już mówimy o tym nosie. Janusz był trochę zaniebany, często miałem ochotę podać mu chusteczkę, aby się wysmarkał. Ale on nie miał czasu. Nieustannie z kimś dyskutował, z zamkniętymi oczami. Mógłby to być Teodoret z Cyru albo Nemezjusz z Emezy – albo jego ukochana babcia. Z tamtymi rozmawiał po grecku, a z babcią po niemiecku.

Doktor Janusz Kucharczyk żył krótko. Śmierci się nie bał, św. Pawła cytował, Jana Kalwina tłumaczył na język polski, rozpoczął siedemnaście tysięcy artykułów naukowych, ani jednego nie skończył. Iliadę zdawał prosto z kapsy – na poplamionej kartce i trochę brudnej Achilles wcale nie przestawał być groźny. Zresztą Januszowi w jakimś sensie ta kartka nie była potrzebna, ponieważ Iliadę umiał na pamięć, tak samo jak Dzieje Apostolskie.

Studiowałem z nim filologię klasyczną. Na roku nas było siedmioro. Trudno było Janusza nie zauważyć. Ciągle mnie wypytywał o coś o Jezusie. Nie byłem w stanie odpowiedzieć, ponieważ byłem zajęty przyglądaniem się Gosi. No i Janusz nie wytrzymał, bo pytań miał dużo, a my, pierwszy rocznik studentów filologii klasycznej w Uniwersytecie Śląskim, troszeczkę byliśmy pochłonięci Ti-bullusem, trochę Metallicą, a najbardziej seksem.

No i Janusz nie wytrzymał – poszedł do filozofów, rozpoczął studia. Ale filozofowie, mimo że czytali Platona, dodam, że z błędami w akcentach, również Januszowi nie byli w stanie pomóc. Szukał odpowiedzi u jezuitów, u Lutra, Kalwina, baptystów i chyba nigdy od nikogo niczego o Jezusie się nie dowiedział. Sam był odpowiedzią.

Ostatniego dnia w szpitalu, kiedy już wiedział, że umiera i że wody w płucach jest coraz więcej, interesował się Pawłem, pacjentem z łóżka obok. Przyjechał do Janusza rektor seminarium baptystycznego: „Janusz, Janusz, co to będzie? Zdrowiej, Janusz. Wstawaj, studenci czekają, popatrz, ile masz zaplanowanych wykładów od Białegostoku po Bielsko!”. A Janusz mówi: „Zostawcie to wszystko, zaopiekujcie się Pawłem. Słuchajcie, Paw-

ła weźcie, trzeba mu pomóc, mnie nic się nie stanie”. Janusz ani przez moment nie myślał o sobie. Był jak kwiat polny albo wróbel z Jezusowej paraboli. Interesowało go wszystko, co mogłoby być dobrem, co mogłoby być wypełnieniem miłości bliźniego. I kompletnie go nie interesował Janusz Kucharczyk.

Janusz lubił się spierać. Nie dlatego, żeby mieć rację, samą rację dla siebie, lecz dlatego, żeby pokazać, jak wszystko na tym świecie odzęgłowało od chrześcijaństwa. Jak świat dryfuje po smrodliwych teoriach i śmierzących rynkach, jak mało jest w nim nie nauki Jezusa, lecz po prostu Jezusa. I Kierkegarda, tego szaleńca z Kopenhagi, tak sobie w rymy ubierał Janusz:

*Faktycznie była tym z początku nauka Kościoła.
Lecz to o pomstę – co z nią czyni – do nieba wręcz woła.
Skandal, oszustwo, więcej powiem – zbrodnia niesłychana,
biznes zrobiono wszak zyskowny z nauczania Pana –
ci ustawieni dobrze w życiu, pyszni kaznodzieje
ubóstwo głoszą i pokorę, a nikt się nie śmieje.
Po Kopenhadze wieczorami błąkając się smucę,
na śmieszność siebie wystawiając z prasą się wciąż kłóć,
pieniądze ojca już zużyłem na książek pisanie.
Któż dziś je czyta? Mój czas – myślę – za 100 lat nastanie,
nie długo umrę, na pogrzebie wielka będzie granda,
Kościół mnie pragnie wykorzystać – beczelna to banda,
„Łapać złodziei” mój bratanek krzyknął wśród pastorów,
którzy szacunkiem mnie darzyli tylko dla pozorów...*

Zamykam oczy, chociaż nie umiem powiek domknąć tak mocno jak Janusz, i wołam: „Januszu Kucharczyku, czy tam, gdzie już jesteś, jesteś bezpieczny i zdrowy? Czy w końcu zebrałeś już wszystkie odpowiedzi? Istnieją w ogóle pytania i odpowiedzi? Czy możesz odpocząć? Czy jest tam las taki sam jak w Tworogu Małym? Więcej jest dębów czy jesionów? Czy dalej trzeba tam zmywać naczynia? Czy uzgodnili już sprawę autorstwa Iliady? Czy spotkamy się tam? Wiesz, ponasmiemy się z Horacego, który po łacinie ledwo pisał. Tylko mi nie mów, że tam nie ma Śląska”.



Poeta Józef Krupiński i węglowe manuskrypty

JACEK OKOŃ



Górnik-poeta Józef Krupiński (1930–1998) pochodził z Kujaw, ze wsi Skarbanowo, która niejedną raz pojawia się jako sceneria jego wierszy lub źródło metafor. Ze wsi wyniósł tradycyjną hierarchię wartości, poczucie zakorzenienia i pierwszej przynależności, a także talent poetycki. Stąd, ze wsi, pochodzi też jego specyficzny sposób widzenia zjawisk przyrody, podnoszenie znaczenia wspólnoty ludzkiej, braterstwa, uszanowanie „kruszyny chleba”, gdy padnie na ziemię.

Nurtowi chłopskiemu w literaturze pozostał bliski nawet wówczas, gdy w obręb jego poezji weszła praca górnicza i węgiel. W wieku 23 lat przyjechał bowiem na Górną Śląsk, który – jak wówczas z dumą mówiono – „na węglu stoi”. Jego pierwotnym zamiarem było zostać nauczycielem, a choć cel ten zrealizował, to okoliczności rodzinne sprawiły, że po niedługim czasie zatrudnił się w kopalni węgla kamiennego „Ziemowit” w Tydach-Lędzinach.

Był górnikiem-ładowaczem, potem rębaczem, a po ukończeniu technikum górniczego dla pracujących został sztygarem w oddziale wentylacyjnym. Jednocześnie pisał wiersze. Debiutował książkowo w okresie tzw. karnawału „Solidarności”, czyli w roku 1981, tomikiem *Kwiaty kujawskie*. Jak sam wówczas po pięćdziesiątce. Jak sam tytuł tomiku wskazuje, „pierwiosnki” tej poezji zasadzone były na rodzinnej, sielskiej glebie Kujaw. Ale oba tematy: górnictwo i wieś rodzinna spłoty się w tej poezji na trwałe:

Gdy kombajn węgiel tnie
pod warstwami ciszy
jakbym nagle kosiarkę słyszał
pod lasem.

(z wiersza *Żniwa*)

W czerni
że można zachorować
na całkowite
zapomnienie barw
maluję na węglu
kujawskie słoneczniki.

(z wiersza *Kujawskie słoneczniki*)

Publikował w prasie ludowej („Wieści”, „Tygodnik Kulturalny”), literackiej („Poezja”, „Miesięcznik Literacki”, „Życie Literackie”) i katolickiej („Tygodnik Powszechny”, „Powściągliwość i Praca”, „Gość Niedzielny”, „Ład Boży”, „Zorza”, „Kierunki”), tomiki wierszy ukazały się m.in. w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i w Księgarni św. Jacka. Choć w omówieniach twórczości, również w adekwatnych hasłach w Wikipedii, wiązany był z nurtem autentyzmu, chodził jednak własnymi drogami.

W stanie wojennym i latach osiemdziesiątych jego wiersze ukazywały się też w wydawnictwach podziemnych, solidarnościowych. Z tą stroną ówczesnych podziałów się utożsamiał, jak wówczas większość Polaków. Brał wtedy czynny udział w Tygodniach Kultury Chrześcijańskiej. Paradoksalnie jednak tamta mroczna dekada to także najbardziej twórczy okres jego życia. Poza wspomnianym debiutem poetyckim, datowanym na 1981 rok, ukazały się wtedy tomiki wierszy: *Do tej, co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie* (tzw. drugi obieg, 1984), *Marsz żałobny* (1985), *Tratwa świętej Barbary* (1986), *Mój pogrzeb pierwszy* (1987).

Związany był trwale z katowickim środowiskiem literackim, utrzymując zarazem więzi ze środowiskiem bydgoskim (kujawskim), warszawskim i lubelskim; uczestniczył też w Nocach Poetów na krakowskim Rynku.

Jego wiersze w pierwszym momencie odbioru czytelniczego mogą wydawać się chropawe, toporne, niewyczelowane. Taki bywał też pierwszy odbiór recenzencki. W tym duchu wyrażały się Renata Zwoźniakowa, Adriana Szymańska, Joanna Wiśniewska, na niedoskonałości wskazywał też Stefan Pastuszewski. Ale w toku dalszej lektury nie sposób było nie pokochać tej poezji, jej wewnętrznej żaru.

Mimo że brak w niej śląskiego kolorytu lokalnego, z czasem okazała się ta poezja darem dla górniczego Śląska, wchodząc do miejscowej kultury wysokiej, zajmując pozycję w pierwszym szeregu śląskiego kanonu literackiego przełomu XX i XXI wieku.

Własne, poetyckie widzenie spraw, pokora i podziw wobec węgla, wizje wewnętrzne pojawiające się podczas oglądu rzeczy zewnętrznych, szorstkich, surowych, nieociosanych i nieokrzesanych, technicznych i prozaicznych, zaowocowały rzeczywistością nową i piękną, wytworzoną w procesie kontemplacji pierwotnego tworzywa.

Okazało się, że pod ziemią jest o wiele więcej niż tylko ciemność i czerń, niż oporna materia, niż pot i twarda górnicza mowa. Skojarzenia łączące miejsce opuszczone (wieś) z rzeczywistością nową, zastaną (kopalnia), pozostały już w tej poezji na stałe, ale poczynają gubić się pośród nowych skojarzeń i wizji. Mówiąc własnymi słowami poety: „wymłócona słoma węgla” ustępuje pola rzeczywistości karbońskiej zapisanej „na każdym węglu listku”.

Również pracę górniczą, pozornie prozaiczną, pojmował poeta nie jako ciąg czynności mechanicznych, odczłowieczających, tłumiących uczucia wyższe i zdolność kontemplacji. Jawiła mu się w nowych kontekstach i znaczeniach. Ale nie zdołał uciec od rzeczywistości. Dlatego zawsze jeszcze gdzieś tłuką się po wierszach, nawet po modlitwie do św. Barbary: a to „hydranty w rurociągach wodnych”, a to „tapanie górotworów”.

Ale górnictwo to u Krupińskiego jednak bardziej powołanie, specyficzne kapłaństwo, przestrzeń Mądrości. To właśnie, a nie realizm, charakteryzuje jego poezję. Pod ziemię zabierał swoją wiarę, która otwierała mu oczy na inne wymiary istnienia.

W szybie
na chwilę
bez hełmu
mój
twój
wasz i nasz
krzyża znak
jakby pasowanie skrzydeł
w razie zerwania śrub i liny.

(z wiersza *Po węgiel dobrej nowiny*)

W pokładzie węgla
słyszę bosc stopy
Chrystusa
w białej szacie.

(z wiersza *Przy paschalnej świecy*)

Węgiel
twoim znakiem napocynam
jak bochen razowego chleba.

(z wiersza *Jak bochen chleba*)

Dlatego potem wszystko było już dobre, piękne, niezwykle, jak w dniu stworzenia świata. Nie ma się jednak absolutnej pewności, czy odkrywa tam poeta pokłady węgla, czy odsłania kolejne pokłady świadomości lub podświadomości, sięgając do niezbadanych głębi, czy podejmuje z profesorem Ottonem Lidenbrockiem podróż do wnętrza ziemi. Cokolwiek to jest, przenosi czytelnika w obręb obszarów rzeczywistości, których węgiel jest niemyym świadkiem, nośnikiem fluidu.

W oczach poety-górnika następowała sakralizacja świata podziemnego. To już więcej niż prosty „przed zjazdem krzyża znak”, niż przeżegnanie calizny węglowej przed pierwszym cięciem. Pod ziemią otwierała się przed poetą rzeczywistość karbońska, dawne epoki tam zakłete i zatrzymane, czekające, by je zobaczyć (por. „Bóg uczynił różne rodzaje dzikich zwierząt, bydła i wszelkich zwierząt pełzających po ziemi. I widział Bóg, że były dobre”, *Rdz, 1,25*).

Przypomnijmy sobie, co zobaczył doktor Judym, gdy pierwszy raz zabrano go na zwiedzenie kopalnianych podziemi:

„Zdawało mu się, że stoi w cudownym lesie, w puszczy odwiecznej, nie sianej, przez którą nie szła jeszcze stopa człowieka. Rosły naokół olbrzymie paprocie z pniami, jakich nie obejmie trzech ludzi, skrzypy w drzewa wybujałe, straszne widłaki i inne, niewidzianych form, mistycznej piękności albo potwornej brzydoty, jakieś sigillaria, odontopterydy, lepidodendrony. (...) I znowu na ciszę gęstwin młodej puszczy przypadał niespodziewany krzyk wojenny jaguara i rozdzierał ją wrzask, śmierć głoszący, bezlitosnego orła” (*S. Żeromski*).

W oczach poety Krupińskiego także flora i fauna!

W błyskawicy
łupanych pokładów
nagle
oglądam zupełnie żywe drzewa
i zwierzęta ociężałe
na pastwisku.

(z wiersza *Powstanie węgla*)

Lemieszem otwieranych skamielin
chwal Pana
zwierzyno karbońskiego pastwiska.

Skrzydła najstarszych ptaków
uśpione w tamtym niesplamionym locie
Ciebie niech chwałą
na wysokościach
podziemnych sfer.

(z wiersza *Wolnych lasów pieśń*)

Węgiel nie zasłania sobą, jest prześwietlony na wskroś lub ma wręcz w sobie coś z sakramentu, który jest znakiem widzialnym rzeczywistości niewidzialnej. W słowie autorskim do najbardziej „górniczego” tomu *Tratwa świętej Barbary* poeta napisał: „W dalekich podziemnych bezładziach, szeroko otwartymi oczyma, adorowałem Wielką Mowę w literach Przedwiecznego Słowa, odcisniętego na piaskowcach, łupku i na węglowej ławicy”.

I tu także przywołać można spostrzeżenie Judyma:

„Judym podniósł do góry swą lampę i przyglądał się ścianom. Gładkie albo chropawe ich płaszczyzny tu i ówdzie miały na sobie rysy ostrego żelaza, jakby pismo jakieś klinowe pracowicie wyryte. Idąc z wolna obok gładkiej ściany, miał złudzenie, jakby je czytał. Ze znaków koślawych, kierujących się to w tę, to w inną stronę, składała się historia tych czeluści”.

Jednak Krupiński nie mówi o świeżym „piśmie klinowym”, uczynionym ostrzem kilofów, dłut i żelaznych klinów. Jego myśl sięga o wiele dalej w głąb dziejów. Także odciski karbońskich skamielin, skrzypów, widłaków, paproci, pozwalają się odczytać jak stare manuskrypty. Poeta-górnik zna ich tajny język. Bezduśny pozornie kamień zaczyna snuć swą opowieść.

Pismo
odcisnięte tutaj znajdziesz
na każdym węglu listku
niby klucz
do najstarszych archiwów
i bibliotek.

(z wiersza *Powstanie węgla*)

Odcisk na węglu ewokuje myśl o odcisniętym Ciele Chrystusa na Całunie Turyńskim.

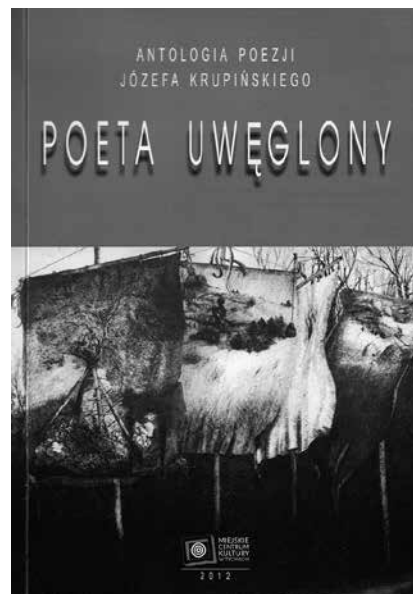
Mój Bracie Węgłu
Tyś dla mnie
przybliżającym szkłem Turyńskiego
Całunu

(z wiersza *Brat Węgiel*)

Ten przywołany przy okazji „brat Węgiel” to pod piórem Krupińskiego jakby najmłodszy brat „siostry Księżyc”, „siostry Śmierć”, „brata Słońce” z „Pieśni słonecznej” świętego Franciszka. Stefan Pastuszewski, wskazując na to, mówił wprost o „franciszkanizmie” Poety. To rzeczywiście jedno z bardziej trafnych, a w każdym razie ważkich spostrzeżeń.

Ale „Brat Węgiel” to dla Krupińskiego nie tylko osobny byt, godny by zań pochwalić Boga. Poeta widzi jego użyteczność, a nie chodzi tu bynajmniej o wartość opałową. Mówiliśmy już o węglu jako o świadku, nośniku fluidów, swoistej płycie pamięci. W wierszu *Brat Węgiel* autor wyznaje, zapisując przy tym imię węgla dużą literą: „Bracie Węgłu / Ty mi jesteś (...) / kluczem / do bram / na wszystkich piętach / tajemnic”. Węgiel uczynił go mądrzejszym, otwierając drzwi Wiedzy, Historii, zbiorowej pamięci – drzwi Tajemnicy.

Przebywając pod ziemią Poeta nie przestawał być u siebie – w Polsce, kraju wolnym albo spragnionym wolności, zawsze tu był „między swemi”. Kolejne odsłonięte warstwy węgla ukazywały mu bohaterów naszej historii, ważne wydarzenia, narodowe symbole (np. „Krople górotworu / uderzają sercem / Dzwonu Zygmunta”). Odkrywana tam historia, niosła za sobą powagę, wielkość, godność, nawet słuszny patos:



Dębie dziadów moich
 naucz
 godnego schodzenia
 do pokładów
 po najczystszy węgiel
 Szybem Floriańskiej Bramy
 i naucz
 z dołów wychodzić
 po powietrze
 Gnieźnieńskimi Drzwiami.

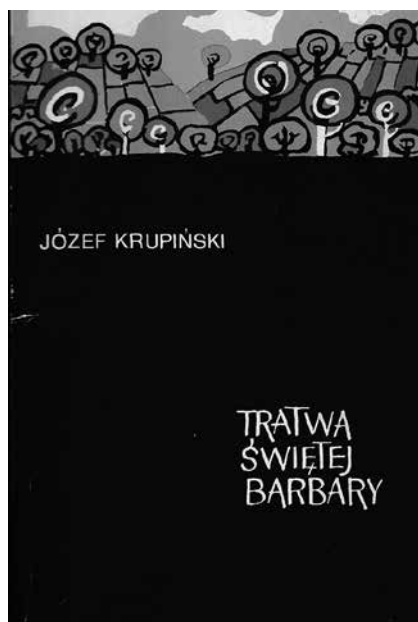
(z wiersza *Moje górnicze szyby*)

Metafory schodziły wraz z nim pod ziemię, czyniąc wszystko nowym, innym, niepodobnym do prozaicznych znaczeń i przeznaczeń. To właśnie, w połączeniu z własnym, niepowtarzalnym stylem, wprowadziło go na trwałe do polskiej poezji. Kopalnia to miejsce wręcz magiczne, portal przenoszący w czasie, a węgiel to materia pamięci, w której zapisano czas stworzenia, prehistorię, sprawy przedpotopowe, starożytność i czasy nam bliższe. Nie jest tam pusto. Można spotkać Emilię Plater, Jana Sebastiana Bacha, Salvadora Dali, Vincenta van Gogha, Jacka Malczewskiego, Dantego:

Nad głową
 między gwiazdami piryków
 na węglu czytam drogę do Raju
 Dantego.

(***)

Gdy czasami rzeczywistość powinna była pozostać czytelna, realna, przeżyta jeszcze raz bez innych znaczeń, nie wahał się „zejść na ziemię”, stanąć na twardym gruncie potocznych znaczeń. Potrafił więc być realistą, nadać wierszom lub zwrotkom walor dosłowności, chłodnej opisowości, absolutnej komunikatywności (por. J. Wiśniewska).



Gdy w kontekstach muzealnych wspomina się podziemne biesiady dla turystów w I połowie XIX wieku w „Lisiej Sztolni” w Wałbrzychu, albo podziemne barbórkowe biesiady w kopalniach Zagłębia Dąbrowskiego w końcu XIX wieku, znane nam z opisu poety Andrzeja Niemojewskiego, albo nawet całkiem współczesne biesiadowanie w podziemnej restauracji „Guibal” w Sztolni Szkoleniowej ZSG nr 1 w Zabrze lub w pubie w Hali Pomp kopalni zabytkowej „Guido” na poziomie 320 metrów – to Józef Krupiński widział pod ziemią także to, i to bynajmniej wcale nie oczyma li tylko duszy. Tak, to też znajdziemy w jego poezji:

Głos podziemnej trąbki
 zaprosił nas
 do nocnego lokalu
 otwartego w węglu.
 Stoły długie
 nakryte biało
 trunki
 górnicza orkiestra.

(z wiersza *Karnawał*)

Rzadko bo rzadko, ale potrafił być jeszcze bardziej dosłowny: do bólu dosłowny. Owszem, gdy trzeba było zapisać cierpienia i troski tego zawodu, który tak często stykać się musi z okrucieństwem żywiołu, nie bał się, że metafora zaciemni przekaz. Nie dziwi więc, że przyczyną wypadku, katastrofy bywała w tej poezji „bestia węgla”. Ale potrafił wyrazić się wprost – tym razem jak górnik, nie poeta. Bo pewnym sprawom do twarzy z realizmem – bardziej niż z metaforą. Wiersze o kolegach i koleżankach, ofiarach wypadków przy pracy, ofiarach katastrof, zaopatrzone są w wyjaśniający dopisek. Pod wierszem „Już wydobrzałeś” czytamy: „Karol Jurek zginął w dniu 13 listopada 1970 roku, w pokładzie 209, w oddziale IV, na nocnej zmianie, w czasie uruchamiania taśmociągu”. Pod wierszem *Wspomnienie inżyniera Jana Szczyпки*: „Mgr inż. Jan Szczyпка – sztygar oddziału, zginął 21 listopada 1984 r. Przysypany stropowymi skałami na tylnym wyprzedzaniu ściany w pokładzie...”. Pod wierszem *Skok przez rampę*: „Halina Piegrzyk, pracownica kopalni »Ziemowita«, panna, zginęła, spadając z rampy magazynu razem z uruchomionym przez nią akumulatorowo-widłowym wózkiem. Wypadek miał miejsce w dniu 15 lipca 1978 r. Z ojcem Haliny pracowałem przez pewien czas w oddziale wentylacji” (cyt. za: *Antologia poezji Józefa Krupińskiego, Poeta uwęglony*, Miejskie Centrum Kultury, Tychy 2012).

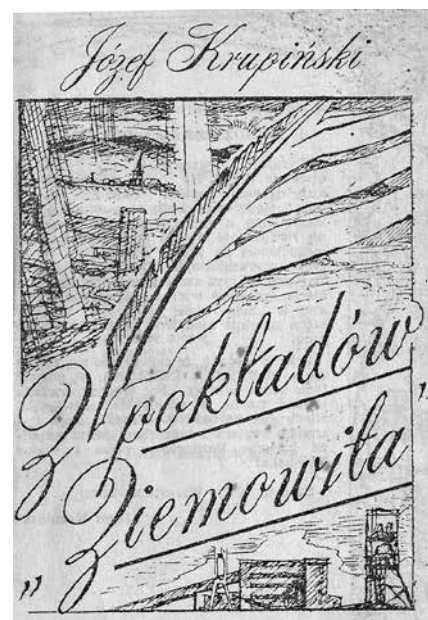
W wierszu *Tratwa świętej Barbary* przypomina katastrofę z roku 1971. Ocalony górnik zwraca się do Świętej Patronki z prośbą o wstawiennictwo, gdy przyjdzie czas:

Ty wejdź pierwsza przed Jego Oblicze
 i powiedz
 jak przez wiele nocy
 zamknięci w szczelinie
 spożywałem drzazgi
 jak z głodu
 całe drzewisko kilofa
 przetrzymałem
 pod zawałem „Rokitnicy”
 w norze – grobie
 ja
 Alojz Piontek
 przed zmartwychwstaniem.

(z wiersza *Tratwa świętej Barbary*)

Jego wierszom brak było śląskiego kolorytu. W tym względzie bardziej plastycznie ukazane jest kujawskie Skarbanowo, jego rodzinna wieś. A przecież nie da się zbudować muru pomiędzy sobą a miejscem, gdzie się mieszka, pracuje, pisze. Zawsze coś wyjdzie na wierzch, jak owo imię „Alojz” z wyżej zacytowanego wiersza, najbardziej śląskie ze wszystkich śląskich imion.

Jeden z jego tomików nosił nazwę *Z pokładów „Ziemowita”* (1991), co oznacza tu nazwę kopalni, znanej powszechnie z desperackiego podziemnego strajku w grudniu 1981 roku.



Mieszkał Krupiński w Tychach, w nowym blokowisku. Tam tworzył, tam powstały jego wiersze, tam budził się ze snu, wstawał do pracy, tam powracał z szychty. Widok z okna bloku przy Żwakowskiej był codziennym jego doświadczeniem. Próbował uwiecznić tę nową „stronę rodzinną”. W wierszu pojawia się nazwa Wartogłowiec (dzielnica Tych), w innym nazwa „Bieruń”, padają w wierszu słowa: „Tychy śpią spokojnie”, tu i ówdzie nazwa „Śląsk”, także inne śląskie nazwy i rekwizyty. Ale te akurat wiersze nie są dla jego poezji charakterystyczne, rzadko bywały cytowane w omówieniach twórczości.

Konsekwentnie pozostawał za to poetą św. Barbary, poetą sfery podziemnej, poddanej opiece świętej Patronki. Do tej to sfery powracał z powierzchni najchętniej, nie odwrotnie. Pozostał w swej poezji wiele inwokacji skierowanych ku Świętej, pozostawił kilka modlitw, wśród nich te:

Święta Barbaro
módl się o bezpieczne nasze drogi.

Ostrzegaj przed słabym stropem
i chroń szybową linę.

(...)

Naucz Panu Bogu dziękować
i Pana Boga wielbić
za każdy
podziemny
szczęśliwy urobek.

W czasie pożarowych dymów
niebiańską lampą
oświeć przejście
do hydrantów w rurociągach wodnych.

Wyraźnie pokaż główne kierunki powietrza.

(...)

Święta Barbaro
przyjdź ze świętym chlebem życia
w godzinę nagłej i niespodziewanej
w węglu śmierci naszej.

(z wiersza *Modlitwa do świętej Barbary*)

Był Poeta barwną postacią śląskiego życia literackiego. Należał do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, co w sytuacji podziału w środowisku literackim, było wyrazem poglądów politycznych. Nie był jednak nigdy politykiem. Miał wielu przyjaciół – górników i poetów, pisarzy, redaktorów. Chyba nie miał wrogów, choć niejednokrotnie narażał się władzy. Lubili go wszyscy. Nie dawał nigdy odczuć starszeństwa, mimo że był starszy od kolegów po piórze. Pozostawał niezmiennie młody duchem.

Witał się wylewnie, zwykle wykrzykując: „Bracie!” albo „Siostro!”. Do chętnie rozdawanych swych tomików wpisywał sążniste, niemal barokowe dedykacje, które same w sobie pozostają dziełami sztuki. Przy okazji wystawy „Patronki polskiego górnictwa” (1993) pozostawił w MGW swój tomik *Marsz żałobny*, wpisując jako dedykację: *Dla Wielce Czcigodnego Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze dedykuję na pamiątkę długoletniej przyjaźni. Dziękuję za słowo Waszych rzeźb i obrazów, za słowo literatury i najstarszych narzędzi pracy – wszechogarniającej karmielki Ziemi. Szczęść Boże Pracownikom Muzeum w Zabrzu! Szczęść Boże Muzeum Historii – Naszej Wspólnej, Dobrej Nauczycielce. Wasz Józef Krupiński, z okazji wystawy „Patronki polskiego górnictwa”. Zabrze, 28 maja 1993.*



W 1992 roku MGW wzięło do sprzedaży komisowej jego nowy, kolejny tomik *Z pokładów serca* (1992), który, dopiero co był się wtedy ukazał. Książeczka wydana bardzo oryginalnie, czcionka biała na czarnych jak węgiel stronach; na okładce górnicza lampka bezpieczeństwa.

Za życia miał wielu wybitnych recenzentów. Pisali o nim: Andrzej Babuchowski, Renata Zwoźniakowa, Adriana Szymańska, Joanna Wiśniewska, Stefan Pastuszewski, Józef Baran, Zbigniew Bieńkowski, Feliks Netz, Barbara Gruszka-Zych i inni.

Tadeusz Nowak, poeta, szef działu poezji w „Tygodniku Kulturalnym” napisał mu w liście (kilkakrotnie już przedrukowywanym): „*Tratwa św. Barbary* zachwyca zejściem do pokładów słowa, do jego minerałów, do jego węgla. Cieszę się z tego tomiku tak, jakbym ja go napisał”.

Kiedy umarł (1998 r.), także wielu go wspominało, również na łamach prasy. Teksty wspomnieniowe sygnowali m.in. Marcin Hałaś, Marian Kisiel, Marta Fox. Ukazały się wkrótce potem *Wiersze wybrane* (1999), a po upływie kilkunastu lat całość dorobku poetyckiego w tomie *Poeta węglony* (2012) ze Wstępem Wojciecha Wieczorka. Obszerny tekst pt. *Na każdym węglu listku. O twórczości poetyckiej Józefa Krupińskiego (1930-1998)* poświęcił mu Jacek Okoń. Tekst ukazał się w roczniku muzealnym „Górniki Polski” (2008, nr 2). W „Dzienniku Zachodnim” wspominał go w 2012 roku socjolog Marek S. Szczepański.

Wydaje się, że najlepiej literacką prawdę tego niezwykłego skarbu, jakim pozostaje poezja Józefa Krupińskiego, oddaje charakterystyka recenzencka pióra wybitnej poetki Adriany Szymańskiej, która w roku 1988 napisała w jezuickim (!) „Przeglądzie Po-wszechnym”:

„Wiersze Krupińskiego przy pierwszym z nim kontakcie twarde, szorstkie, przedmiotowe, jakby rozmyślnie nieoszlifowane, kanciaste, składane stylistyką telegraficznych komunikatów frontowych, po bliższym poznaniu nabierają tego ciepła, z jakim Stary Człowiek Hemingwaya myśli o walczącej z nim rybie”.

Wiele jego wierszy przypomina ostatnią wolę, testament, zawiera wątki lub przesłania eschatologiczne, jak gdyby poeta przeczuwał nieuchronnie zbliżającą się śmierć (czyż tytuły *Marsz żałobny* i *Mój pogrzeb pierwszy* nie świadczą o tym dowodnie?). Wobec tej nieuchronności poeta nie przybiera jednak pozy egzystencjalisty, nie wpada w rozpacz ani nie widzi w śmierci absurdu, a w człowieku bytu-ku-śmierci. Zdaje się wydawać ostatnie zlecenia, które zabezpieczą interesy jego Brata – Węgla. Również jego osobista nadzieja pełna jest Nieskończoności:

Prześlijcie pożegnanie
minerałowi z dodatkiem złota
w jeszcze nie dotkniętym pokładzie.

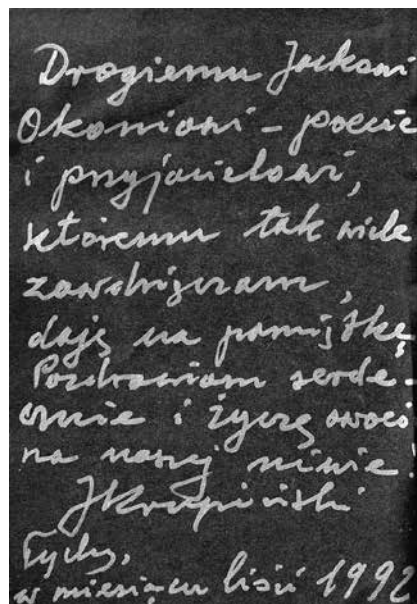
Prześlijcie pożegnanie
ze stanowczym napomnieniem
do kaleczących węgiel braci.

Nie zapomnijcie powiedzieć
aby zachowali
znalezione przeze mnie kiedyś
na skale odcisnięte słowa
i kierunkowe znaki.

(z: *Skrzydlaty koń za mną do gwiazd*)

Mój święty Bracie Węgłu
płyn ze mną do piękna
w ogrodzie Eden

(z: *Do muszelki z pierwszą pieśnią*)



Droga Krzyżowa i morderstwo na Sycylii

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Opera i Filharmonia Podlaska w Białymstoku zaprosiła mnie na „Dyptyk Wielkanocny” w reżyserii Michała Znanięckiego. Spektakle były grane od 3 marca do 5 kwietnia. Dyrektor teatru Violetta Bielecka zaproponowała zaskakujące połączenie oratorium Pawła Łukaszewskiego „Via Crucis” (Droga Krzyżowa) z „Rycerskością wieśniaczą” Pietra Mascagniego.

Zwykle podczas jednego wieczoru prezentowano „Pajace” Ruggiera Leoncavalla z operą Mascagniego. W obu utworach jest wiejska sceneria i są intermezza. Muzyka Mascagniego wydaje się jednak dojrzała i ciekawsza. Mimo iż często pisze się o weryzmie jego opery, sam kompozytor stwierdził po latach, że weryzm zabija muzykę. Realizm w jego dziele jest złudny, ponieważ można w nim odnaleźć sielankowo-romantyczne akcenty, lecz nie ma ambicji do odwzorowania folkloru w muzyce i treści. Dlatego opera Mascagniego, wyrwana z tradycyjnego połączenia z „Pajacami”, może być jeszcze lepiej odebrana jako uniwersalna opowieść o ludzkich namiętnościach, miłości, zazdrości, zdradzie i morderstwie.

Muzyczną pieczę nad spektaklem miał wybitny włoski dyrygent Massimiliano Caldi, którego pamiętam jeszcze z czasów jego pracy w Filharmonii Śląskiej. Spektakularnie wygrał Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach w 1999 roku. Występował w wielu krajach Europy, Azji i obu Ameryk. Caldi przygotował orkiestrę perfekcyjnie do zagrania dzieła „Via Crucis”, a z muzyki Mascagniego wydobyl całe piękno, melodyjność i dramatyzm. Powinien częściej mieć możliwość dyrygowania spektaklami operowymi.

Paweł Łukaszewski użył łacińskiego tekstu z Nowego Testamentu oraz starotestamentowej Księgi Izajasza. Jego „Droga Krzyżowa” została tu zaprezentowana nie jako ora-

torium, lecz – misterium, zgodnie z wolą kompozytora. Zwraca uwagę wspaniała scenografia, którą zaprojektował Luigi Scoglio. Mamy pokazane stacje męki Pańskiej, nawiązujące do tradycji mansjonów w misteriach średniowiecznych. Są tu drewniane wiejskie wozy, które pełnią funkcję małych ruchomych scen, prowadzonych przez wiernych. Widzimy różne aspekty cierpienia i potworności. W widzu wciągniętym w historię męki Jezusa może wyzwolić się przeżycie metafizyczne, prowadzące do katharsis (oczyszczenia w wyniku wzbudzenia uczucia litości i trwogi), które jest jedną z naczelných funkcji sztuki. Teatr narodził się w starożytnej Grecji z misterii religijnych. Pokazywał historie dotyczące świata nadprzyrodzonego i ludzi. Na białostockiej scenie powróciła więc ta wspaniała teatralna tradycja.

Kilku solistów wcieliło się w role: Narratora (Ryszard Doliński / Piotr Półtorak), Piłata (Nazarii Kachala), Ewangelisty (Jan Jakub Monowid / Michał Sławewski) i Jezusa (Mariusz Godlewski). Duże wrażenie robiły artystki baletu jako płaczki, wykonujące ruchy i gesty, jakby ich ciała były w konwulsjach (choreografia Ingi Pilchowskiej). Finał wiąże się dla mnie z katharsis, oczyszczeniem i – jak chciał kompozytor – zmartwychwstaniem. Warto zwrócić uwagę także na rozbudowane partie chóralne, które w dziełach Łukaszewskiego i Mascagniego są niezwykle piękne i zostały zaśpiewane perfekcyjnie przez chór przygotowany przez Violetę Bielecką.

Druga część spektaklu czyli opera „Cavaleria rusticana” Mascagniego rozpoczyna się od tego, że Mamma Lucia (Małgorzata Walewska / Renata Dobosz) okłada mężczyzn niebieskim szalem. Sprawia wrażenie, że jest osobą najważniejszą we wsi. Podobno jest to stereotypowy obraz sycylijskiej matki. Mnie przypominała mit śląskiej żony i matki, która chce, aby w domu zapanował

matriarchat. Reżyser trochę wpadł w pułapkę własnej konsekwencji. Z jednej strony pokazał nam, że postacie z pierwszego i drugiego aktu spektaklu są te same. Wszyscy są mieszkańcami sycylijskiej wsi, którzy w pierwszej części odgrywali w Wielki Piątek Misterium Męki Pańskiej, a teraz przeżywają święto Wielkiej Nocy. A przecież potężny chór był ubrany zbyt elegancko jak na wiejską inscenizację.

Turiddu (Rafał Bartmiński / Nazarii Kachala) ze swoją kochanką Lolą (Joanną Motulewicz / Moniką Ziółkowską), żoną Alfia, leżą przykryci prześcieradłem – niebieskim płótnem, tym samym, które było ważnym dopełnieniem strojów osób uczestniczących w misterium. A zatem jest to zbezczeszczenie symbolu czystości. Michał Znanięcki pokazuje nam świat, który wypadł z ram: w pierwszej części z powodu skazania na bolesną mękę i okrutną śmierć Jezusa, a w drugiej – z powodu ciężkiego grzechu cudzołóstwa i zbrodni, jaka dokona się w Niedzielę Wielkanocną. Sacrum zdegradowane zostało z profanum.

„Rycerskość wieśniacza” pokazuje różne aspekty człowieczeństwa. Odbiorca ma współodczuwać przede wszystkim z Santuzzą (Igą Caban / Iryną Zhytynską), która jest zdecydowanie najważniejszą bohaterką spektaklu. To ona cierpi najmocniej, jest najbardziej upokorzona. Pokazuje, że dla miłości jest gotowa poświęcić wszystko. Klęka przed ukochanym Turiddu i poniża się przed nim, błagając o miłość. On pozostaje na to nieczuły. Zarówno Turiddu, jak i Alfio (Mariusz Godlewski / Tomasz Rak) są silnymi mężczyznami, działającymi w stylu włoskich mafiozów: butni, zadziorni, potrafią walczyć do końca, nie bojąc się śmierci. Odgrywanie sceny skazania na śmierć Jezusa było więc wstępem do zamordowania Turiddu. Dzieła Łukaszewskiego i Mascagniego to jednak dwa całkowicie różne światy.



Dyptyk Wielkanocny

fot. Dorota Koperska



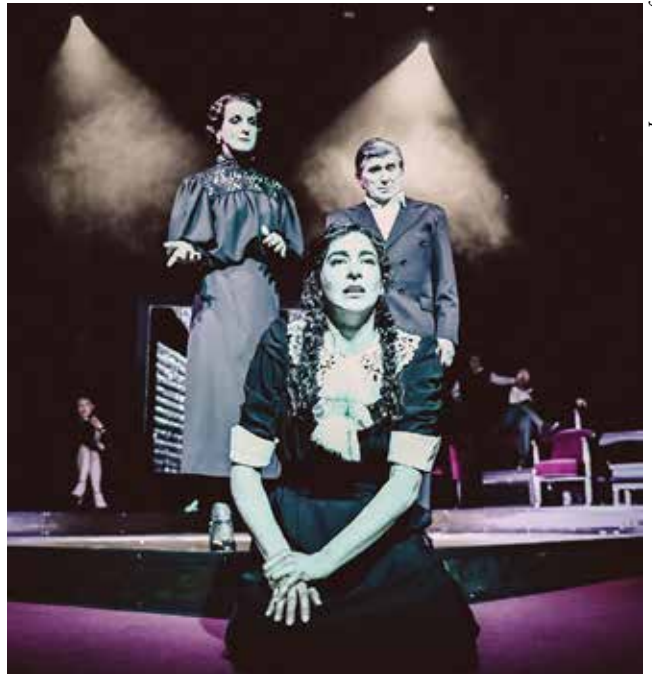
fot. Dorota Koperska



fot. Dorota Koperska



fot. Dorota Koperska



Być kimś innym

WOJCIECH LIPOWSKI

Każda rozpoczęta opowieść ma jedną szczególną właściwość, a mianowicie zawsze pozostaje niekompletna, wymaga uzupełnień, dopowiedzeń. Jest to możliwe z różnych perspektyw, bo przecież w każdym czasie i miejscu znajdzie się jakiś obserwator rzeczywistości, który zechce dokonać korekty i przedstawić własną wersję znanych wszystkim wydarzeń. Zresztą trzeba pamiętać, że owa, nazwijmy ją, presja, by przetwarzać, deformować opowieści o innych, stanowi inspirujące wyzwanie i zachętę do malowania portretu według własnych, nie do końca czytelnych reguł, wykładni przemian świata.

I tu zbliżamy się niespiesznie do tematu wpływu uwarunkowań zewnętrznych na osobowość człowieka, także pozostałych czynników jak opinie, oceny, konieczność nieustannego konfrontowania siebie z wrażeniami innych w kontekście relacji świata do jednostki. Jesteśmy już o krok od tematów twórczości Zofii Nałkowskiej, dla której zagadnieniem istotnym, w dojrzałej fazie twórczości, była ludzka psychika, mechanizm jej funkcjonowania, motywy działań w odniesieniu do otoczenia, w którym przyszło człowiekowi żyć. Tak było w jej znanych powieściach: *Romans Teresy Hennert* (1923), *Niedobra miłość* (1928), *Niecierpliwi* (1939). Dramatach: *Dom kobiet* (1930), *Dzień jego powrotu* (1931). Tak jest w jej najwybitniejszym utworze okresu międzywojennego *Granicy* (1935). Zmienność, niejednorodność ludzkiej psychiki, współzycie z innymi ludźmi, tło społeczne, przenikanie warstw, konsekwencje wyborów to główne zagadnienia powieści.

Piszemy o tym wszystkim z jednego powodu, bowiem Piotr Ratajczak wraz z Joanną Kowalską dokonali adaptacji tekstu powieściowego Nałkowskiej dla potrzeb teatru i pokazali własne odczytanie wybranych motywów *Granicy*. Ostatnia w tym sezonie premiera na deskach Teatru Polskiego w Bielsku-Białej, to właśnie próba zmierzenia się z tą niełatwą powieścią. Wszystko, by językiem klasyki opowiedzieć o sprawach dotyczących naszej rzeczywistości.

Piotr Ratajczak do niedawna sięgał po teksty raczej współczesne, ale od pewnego czasu bliższe są mu tytuły zaczerpnięte z kanonu literatury. Wspomnijmy takie realizacje jak choćby *Zły* pokazany niedawno na bielskiej scenie, *Nowy wspaniały świat* w lubelskim Teatrze im. Osterwy,

dalej *Oni* w warszawskim Teatrze Polskim, świetnie przyjęta *Lalka* szczecińskiego Teatru Współczesnego, w końcu *Ziemia Obiecana* Teatru im. Kochanowskiego w Opolu. Wybrano powieść Zofii Nałkowskiej, która miała już wcześniej swoje wersje teatralne oraz filmowe. Przywołajmy tylko adaptacje: Teatru Telewizji, gdzie zmierzył się z powieścią Janusz Warmiński (1970) powierzając główną rolę Ignacemu Gogolewskiemu; tamże w reżyserii Jana Błesznińskiego (1984) z Janem Fryczem w roli Ziembiewicza; Teatrze Polskim w Poznaniu (2014) w kameralnym ujęciu Szymona Kaczmarka z Piotrem B. Dąbrowskim w roli głównej. Filmowe, często bardzo swobodne reali-

zacje sięgają już okresu międzywojennego, gdy Józef Lejtes w 1938 roku sięgnął po materiał powieściowy, po wojnie *Granice* przysposobił dla filmu Jan Rybkowski w 1978 roku.

Adaptacja teatralna przybrała w Teatrze Polskim formę stylizacji na dramat sądowy, zresztą tu *Granica* została zaopatrzona dodatkowo w podtytuł *Polski proces w stylu amerykańskim*. Utwory, których akcja toczy się na sali rozpraw są znane z wielu pozycji filmowych, ale też scenicznych, pełno w nich emocji, zwrotów akcji, zmagania z materiałem prawdy postrzeganej z różnych perspektyw. Powstał więc atrakcyjny, dynamiczny tekst opisujący rozprawę dotyczącą kariery Zenona



fot. Dorota Koperska



Ziembiewicza i jego zabójstwa. Sprawczynią podobnie jak w powieści jest służąca Justyna Bogutówna, jednak to nie kwas i samobójstwo a pistolet i strzał z niego przerywa życie głównego bohatera.

A jak to wypadło na scenie? Nie jest łatwo przedstawić współczesnym odbiorcom, z których część może nie zna, nie pamięta oryginału, całą złożoność materii tego utworu. Należy pamiętać, że *Granica* to wielowarstwowa konstrukcja narracyjna i problemowa. Poszczególne elementy składające się na sens powieści to nie tylko banalny romans obyczajowy, ale rozbudowane tło społeczne, polityczne, tutaj rzecz jasna uwspółcześnione, perspektywa psychologiczna związana z konsekwencją ludzkich wyborów, przekraczania moralnych granic i odpowiedzialności. Na pewno już prolog spektaklu, gdy dowiadujemy się w trzech niemal filmowych odślonach o morderstwie prezydenta miasta Ziembiewicza, akcentuje, jakimi tropami podąży lektura tekstu Nałkowskiej. Akcenty spektaklu postawione zostały przez Kowalską i Ratajczaka na rozbieżność i różnorodność widzenia tych samych spraw przez różnych ludzi, analizę relacji o ludziach i wydarzeniach. Stąd dobrze wkomponowana w całość adaptacji metoda oświetlenia wszystkich z różnych stron: różne osoby odmiennie opisują zatem sprawczynię zamachu Justynę, postaci Zenona, jego ojca, żonę, bardzo współczesną Koliczowską, czy pomniejsze charaktery. Wszystko w zgodzie z wyrażonym przez Nałkowską przekonaniem, że „w stosunku do każdego człowieka stajemy się, jesteśmy kimś innym”. Bowiemy, jak powiedziała kiedyś charakterystycznie ten oraz inne utwory tamtego czasu: „Jest w człowieku jątrząca ciekawość i zarazem obawa ujrzenia siebie oczami ludzi, ujrzenia siebie z zewnątrz”.

I tak patrzą na siebie ludzie w *Granicy*

Ratajczaka. Dobrze się to ogląda, ciekawie czyta, odbiera. Pytanie, czy w ogóle potrzebna jest znajomość powieści wszak takich historii pełne jest codzienne życie pod każdą szerokością geograficzną. Inwersja czasowa jako wstęp do studiów postaw i motywacji okazała się pomysłem trafionym, choć trudnym w realizacji ze względu na powieściowe i teatralne odwrócenie ciągu przyczynowo – skutkowego. Powtarzane sceny w różnych wariantach i perspektywach patrzenia jak choćby zabójstwa Zenona przez Justynę służą dobrze odbywającemu się na naszych oczach procesowi, gdzie swe miejsce ma oskarżyciel, obrońca i ława przysięgłych. Gąszcz relacji procesowych podanych przez wskrzeszonego na potrzeby narracji Ziembiewicza usprawiedliwiającego wszelkie popełnione winy własną działalnością polityczną, społeczną, wyznawanymi wartościami, dziedzicznymi trudnościami rodzinnymi miesza się z punktem widzenia Bogutówny, skrzywdzonej przez los i ludzi kobiety doprowadzonej do obłędu i zbrodni. Cały spektakl to próba oskarżenia i jednocześnie obrony pozycji, na których okopali się protagoniści.

Aktorstwo ma w tym przedstawieniu swoje wloty i nieliczne upadki. Dlaczego? Niełatwo nakreślić mnogość wariantów ludzkich doświadczeń i cierpienia. Michał Czaderna w roli idealisty Ziembiewicza to pomieszanie słabości, niedojrzałości i konformizmu. Najbardziej udało mu się naszkicować te dwa pierwsze stany skupienia swej duszy. Gorzej poradził sobie z pokazaniem misternej gry zaprzeczeń, porażek, zwykłego draństwa. Inaczej w przypadku Justyny. Interpretacja Magdaleny Jaworskiej to gra bardzo grubą kreską przesady, przerysowania. Nie wiadomo czy zamierzona, czy przypadkowa. W niektórych repetycjach było to bardzo pomocne, uzasadnione, w innych nieco raziło i rozpraszało. Szczególnie, je-

śli weźmiemy pod uwagę, że ta właśnie postać skupia całe zło, pogardę i ludzką krzywdę, katastrofę, jaka przydarzyła się jej światu. W końcu jednak aktorka udanie przeprowadziła swą Justynę od niewinności poprzez dojrzałość po sponiewieraną, odrzuconą przez wszystkich kochankę, morderczynię.

Postaci *Granicy* Ratajczaka zdają się zamieszkiwać dziwne tajemnicze domostwo. Można by je określić jako zamieszkanie w opowieści o sobie. Pomagają w jej odślanianiu znakomicie zharmonizowani Obrończyni i Prokurator. Marta Gzowska-Sawicka i Rafał Sawicki prowadzą nas za sprawą emocjonującego pojedynku na sali rozpraw, oprawionej scenograficznie przez Marcina Chlandę, poprzez zakamarki ludzkich wyborów, kłamstw, zaniedbań, porażek, przygotowując do ostatecznej sentencji. Wielkie emocje zapewniła widzom współczesna deweloperka Cecylia Koliczowska w wykonaniu znakomitej Wiktorii Węgrzyn-Lichosyt. Kto wie czy to nie ona stała się symbolem destrukcyjnych socjalnych przemian, jakie stają się udziałem społeczności. Walerian Ziembiewicz Adama Myrczka to mistrzostwo w kreśleniu mapy ludzkich emocji, cynizmu, wyrachowania. Ciekawie pokazana matka Jagody Krzywickiej, czy dobrze zagrany Chaśba Piotra Gajosa to niewątpliwie atuty tego dynamicznego, wieloznaczeniowego widowiska. Na drugim biegunie mamy jeszcze Czechlińskiego Sławomira Miski i Tczewskiego Tomasa Lorcka świadczący o tym, że we współczesnym świecie nie da się uniknąć trującego jadu oportunistów.

Oglądając bielską wersję *Granicy* pozostajemy z naręczem pytań i wątpliwości. I dobrze. Bo w końcu twórcom nie chodziło przecież o to, by po raz kolejny odślonić obraz życia podzielonego na piętra, pokazać karierę i postawę moralną byłego prezydenta miasta i jego idealistyczne marzenia związane z naprawą świata, upadek Justyny, oddać świadomość ludzkich błędów, społeczne zaniedbania politycznych decydentów. Więc o co? Może próbę ukazania jak skomplikowany charakter mają wszelkie oceny i sądy o ludziach? Jak daleko można dotrzeć w poznawaniu motorów ludzkiej psychiki, gdy ujrzymy wreszcie siebie w relacji naszej równowagi ze światem? Może. W każdym razie należy pamiętać, że w zakończeniu spektaklu nie usłyszymy ostatecznego wyroku, bowiem to my musimy wydać go sami. ■

Granica. Polski proces w stylu amerykańskim

Adaptacja na motywach powieści Zofii Nałkowskiej

reż. Piotr Ratajczak

Premiera 15.04.2023

Teatr Polski w Bielsku-Białej



ŚLĄSKA
OJCZYŻNA
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

„Przędzi my miyszkali w familoku”

Od kilku miesięcy w kolejnych odcinkach przywołuję szczególnie mi bliskie śląskie słowa – do tego stopnia ze mną zrośnięte, że prawie nie ustępują w moim codziennym językowym obcowaniu formom standardowym, ogólnym. Dziś – do opisanych ostatnio *naschwoł* i *skuli* – dołączam swego kolejnego leksykalnego ulubieńca, którym jest forma *przędzi*. Używam jej, oczywiście, w znaczeniu „najpierw, wpierw, na początku, wcześniej, przedtem” w konstrukcjach typu „Przędzi trzeba to zrobić”, „Przędzi zjemy obiad, a potem pójdziemy na spacer”, a więc przylegających znaczeniowo do tytułowego wypowiedzenia „Przędzi my miyszkali w familoku, a terozki my sie przekludzili do bloków”, pochodzącego z „Małego słownika gwary Górnego Śląska” Bożeny Czastki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec z roku 2000. Leksykon ten przytacza również formy oboczne *przędzi*: *przód* i *przody*.

Wszystkie one, powiedzmy od razu, są pięknymi staropolanizmami. Czytamy np. w „Zapiskach i roztach polskich z XV-XVI wieku”: „Miał podnieść płot, który przód stał”. *Przód*, czyli „pierwej, przedtem, wprzód”. W tym momencie zaś od razu mi się przypomina wypowiedź Kazimierz Kutza z jego wspomnieniowego alfabetu „Klapy i ścinki” z roku 1999, w której napisał o uczestnikach gwarowego konkursu „Po śląsku, czyli po naszymu”, że „częstują nas urzekającą gwarą, staropolszczyzną – zdawałoby się dawno zapomnianą, a jednak ciągle żywą” (s. 211-212).

We współczesnej polszczyźnie, jak informuje „Uniwersalny słownik języka polskiego” pod red. prof. Stanisława Dubisza z roku 2003, *przód* to „przednia część, strona czegoś; miejsce przednie, front, początek” (*przód samochodu, być na przodzie, w przodzie tramwaju*), „część ciała po stronie twarzy, pyska, dzioba; to, co znajduje się po tej stronie” (*przód sukni, zająć kogoś od przodu, obrócić się przodem do kogoś*), „przestrzeń znajdująca się przed kimś, przed czymś, kierunek zgodny z kierunkiem patrzenia danej osoby” (*tłum napierał z przodu z tyłu, zrobić krok w przód, wyrwać się do przodu, pochylić się ku przodowi*).

Prof. Wiesław Borys w swym „Słowniku etymologicznym” z roku 2005 potwierdza, że staropolski *przód* – tak jak to jest do dziś w mowie śląskiej – na początku, od XIV wieku, oznaczał tyle, co „przedtem, pierwej”, a dopiero od wieku XVI przyjął znaczenie „przednia część”. W czasach prasłowiańskich była to forma *perd*, która utrzymała samogłoskę „e” w polskim przyimku *przed*, w wariancie rzeczownikowym natomiast doszło do regularnego przegłosu polskiego, czyli przejścia pierwotnego „e” – po spółgłosce miękkiej „rz”, a przed spółgłoską przedniojęzykowo-zębową „d” – w „o”. Tak powstał *przod*, późniejszy *przód*.

W przywołanym wyżej wypowiedzeniu z „Małego słownika gwary Górnego Śląska” znalazło się zdanie *terozki my sie przekludzili do bloków* – z równie archaicznym, jak do chwili obecnej bardzo często uży-

wanym na Śląsku czasownikiem *przekludzić sie* – „przeprowadzić się”. Do zacytowanego przykładu można jeszcze dołączyć inne konstrukcje z tego słownika: „Przekludzimy sie z Bytkowa na Giszowiec”, „Stazyjko, a przekludzi sie to latoś ta wasza cera ku wóm?” (s. 201).

Podstawą słowotwórczą *ptzekludzania się* jest forma *kludzić (sie)* – znacząca nie tylko tyle, co „przeprowadzać się” („Kaj sie bydziecie kludzić?”), ale i „prowadzić, przyprowadzać”: „Kogo zaś to stary kludzi do chałpy?” (tamże, s. 103).

Od podstawy *kludzić (sie)* urobione są przedrostkowe derywaty *wykludzić (sie)*, *wyklkudzać (sie)* – „wyprowadzić, wyprowadzać się”: „Wykludź tego psa, bo wyje”, „Jutro sie wykludzomy na nowe miyszkanie” (tamże, s. 289).

Do rodziny derywatów przedrostkowych należą też postacie *skludzić*, *schludzić*, *skludzać* używane w znaczeniach „sprowadzić, prowadzić, sprowadzać”: „Kogo tu zaś skludzóm na te pomiyszkanie?” oraz „uprzatnąć, schować”: „Skludź tyn wercjojg (narzędzie), bo byda zamiatać” (tamże, s. 224-225).

Wreszcie – można się również *okludzić*, czyli „doprowadzić się do porządku”: „Poczekaj, ino sie okludza i zarozki podymy do izby”, „Okludziłeś sie to już po tyj robocie na polu?” (tamże, s. 173).

Doprawdy, imponująca jest prefiksalna wybujałość tego czasownika! – można podsumowująco powiedzieć. Uznaje się go zaś za jeden z wielu bohemizmów, czyli wyrazów, które przyszły do nas z języka czeskiego.

Joseph Conrad i profesor Julian Krzyżanowski

STEFAN ZABIEROWSKI

W roku 1971 Wydawnictwo Morskie w Gdańsku wydało moją książkę *Conrad w Polsce. Wybrane problemy recepcji krytycznej w latach 1896–1969*. Pozycja ta, jako że podejmowała mało znany dotychczas temat, wzbudziła pewne zainteresowanie w kręgach czytelniczych, szczególnie zaś wśród znawców i miłośników Conrada. Doc. Barbara Koc, znana już badaczka Conrada, a wówczas kierowniczka działu rękopisów Biblioteki Narodowej w Warszawie, poinformowała mnie, że książką tą jest zainteresowany jej mistrz naukowy profesor Julian Krzyżanowski. Nie pozostawało mi nic innego jak napisać na egzemplarzu piękną dedykację, opakować i przesłać książkę jednemu z najwybitniejszych polskich historyków literatury. Niedługo po otrzymaniu książki profesor odpowiedział mi osobnym listem.

Ponieważ list ten jest także znakomitym świadectwem odbioru twórczości Conrada przez jednego z najwybitniejszych polskich intelektualistów, pozwolę sobie przytoczyć obszerny jego fragment z dnia 22 października 1975 roku. Profesor Krzyżanowski pisał:

„Drogi Panie, za »Conrada« i list przyjąć proszę te wyrazy szczerzej wdzięczności. Pisarz to wspaniały, ale bardzo trudny, toteż każdą dobrą pracę o nim witam z uznaniem, a takich u nas nie mogło pojawić się zbyt wiele. Ja sam o pracy takiej nieraz myślałem, bo był mi bliski, ale skończyło się na... myśleniu. A bliski dlatego, że w r. 1920 odbyłem podróż poniekąd jego szlakiem z Władystoku przez Nagasaki i Hongkong do Gdańska. W dwa lata później, siedząc na wsi, przeczytałem go od deski do deski, ale tylko tyle. A w 2 lata po jego śmierci znalazłem w Londynie sporo ech, choćby takich, że na moje wykłady o nim w Kings College przychodzili jego podwładni, którzy go przeżyli. A jeszcze później, bo w r. 1930, wybrałem się na jego grób pokryty kwiatami w połowie czerwonymi, w połowie białymi. Wierzyć się nie chce, że to było tak dawno. Pracę zaś Pańską po prostu przegapiłem, obecnie przekartkowałem ją, przeczytanie jej dokładnie odkładając na listopad. Wyrazem zaś mego do niej szacunku jest list, napisany w parę godzin po jej nadejściu, co mi się od lat nie zdarzyło [...]».

Jako komentarz do tego listu mogę dodać, że wybuch pierwszej wojny światowej zastał Krzyżanowskiego na wakacjach w Kijowie i tu – jako obywatel austriacki – został internowany i zesłany na Syberię. Później, gdy nadarzyła się taka okazja, wstąpił

do formującej się 5 dywizji wojska polskiego. W lipcu 1920 roku powrócił do Polski na pokładzie statku „Jarosław”.

W świetle tego listu nie trudno dostrzec emocjonalny stosunek profesora do ulubionego pisarza. Ale Krzyżanowski podszedł też do Conrada profesjonalnie jako historyk literatury. Powiedzmy od razu, że w bogatym dorobku naukowym Krzyżanowskiego, liczącym blisko 1200 pozycji, teksty o Conradzie to zaledwie kilka pozycji, które zajmują niewiele miejsca. Ale nie ważna tu jest ilość, lecz przede wszystkim ciężar gatunkowy, jakim wyróżnia się podejście Krzyżanowskie. Podejście to wyrażało się przede wszystkim w tym, że rozpatrywał on twórczość Conrada w odniesieniu do polskiej tradycji romantycznej. Do takiego właśnie sposobu interpretacji badacz ten był poniekąd upoważniony przez samego Conrada, który udzielając na wiosnę 1914 roku wywiadu Marianowi Dąbrowskiemu, mężowi późniejszej autorki *Nocy i dni*, powiedział: „Angielscy krytycy – wszak istotnie jestem pisarzem angielskim – mówiąc o mnie zawsze dodają, że jest we mnie coś niezrozumiałego, niepojętego, nieuchwytnego. Wy jedni to nieuchwytność uchwycić możecie, niepojęte pojąć. To jest polskość. Polskość, którą wzięłem do dzieł swoich przez Mickiewicza i Słowackiego. *Pana Tadeusza* ojciec czytał mi głośno i mnie czytać kazał głośno. Nie raz, nie dwa. Wolałem *Konrada Wallenroda, Grażynę*. Później wolałem Słowackiego. Wiecie, dlaczego Słowackiego? *Il est l'ame de toute la Pologne, lui*».

Krzyżanowski zajął się przede wszystkim publicystyką polityczną Conrada. Teksty te dotąd nigdy nie były przedmiotem zainteresowania badaczy polskich. Jedynie Stefan Żeromski, powołując się na owe artykuły (*A Note on the Polish Problem* oraz *The Crime of Partition*), wygłosił pochwałę Conrada, który „[...] w sposób szlachetny ujmuje się za nami, za naszą nie przedawnioną sprawą, za złączeniem rozzerwanych części narodu. Znakomity autor czynił wówczas co mógł: rzucił na szalę ważących się losów naszych swe nazwisko. Jesteśmy mu wdzięczni za to przyczynienie się za nami w chwilach stanowczych i decydujących».

Inaczej Julian Krzyżanowski. Badacz ten – w monograficznym, poświęconym Conradowi numerze „Ruchu Literackiego” – rozpatrywał publicystykę polityczną Conrada w kontekście tradycji polskiego romantyzmu. W rozprawie *U źródeł publicystyki Józefa Conrada* Krzyżanowski odwołał się do innego jeszcze tekstu Conrada (oprócz *Cri-*

me of Partition) mianowicie do *Autocracy and War*. Badacz zwrócił uwagę, że Conrad, analogicznie jak Mickiewicz po klęsce Powstania Listopadowego, starał się nadać konfliktowi polsko-rosyjskiemu wymiar metafizyczny, przedstawiając ów konflikt jako walkę dobra ze złem. Pisarz angielski idealizował dzieje Polski, natomiast w negatywnym świetle przedstawiał Rosję. Wyznaczonym przez Krzyżanowskiego tropem – i powołując się na tego autora – podążył Józef Ujejski, który w swej monografii *O Konradzie Korzeniowskim* pisał: „Można by ulec złudzeniu, że czytamy tu w przekładzie angielskim jakąś emigracyjną prozę polskiego romantyzmu. A kiedy potem przychodzi »rzut oka« na przeszłość Polski, złudzenie to mogłoby jeszcze wzrosnąć. Jest to przecież ta sama apoteoza, którą znamy tak dobrze z dzieł »wieszczów«».

Do obserwacji przedwojennych uczonych nawiązał poeta z emigracyjnej grupy „Kontynenty”, a zarazem profesor na wydziale anglistyki uniwersytetu w Vancouver – Andrzej Busza. Badacz ten zwrócił uwagę w swoim artykule, że pisząc *The Crime of Partition* Conrad korzystał z broszury politycznej Józefa Hieronima Retingera *La Pologne et l'Equilibre europeen* (1916), posuwając się do tego, że pewne partie zaczerpnięte z broszury cytował dosłownie w swoim artykule.

Zdaniem Buszy, istniała wszelako między przywołanymi tu tekstami Retingera i Conrada zasadnicza różnica. Podejście Retingera, jak na publicystę politycznego przystało, było pragmatyczne, natomiast ujęcie Conrada – nawiązującego do polskich romantycznych tradycji – skrajnie moralistyczne.

Kiedy wreszcie zaś, bo w roku 1934, w dziesiątą rocznicę śmierci Conrada, Julian Krzyżanowski interpretując na łamach tygodnika „Pion” powieść *Zwycięstwo*, uważał za stosowne wskazać, że zakończenie tego utworu nawiązuje do poetyki powieści polskiej. Zdaniem tego badacza: „Zdaje się jednak, że po metrykę literacką tragedii na Samburanie sięgnąć trzeba nieco głębiej wstecz, bo aż do młodzieńczej poezji Mickiewicza, do dobrze Conradowi znanej *Grażyny*».

Natomiast pewnym nieporozumieniem była – wypowiedziana przez Krzyżanowskiego – negatywna ocena pracy Gustawa Morfa *The Polish Heritage of Joseph Conrad* (1930). Nie wymieniając nazwiska tego autora, Krzyżanowski ostro krytykował psychoanalityczną interpretację Conrada przez Morfa. W swojej *Nauce o literaturze*, polemizował z psychoanalityczną, jak sądził, interpretacją powieści Conrada *Lord Jim*. Pisał

tam: „W świetle tej metody *Lord Jim* Conrada ma być próbą wyzwolenia się autora z kompleksu dezercji patriotycznej, jedynym zaś z dowodów ma być nazwa statku »Patna«, stanowiąca podświadomie dobrany odpowiednik wyrazu *patria*. A przykład to jeden z inteligentniejszych, na ogół bowiem wywody literackie psychoanalityków grzeszą prostactwem umysłowym”.

W wywodach swoich Krzyżanowski nieśluszenie sugerował, że Gustaw Morf był pod wpływem poglądów Zygmunta Freuda. Tymczasem z listu skierowanego do mnie przez tego szwajcarskiego psychiatrę mieszkającego w Kanadzie wiem, że Morf był uczniem Carla Gustava Junga i że jego metodologię stosował w swojej książce. Prawdopodobnie źródłem tego nieporozumienia była wówczas słaba znajomość koncepcji Junga w Polsce.

Warto również zaznaczyć tu, że koncepcjami Morfa – w większym lub mniejszym stopniu – sugerowało się kilku znaczących polskich interpretatorów Conrada. Dość wymienić Józefa Ujejskiego, Wita Tarnawskiego czy Czesława Miłosza.

Ale Krzyżanowski był nie tylko wybitnym historykiem literatury, ale spełniał także rolę organizatora życia naukowego. Stało się to szczególnie wyraźne w okresie okupacji, kiedy profesor stał się głównym organizatorem studiów polonistycznych na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. A atmosfera na owej tajnej uczelni była szczególnie sprzyjająca Conradowi, a fakt ten łączył studentów i prowadzących zajęcia. Tak o tym pisał jeden z prowadzących tam zajęcia profesor Bogdan Suchodolski: „Nie to było najistotniejszym znamieniem tych lat, że funkcjonowało tajne szkolnictwo różnych rodzajów i różnych szczebli, ale to, że ta praca oświatowa przerastała w wielu przypadkach we wspólne przeżycia, wątplenia i poszukiwania, we wspólne wysiłki odczytywania sensu i godności ludzkiego istnienia z wydarzeń, które nas zalewały falą potopu. Był to niustający i dramatyczny dialog, który prowadziliśmy wszyscy razem”.

Szczególne miejsce w klimacie tego dialogu przypadało twórczości Josepha Conrada–Korzeniowskiego. Przywołajmy raz jeszcze opinię prof. Suchodolskiego: „Gdybym miał przedstawić najogólniej ich atmosferę, musiałbym odwołać się do Conrada. To był nasz pisarz, pisarz tamtych dni i ówczesnego losu – chociaż jego powieści mówiły o egzotycznym świecie i już odległych czasach. Dla nas – wówczas – był pisarzem naszego losu i naszego sumienia”.

Nic tedy dziwnego, że teksty Conrada stały się przedmiotem interpretacji przez wykładowców i studentów tego tajnego uniwersytetu. Jak wspominał Stanisław Frybes: „Kierownikiem studium był prof. J. Krzyżanowski. On w porozumieniu z innymi profesorami ustalał program zajęć, wciągał do współpracy wykładowców dla tworzących się kompletów”.

To właśnie w uzgodnieniu z prof. Krzyżanowskim, w roku akademickim 1941/1942, świetnie znający literaturę angielską profe-



Profesor Julian Krzyżanowski

sor Wacław Borowy podjął wykład *Sztuka powieściopisarska. Jej przykłady w twórczości J. Conrada*. Z tego właśnie wykładu zachował się konspekt, przedrukowany przez Barbarę Koc w jej antologii *Wspomnienia i studia o Conradzie*. Autorka ta zamieściła szkic Borowego z roku 1942 *O Lordzie Jimie*, który najprawdopodobniej był jednym z konspektów do owych wykładów. To, że Borowy właśnie w czasie okupacji hitlerowskiej zajął się tą powieścią Conrada nie było rzeczą przypadku. Właśnie ten pisarz i ta jego powieść cieszyły się wyjątkową popularnością wśród młodzieży konspiracyjnej, szczególnie zaś u ludzi z rocznika 1920. Tak o tym pisał w eseju *W służbie Wielkiego Armatora* jeden z przedstawicieli tego pokolenia Jan Józef Szczepański: „Mówiliśmy o »sytuacjach conradowskich«. Nawet ci, którzy nie przeczytali nigdy ani linijki z jego książki. Na pozór jest to bardzo dziwne. Kiedy się jednak zastanowić widać, że nasze drogi – drogi Conrada i mojej generacji – musiały się zbiec”.

W okresie tuż powojennym, z punktu widzenia polityki kulturalnej poszczególne komunistyczne ekipy sprawujące władzę, Conrad był źle widziany do tego stopnia, że w latach 1949-1956 zaniechano wydawanie jego utworów. Październik 1956 wprowadził zdecydowanie zmia-

ny na lepsze, ale najważniejsza zmiana nastąpiła na przełomie lat siedemdziesiątych. Dużą rolę w dokonaniu tej zmiany odegrali wychowankowie Juliana Krzyżanowskiego i Wacława Borowego z Uniwersytetu Warszawskiego – niestety już nie żyjący – autorzy licznych prac o Conradzie: profesorka Barbara Koc i Zdzisław Najder. Trudną do przecenienia zasługą Krzyżanowskiego i Borowego pozostanie przygotowanie kolejnej generacji polskich badaczy Conrada, badaczy, których prace będą stawały na poziomie światowym. I bodaj czy przygotowanie owej kolejnej kadry badaczy nie będzie największą zasługą profesora w dziedzinie conradystyki

Wyrazem uznania dla conradowskich dokonań Krzyżanowskiego było powierzenie temu uczonemu zaszczytu otwarcia obrad międzynarodowej konferencji conradowskiej, która miała miejsce jesienią 1972 roku w trzech polskich ośrodkach – w Warszawie, Krakowie i Gdańsku. Jak mówili świadkowie tej inauguracji, pełne temperamentu wystąpienie Juliana Krzyżanowskiego spotkało się z dużym uznaniem ówczesnej elity conradystów, jaka uczestniczyła w tych obradach.

Tu mogę jeszcze dodać, że z perspektywy minionych 50 lat właśnie ta konferencja uznana była za przełomową w dziejach conradystyki światowej i polskiej...

Makromensja

Makromensja, wywoływana przez mało znanego nawet specjalistycznym kręgom medycznym wirusa SABES 2 (*severe acute brain extending syndrome 2*), jest, w przeciwieństwie do tak powszechnych i częstych schorzeń, jak np. miażdżycy, niewydolności wyobraźni czy nieżyt horyzontu myślowego, chorobą nie tylko nader rzadką i młodą, ale do tego jeszcze zupełnie przez medycynę niezbadaną. Trudno by szukać w leksykonach i fachowych czasopismach medycznych rozpraw na temat pochodzenia tej choroby, jej klinicznego obrazu, opisu typowych symptomów, przebiegu jak i sposobów jej leczenia. Schorzenie to znane jest od niewielu lat, a liczba dotychczasowych zachorowań na całym świecie, jak tego dowiedziałem się ze znalezionej w Internecie informacji grupy samopomocy makromensjanów, nie przekracza kilkunastu zaledwie przypadków. To oczywiście bardzo niewiele, o wiele za mało, by chorobę tę uznano za schorzenie o donosnej szkodliwości społecznej, a jej leczenie rokoowało jakiegokolwiek widoki na zysk dla przemysłu farmaceutycznego, instytutów badawczych, lekarzy oraz ich lobbystów. Podejrzewam, że nawet gdyby zapadł na nią nasz prezydent albo któryś z ministrów lub kardynałów, rząd nie przeznaczyłby na odpowiednie badania medyczne złamanego grosza. Dlatego jeszcze do tej chwili nie wyprodukowano leku, który, jeżeli by już nie leczył, to przynajmniej spowolniłby rozwój lub choćby ograniczyłby dolegliwość symptomów tego bolesnego i do tej pory nieuleczalnego schorzenia.

Istota tej choroby polega na powolnym acz nieustannym rozszerzaniu się świadomości chorego. Nawiasem mówiąc, jest to w jakiś sposób choroba paradoksalna: to, co do tej pory tak usilnie próbowano osiągnąć przy pomocy narkotyków, jak np. LSD, opium etc., lub odpowiedniej indoktrynacji, jak np. w przypadku Scientology, Świadków Jehowy czy komunizmu, a co w każdym z tych przypadków okazało się fiaskiem prowadzącym z jednej strony do zabójczej dla umysłu narkomanii a z drugiej do ubezwłasnowolnienia umysłu przez reżimowe ideologie, tutaj powstaje i rozwija się bez jakichkolwiek przeszkód; niestety, rozwój ten potęguje pojemność umysłową ludzkiego mózgu daleko poza wyznaczone mu przez naturę ramy poznawczej przydatności. I to właśnie stanowi poważny problem.

Na makromensję zapadłem przed kilku laty, krótko po tym, gdy wróciłem z urlopu w Egipcie. Oczywiście trudno mi powiedzieć, czy to tam, zwiedzając grobowce władców tej wielkiej, prastarej kultury, złapałem tego wirusa. Jest również możliwe, że zaraziłem się w McDonalddie albo w którymś z licznych barów serwujących fast-food, może też u dentystry, fryzjera, masażystki lub kosmetyczki. Zresztą nie ma to większego znaczenia. Leczący mnie do tej pory lekarze, nie posiadając jakiegokolwiek wypróbowanego środka farmakologicznego przeciw tej chorobie, działali w pełni intuicyjnie, stosując różnorodne, wymyślone przez siebie terapie i substancje. Tak więc próbowano zatrzymać proces poszerzania się mej świadomości między innymi każąc mi pracować przy taśmie montażowej, w charakterze sprzedawcy ubezpieczeń, kasjera w supermarkecie, ochraniającego dostojników państwowych czy też występować w konkursach piękności. Miesiącami wystawiano mnie na działanie seriali telewizyjnych, komedii sytuacyjnych, sprawozdań z obrad parlamentu oraz telewizyjnych transmisji mszy świętych. Jeden z lekarzy leczył mnie, aplikując duże dawki otepiającego umysł alkoholu, inny przekonany był o skuteczności wchłaniania przez dłuższy okres czasu naparów z różnych ziół i warzyw,

jeszcze inny wreszcie spodziewał się dobrych wyników po zastosowaniu różnych dopalaczy.

Dwa lata znosiłem z cierpliwością, o którą nigdy bym sobie nie podejrzewał, te bolesne zabiegi, żywiąc się rozpaczliwą nadzieją na wyleczenie. Niestety. Żadna z zastosowanych metod nie powstrzymała dalszego postępu choroby, żadnemu z lekarzy nie udało się powstrzymać czy choćby tylko spowolnić wzrostu mej świadomości i w końcu uznano mnie za nieuleczalnie chorego. Do tego liczne i jakże kosztowne wizyty u lekarzy pochłonęły wszystkie moje oszczędności i pchnęły na skraj finansowej ruiny, a przyznana mi skromna renta inwalidzka zezwala na egzystencję na poziomie co najwyżej wegetatywnym.

Dręczący mnie niepokój, lęk i przewlekłe stany depresyjne, będące konsekwencją coraz bardziej i nieustannie wzrastającego poznania otaczającej mnie rzeczywistości i siebie samego, stały się od niedawna trudne do zniesienia. Przejrzałem już miałość naukowych i moralnych autorytetów, iluzoryczność politycznych i religijnych doktryn, narcystyczną groteskowość sztuki, cienkość fasad etyki, infantylizm literatury, złudność przestrzeni, czasu i światła oraz umowną chwilowość dźwięków i kolorów. Być może już niedługo, wskutek nieustannie postępującej choroby, porzucę obszar przyziemnych, doczesnych prawd i poznam tajemnicę istnienia, którą zresztą już teraz przeczuwam. Wtedy stanę się absolutem, Bogiem, i to będzie mój koniec. Koniec mego człowieczeństwa. Niestety, makromensja jako choroba nieuleczalna, zawsze kończy się tragicznie.

Puste mieszkanie

Rozważania niniejsze należy poprzedzić stwierdzeniem, że chyba jeszcze nikt nigdy nie widział pustego mieszkania. Słowo *pusty* nie oznacza tutaj mieszkania niezamieszkanego, bez mebli, lecz mieszkanie, w którym w danym momencie nikt się nie znajduje, takie, jakie pozostaje, gdy wychodzimy do pracy, na zakupy, do kina, na spacer czy wyjeżdżamy na urlop. Dlatego zdani tutaj jesteśmy jedynie na przypuszczenia, mniej lub bardziej trafne domysły.

Niewątpliwym jest jednak, że w momencie, gdy wracamy do pustego mieszkania, wnosimy do jego wnętrza rozrzuconą przez nas, ludzkie istoty, aurę i mieszkanie podejmuje przymuszony, niemy dialog z naszymi spojrzeniami, naszymi ruchami, naszą obecnością, co w sposób oczywisty zmienia jego charakter i atmosferę. Można przyjąć za bardzo prawdopodobne, że z chwilą, gdy przestępujemy próg mieszkania, jego dusza chowa się w siebie samą jak ślimak do muszli chroniącej go od wszelkiej zewnętrzności. Procesy schnięcia, starzenia się ścian i tworzywa mebli, żółknięcia papierów i tapet czy osiadania kurzu, które w pustym mieszkaniu dominują jego lokomocję, schodzą na dalszy, niedosięgly dla oka czy ucha plan. Być może ulegają spowolnieniu, być może nawet zastygają zupełnie w bezruchu pogrążone w beżłóśnym oczekiwaniu na ten czas, kiedy w mieszkaniu znowu nikogo nie będzie.

Ktoś kiedyś wyraził przypuszczenie, że gdy tylko opuściemy mieszkanie, znajdujące się w nim sprzęty i przedmioty popadają w stan nieokiełznanego rozpasania i wyczyniają dzikie brewerie: krzesła zaczynają wierzcąc nogami, stoły stają dęba, szafy machają drzwiami niczym ptaki skrzydłami, sztuce kopulują ze sobą jak popadnie, książki wywa-

lają swą zawartość na zewnątrz itd. Osobiście nie podzielałam tego poglądu. Wręcz przeciwnie. Jestem przekonana, że wtedy właśnie dopiero pojawia się owa nieuchwytna dusza mieszkania i życie utajone przedmiotów, spowite w atmosferę bezgłośnej kontemplacji, ukazuje prawdziwą istotę swego tajemnego oblicza: krzesła i stoły spoczywają w skupionej zadumie nad swoją czworonożnością, szafy rozważają za zamkniętymi drzwiami sedno ich szafowości, książki milczą w skupieniu, zagłębione w lekturze ich wnętrza, kąty pokoi zapadają w półprzytomną drzemkę. Być może jedynie sztucznie, z natury swej połykliwe i krotochwilne, marzą o tym, by być sztucznymi ogniami.

Struktura przestrzeni między ścianami, podczas naszej obecności wzburzona, zniekształcona wrzaskiem telewizora, wibracjami muzyki, skwierczeniem smażonych potraw, bulgotem gotowanej, szumem lejącej się czy też spuszczonej w ubikacji wody jak i niepokoiona naszymi rozmowami, kłótniami i śmiechem, powraca do swej naturalnej, pierwotnej postaci, której dominującymi cechami są harmonia i symetria. Dochodzące tu teraz odgłosy zaokienego miasta nie są w stanie zakłócić czystej, przejrzystej konsystencji tej przestrzeni, gdyż przefiltrowane przez gęstą tkaninę murów i szkła utraciły swój impet i agresję, i zredukowane zostały do czegoś, co brzmi jak głuche, odległe echo istnienia.

Muszę przyznać, iż wielokrotnie próbowałem zaskoczyć puste mieszkanie w tym właśnie momencie, gdy, wyzbyte uciążliwego obowiązku dawania nam schronienia i posłusznego znoszenia naszej uciążliwej obecności, istnieje niezależnie od nas, samo dla siebie, a więc w swej czystej, naturalnej formie: wychodziłem do pracy, po czym wracałem za chwilę zniemacka pod pozorem, że czegoś zapomniałem. Kilka razy zabrałem nawet ze sobą walizki, pozorując, że udaję się w podróż i nie będę mnie przez dłuższy czas, po czym wracałem niespodzianie, cicho, najciszej jak tylko mogłem prze-

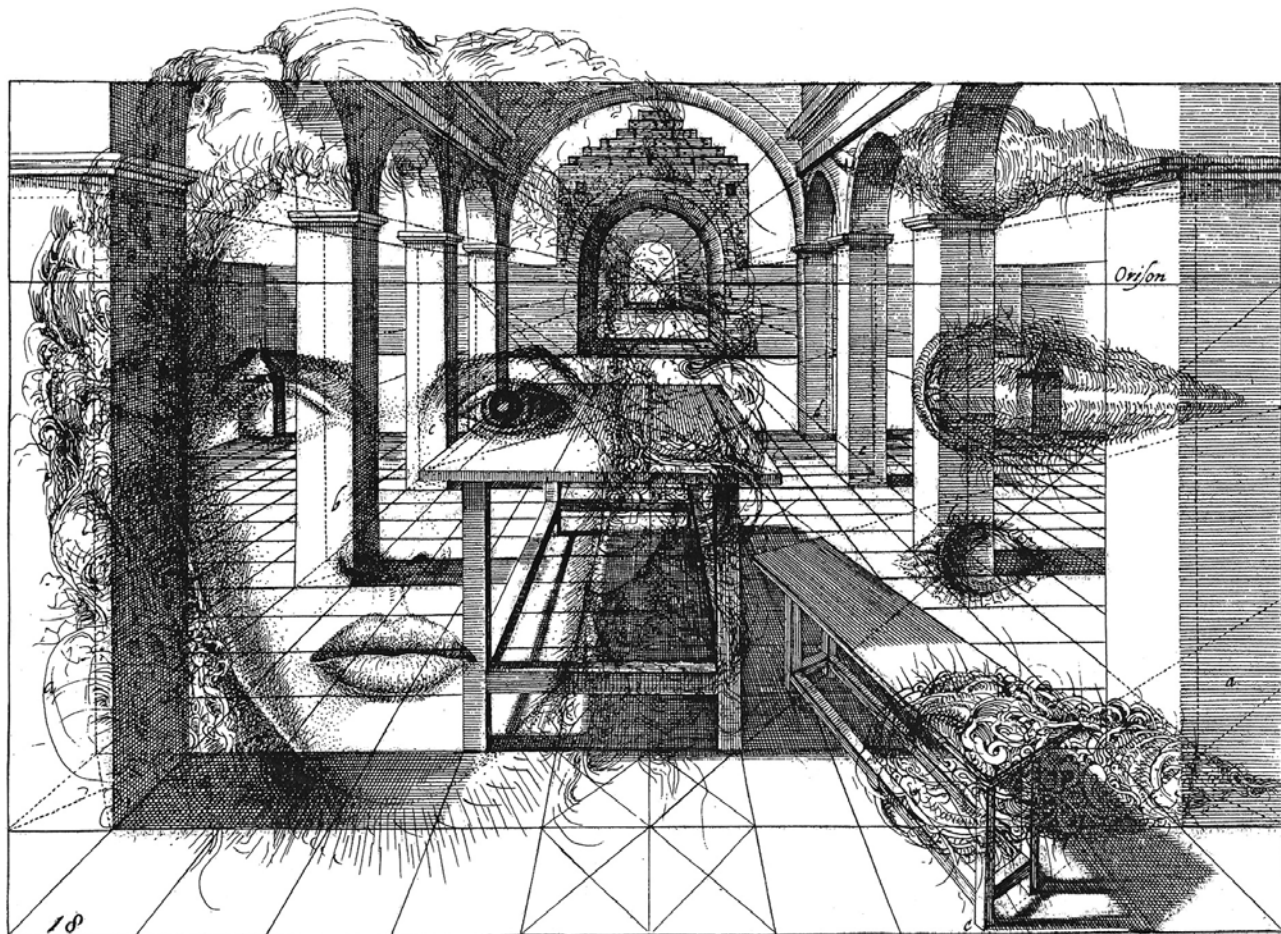
kręcałem w zamku klucz i z impetem wpadałem do mieszkania. Lecz nigdy nie udało mi się przyłapać istoty pustego mieszkania na gorącym uczynku jego prawdziwego istnienia, nigdy, nawet na chwilę, nie udało mi się ujrzeć prawdziwego oblicza jego utajonego życia.

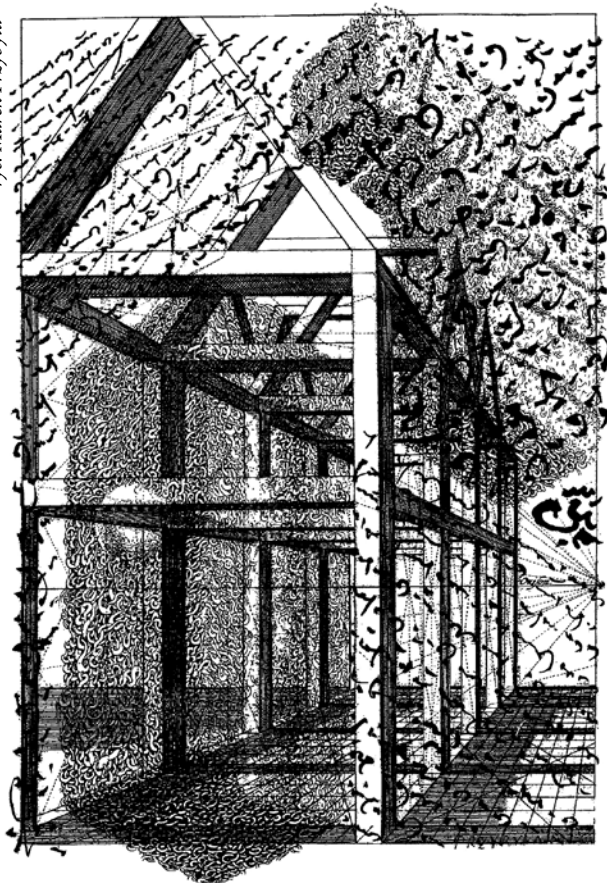
Owszem, raz wprawdzie wydawało mi się, że dostrzegłem ślady zamyślenia na powierzchni stołu, innym razem miałem wrażenie, że przyłapałem fotel w momencie, gdy ten, poczuwszy mą nagłą obecność, raptownie jak ktoś, kto jadł potajemnie i nie zdążył na czas przełknąć ostatniego kęsa, gorączkowo przerwał rozważania na temat rozłożystości swej oparcowości. Ale ślady te były tak krótkotrwałe i ulotne, że kładę je raczej na karb mojej wyobraźni i nie przypisuję im statusu obiektywnych faktów.

Substancje

Plastik, jakby na niego nie patrzeć, jest zawsze czymś gorszym. Plastik bowiem, zawsze na usługach totalnej funkcjonalności, nie posiada własnej osobowości: może być obudową, pojemnikiem, uchwytem itp., lecz nigdy nie jest sam w sobie, sam dla siebie. Ludzie mawiają: „Spójrz, jakie wspaniałe są słoje tego drewna” albo: „Jakąż ciekawą strukturę i kolor powierzchni ma ten kamień”, lecz czyż ktokolwiek powiedziałby coś takiego o plastiku? Choć plastik może mieć różne kolory i formy, to nikt przecież nie powie: „Spójrz, czyż ten plastik nie jest wspaniały!?”

Owszem, plastik podszywa się czasem pod inne, szlachetne substancje, na przykład wtedy, gdy udaje kwiaty, lecz nawet w tym wypadku jego istnienie jest formą zastępczą, podłym substytutem, sztytą grubymi niciami naśladownictwa i jak-





że łatwą do przejścia mistyfikacją. Plastik wprawdzie ma strukturę i kształt, jednak nie posiada duszy, gdyż jest substancją pochodną, niesamodzielną, zrobioną z czegoś innego, dlatego nigdy nie jest sobą, tylko zawsze czymś innym, czymś pośrodku i nie do końca: drewno jest drewnem, kamień kamieniem, woda wodą, ale plastik? Plastik właściwie nawet nie jest plastikiem, jest substancją zatrzymaną w pół drogi, zlepkiem innych substancji, kontaminacją bezdusznych materiałów, więc nie posiada samodzielnego znaczenia, a jego istnienie jest istnieniem czysto użytkowym, doraźnym, pozbawionym perspektywy przyszłości, rozwoju, dążenia, marzeń. Plastik nikt nie kocha i nie podziwia i dlatego plastik nigdy nie jest bliski, swojski, dobry. Plastik jest obcy, jałowy, obojętny.

II

Folia jest młodszą siostrą plastiku i w gruncie rzeczy nikt nie traktuje jej poważnie, na serio. Folia jest substancją paradoksalną: bezwolną a jednocześnie ślepo upartą. Zmięta, natychmiast po wypuszczeniu z dłoni z gorliwością maniaaka próbuje powrócić do pierwotnego kształtu, choć nikt tego nie chce ani od niej nie oczekuje. O natrętnym uporze folii można się łatwo przekonać, próbując odpakować coś, co jest w nią zapakowane. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że można tego dokonać gołymi palcami, jednym niedbałym ruchem. Jednak szybko okazuje się, że bez użycia noża czy nożyczek jest to wręcz niemożliwe. Folia stawia zdecydowany opór, gdyż, nie posiadając własnej indywidualności, uważa przedmiot, który w nią zapakowano, za swą własną isto-

tę, za siebie samą i dlatego z zaciętością godną lepszej sprawy broni doń dostępu.

Folia niejednokrotnie ludzi swym wyglądem zewnętrznym, na podstawie którego przyjmuje się, że jest ona delikatna, filigranowa i lubi być dotykana. Nic bardziej mylnego. Dotykana folia nie spowija dłoni w życiodajną wilgoć, jak czyni to woda, nie pozostawia na palcach kojącego chłodu kamienia, nie trwa wspomnieniem kojącej tkanki drewna. Niekiedy folia, szukając w sobie czegoś własnego i niepowtarzalnego, wykazuje niejakie podobieństwo z wodą lub powietrzem, ale jest to podobieństwo bardzo powierzchowne i złudne: woda i powietrze żyją, natomiast folia, mimo usilnych starań, jest i pozostaje substancją martwą, nawet jeżeli w skrytości ducha wydaje jej się, że jest inaczej.

Folia szybko staje się odpadem, śmieciem. Jedyną pozytywną właściwością folii jest fakt, że można zrobić z niej nową folię, ale również ta właściwość ma charakter czysto pragmatyczny i nie wykazuje absolutnie żadnych podobieństw ze szlachetnym, oczyszczającym procesem reinkarnacji. Folia nie różni się od innych folii i od samej siebie też nie. Folia nie żółknie, nie gnije, nie rozkłada się. Folia w istocie swej materii jest martwa i wieczna, i dlatego nieczuła i nieludzka jak Bóg.

III

Papier jest wprawdzie substancją pochodną, ale mimo to nie zatracił całkowicie rdzennego charakteru drzewa, z którego tkanki został zrobiony. Gdy się dobrze wpatrzyć, można w nim odczuć oddech gałęzi, posmak kory, gorące letnie zmierzchy, mokre, zadeszczone dni czy też nieruchome trwanie w substancji bezwietrznej księżycowej nocy lub nawet przeczuc słoje minionych lat i zim. Jednak te aspekty papieru mogą objawić nam się jedynie albo w papierze niezapisanym, niezadrukowanym, gdy, nim zaczniemy przelewać nań nasze dotyczące czegoś zupełnie innego myśli, zdołamy się na chwilę bezinteresownie nad nim refleksji, albo w papierze dojrzałym, pożółkłym, który już w znacznym stopniu wyzbył się apodyktycznego jarzma użyteczności, a jego istota zdobyła przewagę nad dyktatem zapisanych na nim treści i znaczeń.

Trzeba jednak przyznać, że papier utracił wiele ze swej żywotnej samodzielności, spauperyzował się w procesie rozwoju cywilizacji, uległ i ulega tym samym deformacjom, którym podlega człowiek, nieustannie poddający swe struktury upiększającym, ideologiczno-kosmetycznym zabiegom. Papier, zwłaszcza ten współczesny, zadrukowany banalną krotocwilnością przemijającej terażniejszości, jest prawie w zupełności substancją użytkową, nośnikiem pisma, rysunku, obrazu, opakowaniem, a w formie kartonu zredukowany został zupełnie do pełnienia funkcji leżących wprawdzie w obrębie jego fizycznych właściwości, ale poza sednem jego istoty: Karton to osobowość drzewa wyzbyta symbolicznego znaczenia, gdyż karton, podobnie jak plastik i folia, nie jest symbolem niczego, nawet samego siebie.

A jednak papier jako taki, również ten dzisiejszy, mimo upadku i poniżenia, nie utracił całkiem swej witalnej osobowości. Jego substancja, w przeciwieństwie do folii czy plastiku, lubi być dotykana, muskana, nazywana, jego miękka, wciąż jeszcze żywą tkankę dopuszczamy z pełnym zaufaniem do najintymniejszych nawet części naszego ciała, jakimi są skóra, wargi czy błony śluzowe; bo przecież folią czy plastikiem nie można wytrzeć ust, nie można wyczyścić nosa czy się podetrzeć. ■

Gabriel Koch (1959) urodził się w Mysłowicach. Po studiach polonistycznych na Uniwersytecie Śląskim pracował jako nauczyciel. Zadebiutował arkuszem poetyckim *Kto to powiedział, że ludzie są źli* (1983); wiersze, opowiadania i recenzje książek ogłaszał wówczas na łamach „Tak i Nie”, „Radaru”, „Życia Literackiego”, „Odry”. W 1989 wyemigrował do Niemiec, wiersze i prozę publikował później m.in. w „Autografie”, „Czasie Kultury”, „Pograniczach”, „Artylerii”, „Trójką”, „Undergruncie”. Mieszka w Düsseldorfie i pracuje z narkomanami.

Poeta Andrzej Niemojewski – urzędnik towarzystwa górniczego

JACEK OKOŃ



W roku 1892 poeta Andrzej Niemojewski (1864–1921) opuścił Kraków i przybył do Sosnowca z zamiarem pozostania tu na dłużej. Był już po debiucie literackim i jego nazwisko nie było obce ludziom czytającym i wykształconym.

W ostatniej dekadzie wieku XIX pojawiła się w Zagłębiu Dąbrowskim plejada literatów, którzy pochylił się nad pracą górnictwem, w której dostrzegli tworzywo i temat. Byli to: Zofia Bukowiecka, Artur Gruszecki i właśnie Andrzej Niemojewski. Spędzili tu wystarczająco dużo czasu, by doświadczenia naoczne mogły zaprocentować w twórczości. Tutaj też szukał natchnienia do napisania kluczowych scen *Ludzi bezdomnych* Stefan Żeromski. Wśród tych nazwisk jedynie Andrzej Niemojewski może być nazwany pracownikiem górnictwa, jako że znalazł tam zatrudnienie na stanowisku sekretarza zarządu w Towarzystwie Kopalń i Zakładów Hutniczych Sosnowieckich Spółka Akc.

Owoce twórczości uprawianej poza pracą, a przecież w ścisłym z nią związku, stał się cykl wierszy pt. *Polonia irredenta*, napisany w Sosnowcu, a wydany drukiem we Lwowie w latach 1895–1896. Sosnowiec był wtedy miastem szybko zwiększającym swój potencjał ludnościowy, substancję mieszkaniową i przemysłową. Zaludnienie miasta wzrastało z każdym dniem, wielokrotnie przekraczając pierwotną liczbę miejscowych mieszkańców. Każdy z owych przybyszów wnosił w ten tygiel własną kulturę i tradycję. Również Niemojewski był tu podobnie niezakorzeniony. Jego strony rodzinne pozostały gdzie indziej, tu wszystko było obce. Swemu pierwszemu wrażeniu dał wyraz w wierszu wstępnym, który rozpoczyna cały cykl.

*W czarnej krainie węgla, pośród maszyn zgrzytu,
Pośród tłumów nękanych od świtu do świtu,
Gdzie kopułę niebieską dym kirem powleka,
Gdzie nocą wiszą tyny nad domem człowieka,
(...)
Ból jakiś i zdziwienie przeszłość w nas porusza,
Pytamy: Gdzież ta Polska z „Pana Tadeusza”...*

Wiersze zaopatrywał poeta w stosunkowo obszerne objaśnienia o charakterze fachowym (nie poetyckim, a górnictwem), które nazywał „przypiskami”. Za pomocą przypisków objaśniał czytelnikowi niezrozumiałe zwroty fachowe i obrazy poetyckie, tłumaczył na język prozy trudniejsze metafory. Czasem była potrzebna statystyka, by zrozumieć niesprawiedliwości lub dysproporcje. Gdy w wierszu padną trudno zrozumiałe słowa „*Głów trupich rząd groźny zapadła ziemię / Otoczył i wytknął dla żywych granicę...*” (z wiersza *Trupie pole*), Niemojewski spieszy z wyjaśnieniem w przypisku.

Opis pól, spod których wydobyto węgiel systemem rabunkowym, najtańszym i najniebezpieczniejszym. Inny system zwie się podsadzkowym. Pól, spod których wydobyto węgiel systemem rabunkowym, przez lat wiele uprawiać nie można z powodu ustawicznego zapadania się poziomu. Celem ostrzeżenia przechodniów pola te otoczone są słupami; zamiast napisów namalowane są trupie główki.

Wiersze Niemojewskiego mają swój klimat industrialny i społeczny. *Polonia irredenta* dzieli się na część „górnictwa” i „hutniczo-

-fabryczną”, całość jest konsekwentnie zagłębiowska. W wierszach górnictwem autor proponuje czytelnikowi podróż w głąb ziemi: szyb, podziemne korytarze, tama przeciwpożarowa, stare pożarowisko, kaplica świętej Barbary. Nie brak też robót strzałowych.

*W kamiennym chodniku pięć lampek się pali
I pięciu górników widnieje.
Śród ciszy przewierca opokę zęb stali
I głucho tam obuch o twardy głaz wali,
Co chwila stal pryska, dłoń mdleje.
Wtem cisza — i światła pogasły. W chodniku
Dym zawiął, zatrzęsły się ściany,
Zatrzęsły opoki i glazy od ryku,
Od ryku wybuchów w kamiennym chodniku:
Piers dławią duszące tumany.*

*Po chwili śród dymu znów lampki drżą w dali,
Znów cienie tam widać człowiecze,
I znowu cierpliwie świdruje zęb stali,
I głucho znów obuch o twardy, głaz wali.
Stal pryska, dłoń mdleje, znój ciecze...*

(Andrzej Niemojewski, z wiersza *Nowy chodnik*)

Później tematyka górnictwa dochodzi do głosu także w tomie prozy *Listopad*, w którym posługując się formą opowiadania i reportażu Niemojewski m.in. opisał katastrofę górnictwem w kopalni „Ludmiła” oraz obchody Barbórki w podziemnej kaplicy kopalnianej. Działalność nowo otwartego teatru sosnowieckiego została zainaugurowana w 1897 roku wystawieniem jego obrazka scenicznego pt. *Prolog*, oparte go na motywach folkloru górnictwem, a napisanego specjalnie na tę okazję.

W swoim domu w Sosnowcu poeta kilkakrotnie w latach 1894 i 1895 gościł Artura Gruszeckiego, pisarza-naturalistę, preferującego metodę monograficzną (tę samą, która pozwoliła Emilowi Zoli napisać powieść o górnictwem pt. *Germinal*). Niemojewski umożliwił Gruszeckiemu spenetrowanie i poznanie środowiska górnictwem. Owocem wizyt u kolegi po piórze są słynne powieści: górnictwem pt. *Krety* i jej hutnicza bliźniaczka pt. *Hutnik*.

Poeta związany był ze środowiskiem górnictwem do roku 1897, później przeniósł się do Warszawy, angażując się w działalność partyjną (PPS) i rewolucyjną (rewolucja 1905 roku); pod koniec życia zatracił się w mrocznej twórczości o charakterze ezoterycznym i astrologicznym.

Wiersze z tomiku *Polonia irredenta* przynależą trwale do dziedzictwa kulturalnego górnictwem i śląsko-dąbrowskiego. Badacze literatury zgodnie przyznają mu pierwszeństwo w tematyce przemysłowej, a zarazem też górnictwem. I tak, np. J.W. Gomułicki stwierdził: „był pierwszym poetą, który wprowadził do poezji polskiej – w ten sposób i w takim zakresie – motyw kopalni oraz postacie górnictwem”. Nie zajmuje wszakże Niemojewski w poezji polskiej miejsca, które można by nazwać miejscem eksponowanym, honorowym, godnym. „Dziwne to i nie naturalne – napisał w *Legendzie Zagłębia* Jan Pierzchała – że wiersze z cyklu *Polonia irredenta* nieznanne są w Zagłębiu i tak zapomniane jak żadne inne dzieło literackie”.

Wiersz egzotyczny

Śnię siebie na wyspie, gra niebiańska muzyka
Czarnoskóre dziewczyny tańczą ze mną walczyka.
Może to nie walczyk lecz zmysłowa *bachata*
Albo zwyczajnie – wyobraźnia kudłata.

Zakładam zbroję rdzą pokrytą
Marsz przez stulecia zaczynam
Gdzie to co było będzie
Przeszłość z przyszłością się miesza
Zbroja wygląda pięknie
Jak dni nasze obecne.

Dawne rysunki w jaskiniach
Ktoś pospiesznie wymazał
Umarli dyktatorzy pozują do fotografii
Ten ma łysinę Cezara, inny nos Kaliguli
Czasem złe oko błysnie, czasem zabrzmi słowo,
A zbroja? Rdzą coraz bardziej pokryta.

Śnię teraz ciebie na wyspie, gra niebiańska muzyka.
Czarnoskóre dziewczyny tańczą same walczyka.
Może to nie walczyk, lecz brutalna *bachata*,
A może tak jak chciałbyś – wyobraźnia skrzydlata.

Docieram do zatoki, gdzie fale tańczą z rafami
Wiatr śpiewa wiersze do słów martwego poety,
W oddali żagiel znika jak nasza nadzieja.
A ta nadzieja to na co? Na dni jak sok z ananasa,
Na chwilę cienia w południe i to, na co czekamy
Co wiatr jak dym z cygara rozwieje.

Krzyk tłumu na ulicy i równy krok żołnierzy
Gwiazda o złej porze spadająca z nieba
Pożar na niebie o wschodzie nieugaszony w morzu
Historia jakiej nie chcemy wymazana z księgi
I zbroję coraz ciężiej wlec za sobą po piasku

I wreszcie nas śnię na tej wyspie, milczy niebiańska muzyka
A czarnoskóre dziewczyny nie chcą już tańczyć walczyka
Pozostała *bachata* coraz bardziej kudłata
i wyobraźnia zwykła ani trochę skrzydlata

Caerloverock Castle

Ptaki gromadzą się w stada, a ważne zdarzenia
Rozpraszają na jesiennym niebie, lekko sinym
Od chłodu, opuszczonym i od lata nieoglądanym,
Jak ruiny zamku omijane przez turystów.

Dawne dni odpłynęły z biegiem Nith i znikły
Przy ujściu do morza, nowe od strony lądu
Już nie nadejdą. Bezzębne wieże i wykruszone
Blanki – starość nie lubi wilgoci i zimna.

Podwójna fosa niczym polisa od rabunku i pożaru,
Nie chroni przed utratą dni i lat odpływających
Do zatoki. Domy rozrzucone po okolicy patrzą
Na zamek obojętnie. Nic im do niego, to już minęło.

Plaża jesienią

Zatoka Clyde wydaje się drzemać,
Skały nad brzegiem strzegą jej spokoju.
Tu nie skrzypi piasek – słychać jedynie
Chrząst skorupiaków, które jak my
Stają się historią. Zielone włosy
Topielic oplatają skały odsłonięte
Przez odpływ, jak ciała kochanków
Mogących odejść w każdej chwili.
Miasto po tamtej stronie zatoki
Wynurza się zwolna – zapomniana
Miłość wydobywa się z niepamięci,
By do niej powrócić.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies,
Z parkingu odjeżdża samochód;
I na nas pora. Naciąga zmierzch.
– Nic tu po was. – szepcze wiatr
W nadmorskich zaroślach. Morze
Nadal drzemie śniąc łodzie
Rebeliantów i przemytników.
Obudzi je przypyływ, a samotny
Człowiek na plaży nic nie znaczy,
Albowiem ono jest jak wszechświat:
Widoczne i niedostępne,
Zamknięte i nieskończone.

Nikt

Nikt tego nie przewidział, co najwyżej ptaki
Odleciały wcześniej tej jesieni
Nikt nie przeczuł, może tylko leśne zwierzęta
Zaszyły się głębiej w rzędziejącym lesie

Wyruszyliśmy na morze, a ono jak ludzka
Niewiedza zdawało się nie mieć kresu
Wiatr ufności wydymał nasze żagle
Zwodniczy szepc syren kołysał nas do snu

Nikt nie przepowiedział tego, nawet chmury
Na coraz bardziej słonym niebie milczały
Nikt nie zauważył, że drzewa w parkach
Przybrały już złotobrązową suknię

Poszliśmy w góry, tam gdzie nie słychać
Ludzkich głosów i nasłuchiwaaliśmy z obawą
Rozczarowanie i smutek dźwigaliśmy na plecach
Zrzucając je z ulgą na każdym biwaku

Nikt nie wyobrażał sobie, jedynie nocą
Bezwieczne niebo szeptało do siebie
Nikt nie domyślał się, choć możliwe,
Że te wszystkie znaki były do odczytania.

Wrzosowiska Galloway

Wrzosowiska późną jesienią
Rozbrzmiewają smętną melodią.
Przywiędłe kwiaty nabierają
Barwy zaschłej krwi.
Czyjej i kiedy przelanej?
Różnie powiadają tutejsi;
Może to krew dzikiego
Ptactwa upolowanego
Tamtej jesieni, kiedy
Niedobitki armii szukały
Schronienia. Dach
Z chmur nad głową
Poślanie z wrzosu
I przyszłość jak krakanie
Kruka-padlinożercy,
Jak pytanie, czy zadowolony się
Zabiją kuropatwą, czy też
Zaczeka na lepszy łup.
Wrzosowiska późną jesienią
Wyprzedają swoje tajemnice.
Królik siedzący nieruchomo
Mógłby wiele powiedzieć;
Jego oczy poczerwieniały,
Może od łez, a może od barwy
Kurtek myśliwych polujących tu
Przed laty na dwunogą zwierzyń.
Wiatr uderza w struny krzewów
I woła zmierzch wypelzający
Z za wzgórz niczym wspomnienie
I wdowi welon. Jakże smętnym
Pibroch na dudach przeszłości
Są wrzosowiska późną jesienią.

Bezdomność

Sen
Jedyne schronienie
Odrapany sufit nieba
Z opadającą pozłotką gwiazd
Odległy
Jak ciepło łóżka
Jutro zdające się nigdy nie nadchodzić
Tak podobne do
Dni przeszłych śpi jeszcze
gdzieś na schodach
czy na ławce w parku
Okryte porannym chłodem
Już za chwilę
Omijać je będą przechodnie
Przeklinając
To nie sypialnia
Nie izba wytrzeźwień
Ani noclegownia
Zanim przyjedzie straż miejska
Dzień jak panna młoda
W welonie południa
Wydzie na ulicę
Zapomniawszy o nocy
Pod dziurawym kocem wieczoru
Dopiero kolejna
przypomni mu
Bezdomność.

Dumfries

Dwa mosty dla jednej królowej,
Jednej rzeki i jednego miasta.
Devorgilla w mgliste jak historia
Dni podąża do swojego Roberta
I czyni go po dwakroć królem.

Tu rzeka Nith płynie leniwie,
Jak chmury w tę noc bezwietrzną,
Gdy podzielony między Szkocję
I Anglię księżyc zarumienił się
Przewidując bitwę.

Kiedy ujrzałem Dumfries miasto
Poeta dawno już je opuścił
Pozostawiając puste miejsce
Przy oknie, za którym światła
Aut i nazwy miejsc oddają mu hołd.

Chmury pluja jesienią i chłód otula
Oba brzegi. Stare domy mają się
Ku sobie. Przybysz rzeźbi psa
W przywiezionym w walizce piasku.
Dzień w życiu miasta jak kropla rosy.

Jak na przepelnionym parkingu
Odnaleźć siebie? Każde miejsce
Jest tymczasowym domem;
Wieczór ukrywa miasto i wzgórze.
Devorgilla powraca swoim mostem.



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Prawdziwe współczesne śniadanie wielkanocne

Zarówno przed, jak i po świętach wielkanocnych nawiązałem kontakt z wieloma znajomymi. Mówiliśmy o tym szczególnym czasie. Moimi rozmówcami byli ci, z którymi przez lata rozmawiałem – prowadząc badania etnograficzne i antropologiczne – o religijności i świętowaniu roku kościelnego. Wspaniali ludzie, wspaniali przewodnicy po śląskiej tradycji. Z zadumą, nostalgią, ale i przerażeniem od lat mówili, że święta wielkanocne i bożonarodzeniowe są już zdecydowanie inne. Pan Paweł tuż po Wielkanocy opowiedział mi swoje – jak to nazwał – „przygody” w czasie ostatniego śniadania wielkanocnego. Zaczął tak: „Wiesz, Marianie, że one są poświęcone yno Pon Bockowi, ale Jego terozki już nie ma przy stole. Na pewno dziwi się Biedoczek i czeko co bydzie dalej. My go wyciepli? Abo nie chce wlyż?”. Wielu moich rozmówców mówi od lat, że obecne święta są prostu pozbawione religijnego charakteru, jak i wyjątkowości, rodzinnego nastroju. Tego, co możemy nazwać mistycznością. Także zwracają uwagę na zanik wielu tradycji, także rodzinnych, owych znormalizowanych kulturowo zwyczajów.

Przede wszystkim podkreślają zwłaszcza zanik refleksji nad ich sensem. Także widzą postępujący prymat profanum nad sacrum. Wszechobecny atak konsumpcjonizmu. To opinia głównie ludzi starszych, ale i średniego pokolenia. Nawet ludzi młodych. A kiedy przyszła pandemia pojawiły się nowe determinanty, które dezorganizowały ten czas. Zwłaszcza zaś ludzie starsi ubolewają, że swój prawdziwy sens zatracił też czas Wielkiego Postu i Adwentu. Czyli czas przygotowywania na święta, czas wybaczenia sobie krzywd i refleksji nad sensem życia. Zauważają to w kategoriach jednostkowych, rodzinnych, sąsiedzkich, wspólnotowych. Mój rozmówca, urodzony końcem lat 30. w klasycznej homogenicznej

społeczności górniczej Górnego Śląska, z nostalgią wspomina dawne świętowanie. I tę niezwykłą atmosferę. Spokój, radość i uszanowanie „drugiego”, „innego”, czy zwłaszcza „obcego”. Co odnajdujemy w Piśmie Świętym, czy choćby w wypowiedziach ks. Józefa Tischnera.

Teraz opowiadał mi, że ostanie śniadanie wielkanocne rozpoczęli z godzinnym opóźnieniem. Dlaczego? Bo czekali na wnuka. Kiedy podjechał do domu, zadzwonił Wszyscy podeszli do okna i zobaczyli jego nowy samochód. Kiedy weszli powiedzieli „Dzień dobry”. Gospodarze odpowiedzieli „Szczęść Boże”. Młodzi zapytali, jak się domownikom podoba ich nowe auto. W rękach mieli paczkę, w której pomieścili, jak tryumfalnie oświadczyli – sushi i bakławę. Żona gospodarza zapytała: „Co to takiego?”. Krótko jej wyjaśniono. A żona wnuka już kładła bez zgody gospodyni ich smakołyki na stole. A potem było już normalnie. Modlitwa i spożywanie świątecznych posiłków. Tylko nagle wnuk zaczął opowiadać o ostatnim zimowym pobyście z żoną i dwójką dzieci na Krecie. „A potem się już zaczęło” – wspomina mój rozmówca. Ojciec wnuka, chcąc przerwać jego wspomnienia powiedział, że dobrze się dzieje, że teraz ludzie mogą zwiedzać świat. Za komuny było to niemożliwe, bo on wtedy tylko jeździł dwa razy „pociągiem przyjaźni do Ruskich”. I to był pierwszy moment przełomowy.

Zaczęła się nagle dyskusja „o Ruskich”, a potem o wojnie i mordach na Ukrainie. W tym momencie wszyscy byli zgodni. Potępiali Rosjan, prawdziwie współczuli Ukraincom. Kobiety mówiły z przerażeniem o dramacie kobiet i dzieci. Mówiły nawet, że modlą się za Ukraińców. Ale potem ktoś wspomniął o Wołyniu. Bolał nad tym że prezydent Ukrainy będąc w Warszawie nie przeprosił za te zbrodnie. Zwłaszcza brat gospodarza, rocznik 1945, górnik i pasjonat polskiej historii,

kategorycznie stwierdził, że to źle wróży polsko-ukraińskim relacjom w przyszłości. Dowodził, że na Ukrainie nadal panują tendencje nacjonalistyczne. Wszyscy jednak zgodnie uznali Putina, że jest z „diabelskiego rodu”, jak Hitler. A potem ktoś nawiązał do oskarżeń przeciwko paieżowi. Czyli św. Janowi Pawłowi II. Wtedy przy stole zawrzało. Starsi dowodzili, że to ohydna prowokacja, że to kłamstwo. Pięć innych osób z trzynastu siedzących przy świątecznym stole, nie licząc dzieci, trwało przy stanowisku, że audycja przedstawiona w telewizji to prawda. Spłakana żona gospodarza, rodem z byłej Kongresówki, wedle rodziny już ześląszczona, „blank naszo” i – dodajmy – zachwycona tradycją śląską kategorycznie poprosiła o milczenie. Żona wnuka zaprosiła do spożywania sushi. Podała pałeczki i zaczęła uczyć zgromadzonych posługiwania się pałeczkami do sushi.

Ale już za chwilę znów do zgromadzonych wtargnęła polityka. Pojawił się temat 13 i 14 emerytury. Mój znajomy nie wytrzymał. Powiedział: „Czy my musimy godać yno o polityce? Za naszych czasów godało się o zmorach, utopcach, podciepach. Kożdy sie tych pieronow boł. Ale to było nic, bo najgorszo jest polityka. Bo ona włazi do naszych łbow. (...) A Pon Boczek doł nom rozum. Kaj go mamy?”. I odszedł od stołu. A to w tradycji polskiej i regionalnej jest zachowaniem nagannym. Dlaczego? Bo stół świąteczny powinien łączyć, wszystkich. Nie wolno od niego odchodzić. Obowiązują zachowania typowe dla sacrum, dla świątecznej wspólnoty. I to był moment szczególnie, swoiście finalny. Polityka przestała być obecna przy świątecznym stole. Pojawił się spokój, jakaś namiastka refleksji. I duch pojednania. W telewizji pojawił się film „Wojna domowa”. Filmową rodzinę nawiedził mężczyzna pytając czy mają suchy chleb dla konia... ■

Z piaskownicy

KRZYSZTOF ŁĘCKI

I
Zbliża się Dzień dziecka... Dziecka, czyli – kogo? Dopóki żyje chociaż jedno z naszych rodziców – wszyscy jesteśmy (przynajmniej dla nich) dziećmi. Ale być jak dziecko można na wiele sposobów. W latach 80. ubiegłego wieku opublikowano książkę zatytułowaną „Poeta jest jak dziecko”. Od tego czasu oczywiście wiele się zmieniło. Ktoś powie – prawie wszystko. Pewnie i tak. Ale zjawisko „bycia jak dziecko” raczej rozszerzyło swój zasięg. Dotyczy już nie tylko świata poezji. Weźmy choćby świat polityki. Otóż, okazało się na przykład, że to nie tylko poeta jest jak dziecko (tu nic się nie zmieniło), ale także polityk/polityczka bywa jak dziecko (niekiedy – jak zagubione dziecko we mgle). Dzieje się i w Polsce, i na świecie – weźmy chociażby zdrobnienia imion – Tony (Antek) Blair, Bill (Wiluś?) Clinton... Podobne przypadki zdrobnień imion w III Rzeczypospolitej dopiszcie sobie sami. Zdziecinnienie z całą pewnością dotyka też znaczną część tzw. „twardych elektoratów” partyjnych. By nie być gołosłownym zilustruję ten bezkompromisowy infantylnizm wyimkami z dwu ulubionych książek mojego dzieciństwa – z okazji dnia dziecka, rzecz jasna. Oczywiście, jako „gombrowiczolog”, mógłbym odwołać się do znanego z „Ferdynurka” pojedynku na miny. Idealista Syfon pojedynkuje się z chcącym się braać z parobkiem Miętusem. A rzecz cała dzieje się jednak w szkole. Nawiązania do współczesności zdają się aż nadto oczywiste, ale... Ale tamten pojedynek sparodiowali już na początku lat osiemdziesiątych Stefan Kisielewski, czyli Kisiel i Czesław Miłosz, kiedy ten ostatni odbierał nagrodę Nobla... Niech więc nowe zabrzmiały tony...

II
Pierwsza scena pochodzi z książki Ryszarda Liskowackiego „Wodzu, wyspa jest twoja”
– „Zbliżają się więc dwie armie do granicy. [...] Zaczyna się bardzo urozmaicony, subtelny żołnierski dialog:
– Mam w domu kolekcję papierowych pajacyków. Bardzo śmieszne postacie, ale gdzie im do tych śmiesznych typów, które mam przyjemność teraz oglądać. [...] Jak sądzisz, czy gdybym takiego Gąsiora pociągnął za sznurek, to machałby nogami? – woła Mikołaj
– Papierowe pajacyki w sam raz zabawa dla dużego niedorozwiniętego dziecka. Antek, czy widziałeś kiedyś taką gro-

madę niedorozwiniętych dzieci? Zobacz tylko jakie mają pocieszne, głupiutkie gęby – woła Józio Gąsior.

– Czworonożne pęta! Zdechłe szczury z obgryzionymi ogonami! Mrówkojady chorujące na padaczkę! Śmierzące piżmowce! – woła Jacek Słomka. [...]

– Złośliwe pawiany! Karłowate hipopotamy! Leśne świnię! Salamandry w sosie własnym! – woła Andrzej, chcąc udowodnić, że świat zwierząt także nie jest mu obcy. [...]

Ożywiona wymiana zdań trwa już kilkadziesiąt minut. Dyskutanci są wyraźnie zmęczeni. Okrzyki stają się coraz słabsze, coraz mniej w nich pasji i osobistego zaangażowania. Żołnierze wracają powoli do swoich kwater. [...]

– Daliśmy im tęgiego łupnia. Widzieliście jakie mieli speszone miny? – mówi wódz Bolesław do swych żołnierzy.

– Daliśmy im tęgiego łupnia. Widzieliście jakie mieli speszone miny? – mówi wódz Andrzej do swych żołnierzy

Żołnierze widzieli. I bardzo są z siebie dumni. [...] I jednej, i drugiej armii wydaje się, że nieprzyjaciel poniósł klęskę. Nie było więc w tej chwili [...] pokonań. Byli sami zwycięzcy”.

Rozejrzyj się wokół – czytelniku/czytelniczko. Co ci przypomina, co ci przypomina widok znajomy ten...?

III

Druga scena, którą chciałbym czytelników i czytelniczki zainteresować pochodzi z powieści niekwestionowanego klasyka literatury „dla dzieci i młodzieży”, Edmunda Niziurskiego (zob. też Krzysztof Łęcki: *Edmund Niziurski jako doświadczony czytelnik (przyszłego socjologa literatury)*, „Guliwer. Czasopismo o książce dla dziecka” nr 3/2019). Niemniej to, że Niziurski był nie tylko znakomitym pisarzem, ale także – jak się okazuje – myślicielem politycznym, to nie (tylko) moje odkrycie (zob. M. Hajdeckerkiewicz: *Edmund Niziurski – klasyk myśli politycznej III RP*, „Frona” nr 23/24).

Przyjrzyjmy się, jak w „Siódmym wtajemniczeniu” przedstawia Niziurski praktyczne rozumienie racji stanu.

„– Tchórze! – zasapałem – po prostu chodziło wam o skórę!

– No... niezupełnie... Kwiczół jak zwykle uprościł zagadnienie... to znaczy jak każdy kiepski filozof sprowadził do jednego czynnika, w tym przypadku do skóry. W rzeczywistości to kwestia taktyki – wyjaśnił nadymając się.

– Taktyki?

– Postąpiliśmy zgodnie z racją stanu.

– To znaczy nic nie zrobiliście? – zapytałem szydyczko.

– No właśnie. Nic nie zrobiliśmy – odparł spokojnie Piter. – Masz poważne braki w wykszoleniu politycznym, bracie. Widzisz, nie jesteśmy tu na wycieczce i nie działamy jako prywatni ludzie, ale jako funkcjonariusze związku.

– Więc skoro występujecie jako funkcjonariusze związku, to wolno wam kłamać i tchórzyć, i milczeć i pozwalać na zło, i patrzeć obojętnie, choćby się zarzynali?

– Mięczak jesteś i nie rozumiesz najprostszyc rzeczy – uśmiechnął się pobłaźliwie Czarny Piter. – Jesteśmy członkami Związku Matusów i dobro Związku Matusów jest naszym najwyższym prawem. Otóż to właśnie dobro wymagało, żebyśmy w tym przypadku zachowali pełną neutralność i nie wtrącali się do tej niewątpliwie przykrej i pożałowania godnej sceny.

– Wszystko dla Związku! – rzucił jak hasło Kwiczół i spojrział gdzieś wysoko ponad moją głowę – taka jest moja doktryna.

– A co poza Związkiem – jest mniej ważne.

– Bardzo mało ważne.

– Prawie zupełnie nieważne.

– Nieważne i raczej niedobre.

– Powiedzmy otwarcie: złe! Nie może być dobre skoro nie pomaga Związkowi. [...]

– Wszyscy, którzy nie są z nami, muszą ustąpić!

– I przegrać!

– A jak się będą stawiać, podepczemy ich!

– Zmiażdżymy!

– Musisz to sobie wbić do głowy”

Przyznaję, że trudno byłoby mi uwierzyć, że ktokolwiek może nie rozpoznać w podanym przez Niziurskiego stylu argumentacji bardzo współczesnej partyjnej retoryki.

To zresztą nie jedyny pomysł autora „Siódmego wtajemniczenia”, który posłużył dzisiejszym politycznym publicystom za model tłumaczący meandry współczesnej polityki (zob. np. Jarema Piekutowski: *Wielka Kołomyja Elementarna*, <http://labo-old.wiez.pl/blog.php?bl&podrozdopunktumagnetycznego&741>)

IV

No cóż politycy są (a przynajmniej – bywają) jak dzieci, a wsłuchujący się w nich nabożnie wyborcy są widać z tej samej piaskownicy. No, z czego się śmiejecie... (Mikołaj Gogol).

Unik rotacyjny

RYSZARD JASNORZEWSKI

Nieoczywistym bohaterem utworu o żywo nie utytułowanego mistrza prawej i lewej pięści jest w praktyce samo pisanie sportowe. Janusz S. Stabno ofiarował książkę drugorzędną, niechlujną i wolną od lęku zarówno przed łamaniem norm języka polskiego, jak i reguł redagowania produktu wydawniczego. Intryguje nie Marian Kasprzyk, o przydomku „Polski Papp”, konkretny, przy tym wybitny sportowiec, konkretna osoba, lecz strategia wyboru słów i układania ich w większe całości, nazywane zdaniami.

Podejrzewam, że niby-autorów sportowych, startujących w różnych gatunkach, którzy karmi się dobrym, dzielnym samopoczuciem, jest spory zastęp lub wręcz cała kasta. Nie ma (i chyba nie będzie) sposobu, aby komukolwiek zabronić wyobrażania sobie, że został autorem biografii. Mimo dokładnej lektury książkowego incydentu o pięściarzu, mimo szczerych i najlepszych chęci, nie pojąłem ani czym jest „unik rotacyjny”, ani dlaczego w pewnych sytuacjach należy „włączyć wsteczny bieg i skupić się przede wszystkim na uszczelnieniu defensywy”. Mam ponadto wątpliwości, czy jeden z przeciwników Kasprzyka rzeczywiście przegrał tylko dlatego, że „nie potrafił okiełznać swojego respektu dla mistrza olimpijskiego”. Za barokową figurę pozwolę sobie uznać porównanie stylu walki do „zabawy z odbezpieczonym granatem, bo niebezpieczeństwo eksplozji przez cały czas walki wisiało nad ringiem”. Najmniej krzywdy czynią bokserom pojedynki rozstrzygane na punkty, tyle że ze sprawiedliwością bywa różnie. Stabno wykazuje w tym temacie daleko idącą wyrozumiałość: „(...) sędzia to też tylko człowiek i może mieć swoje zdanie, od którego czasem nie potrafi się uwolnić”.

Dziełko biograficzne budzi tym większe rozczarowanie, że przygody Mariana Kasprzyka są zarówno przyczynkiem do historii „polskiej szkoły” boks, jak i świadectwem funkcjonowania modelu sportu czasów bezpowrotne (i słusznie) minionych. Stabno wyczerpująco (w topornej polszczyźnie) omówił karierę zawodniczą (i późniejsze losy) boksera, ale starając się naszkicować tło społeczne zgromadził wyłącznie klisze i stereotypy. Ma się wrażenie, że i rozmowy z Kasprzykiem toczyły się pod dyktando stereotypu – tak przynajmniej wynika z wtęrotów w mowie zależnej lub pozornej zależnej. Skądinąd jeszcze banalnie wypadły laurki bokserów, którzy wypowiedzieli się o Kasprzyku („uczciwy, przyjazny dla ludzi i otwarty”, „zawsze miał dla ludzi dużo sympatii i ciepła” – i tak dalej).

W latach kariery Mariana Kasprzyka polskie pięści ustępowały w Europie i na świecie

jedynie pięściom radzieckim. Nie wiemy, czy do boksu i innych sportów walki odnosiła się sformułowana przez psychologa prof. Puni z Leningradu reguła, w myśl której „im bardziej sportowiec jest rozwinięty intelektualnie, tym lepiej, tym skuteczniej panuje nad sobą”. Z panowaniem nad sobą Kasprzyk miał wyraźne problemy. Wyróżniała go nie tylko bokerska wirtuozeria, lecz również skłonności do używania pięści w celach pozasportowych. Ukoronowaniem umiejętności prezentowanych w regulaminowych pojedynkach z przeciwnikami były dwa medale olimpijskie. Ceną za inicjowanie walk poza ringiem okazały się dyskwalifikacje, problemy z prawem i więzienna odsiadka. Tyle że dotkliwa kara miała drugie dno – oczywiście jeżeli kary drugie dno miewają. W ocenie Stabno: „chciano (...) ostudzić negatywne nastroje społeczne skierowane przeciwko innym sportowcom mającym na swoim sumieniu mniejsze bądź większe grzeszki”.

Dobre uczynki rzadko bywają jednak kanwą ciekawych opowieści. Z tego powodu pozasportowe i sportowe przygody Kasprzyka zainspirowały Juliana Dziedzinę do nakręcenia filmu *Bokser*. Węzłowym motywem jest rywalizacja między dwoma bokserami o nominację do drużyny olimpijskiej. O pierwszeństwo walczył mocno przezołgany przez życie Tolek Szczepaniak (w tej roli Daniel Olbrychski) oraz zrównoważony i starszy Jarek Wąlczak (grany przez Leszka Drogosza). Nie ma wątpliwości, że Tolek to Kasprzyk, który w rzeczywistości, a nie filmowej fabule, wygrał rywalizację z... Drogoszem. I w kinie, i w życiu wszystko skończyło się dobrym, najlepszym, bo zwycięskim finałem. Na domiar, zwycięskim mimo walki ze złamanym w pierwszej rundzie kciukiem. W emfaticznej ocenie Stabno wygranie igrzysk w Tokio: „To było istne katharsis, w którym wszystkie wcześniejsze i okryte cieniem zawirowania sportowych losów Mariana Kasprzyka odchodziły w niepamięć”. Uzupełnijmy, że wiktorii olimpijskiej nie udało się powtórzyć cztery lata później – w 1968 roku – w Meksyku.

Nigdy nie było dane Kasprzykowi zostać mistrzem Polski. Najbliżej był w 1970 roku, lecz przegrał przez wątpliwą dyskwalifikację. W zdarzeniu Stabno dostrzegł już nie katharsis, lecz pospolite fatum: „Złośliwy pech (...) miał powody do swojej paskudnej satysfakcji”. W następnych kilku latach mistrz z Tokio nadal (z różnym efektem) stawał na ringu, lecz na peryferiach spektakularnego wyczynu i chyba bardziej dla pieniędzy (a dokładnie dla kopalnianego etatu), aniżeli chwały. Zdarzyło mu się nawet przegrać przez nokaut, tym sa-



mym: „mógł kontemplować osobiste doznania po otrzymaniu decydującego ciosu”. Owe doznania uznać należy za istotne, bowiem zazwyczaj to raczej „mocarne pięści” Kasprzyka odsyłały przeciwników „pod opiekę sekundantów” lub nawet bezpośrednio do „krainy marzeń”.

Po zakończeniu kariery, Kasprzyk czas jakiś pracował jako szkoleniowiec, aż wreszcie – cytując Stabnę – „na przysłowiowym ringu opadł już kurz”. Gdy tego kurzu było już całkiem sporo, bokser doznał duchowej, religijnej przemiany. Symbolicznym gestem stało się ofiarowanie złotego medalu z Tokio jako wotum Matce Boskiej. Skarbiec na Jasnej Górze wzbogaciła nagroda za bolesne ciosy w szczękę i wątrobę, ale niewątpliwie zadane w sportowej atmosferze i w szczytnym celu.

Niekoniecznie musimy dzielić z twórcą (wytwórcą) książki przekonanie, że od Kasprzyka „mamy szansę uczyć się (...), jak zwyciężać swoje życie”. Komu za wiele prowincjonalnej dydaktyki, może zapoznać się z materiałem ikonograficznym. Zamieszczono dużo zdjęć z bokerskiej epoki. Można oglądać także fotografie zdobytych przez „Polskiego Pappa” trofeów. Ta kolekcja – asekuje się Stabno – „nie ma (...) monstrualnych rozmiarów, ale za to naszpikowana jest insygniami najwyższej rangi”. Czym naszpikowano grafomanię? ■

Janusz S. Stabno: *Każdy ma swoją drogę do gwiazd, czyli... Rzec o Marianie Kasprzyku*. Wydanie 2 uzupełnione. Wydawnictwo My Wojownicy, Wrocław 2022, s. 273.

Czego Morcinek szukał w mieście gwarków?

RYSZARD BEDNARCZYK

Do Feliksa Piestraka, dyrektora Górnośląskiej Szkoły Górniczej w Tarnowskich Górach dotarła w 1933 roku nietypowa karta pocztowa. Listonosz przyniósł przesyłkę wprost do gabinetu dyrektorskiego. Czym tak bardzo odbiegała od normy zwykła pocztówka? Na czołowej stronie zamiast widoku miejskich ulic czy zabytków lub krajobrazu górskiego albo nadmorskiego znajdowało się zdjęcie pisarza Gustawa Morcinka z autografem. Na odwrocie oprócz adresu zamieszczony był odręczny nabazgrany jak kura pazurem wpis prozaika. Morcinek dziękował dyrektorowi za pamięć i przysłanie mu tekstu o gwarkach tarnogórskich. Obiecywał odwzajemnienie się i przesłał wyrazy szacunku i powodzenia. Pod autografem pisarz zamieścił datę 11 maja 1933 roku.

Był to okres, w którym urodzony w 1891 roku w Karwinie prozaik, mający za sobą kilkunastoletnią pracę w kopalni, opublikował już opowiadania i powieści o trudzie górników. Po opublikowaniu w latach 1928-1933 książek „Byli dwaj bracia”, „Serce za tamą”, „Wyrąbany chodnik”, „Narodziny serca”, „Łysek z pokładu Idy” uznany został za najwybitniejszego polskojęzycznego pisarza śląskiego. Nie było więc zaskakującego w nawiązaniu z pięćdziesięcioletniego znoju korespondencyjnego kontaktu przez dyrektora najstarszej na Śląsku szkoły górniczej, kształcącej fachowców do pruskiej kopalni rud żelaznych „Fryderyk” od 1803 roku. Feliks Piestrak w chwili korespondencji z Gustawem Morcinkiem toczył ciężkie boje o połączenie polskiej od 1924 roku szkoły z placówkami w Wieliczce i Dąbrowie Górniczej. Starania spełzyły na niczym i w czerwcu 1933 roku ostatni absolwenci opuścili mury tarnogórskiej sztygarki.

Jednak kontakty pisarza i dyrektora spowodowane były także podjętymi wtedy próbami udostępnienia turystom tarnogórskich sztolni i podziemnych korytarzy i stworzenia kopalni zabytkowej na wzór tej w Wieliczce. W międzywojniu nie zawiązała się bliższa współpraca prozaika z miłośnikami sztolni. Od 1935 roku do wybuchu wojny Gustaw Morcinek przebywał za granicami Polski. Do ściślejszej współpracy doszło dopiero w Polsce Ludowej.

Pisarz po kilkuletnim okupacyjnym pobycie w obozach koncentracyjnych Dachau i Sachsenhausen nie był już tym samym człowiekiem. Zastraszony, schorowany łatwo uległ władzy komunistów, którzy po 1945 roku przejęli rządzą w Polsce.

Bez większego oporu godził się na zmiany dokonywane w jego prozie, dostosowanej do wymogów doktryny socrealizmu. Państwowi mecenas kultury nadali jego twórczości proletariackiego charakteru, a autora ukształtowali na wzór inżyniera dusz ludzkich. Został posłem Stronnictwa Demokratycznego na Sejm w latach 1952-1956. Pełnił sporo innych funkcji w Związku Literatów Polskich i Froncie Jedności Narodowej, pozostając jednak prozaikiem wiernym górniczemu społeczeństwu Górnego Śląska.

Kiedy na łamach „Dziennika Zachodniego” w 1952 roku ukazały się fragmenty jego pisanej ponad dwadzieścia lat powieści „Ondraszek” tarnogórzanie ponownie nawiązali kontakt z pisarzem. Bezpośrednią przyczyną zainteresowania utworem były zamieszczone w tej prozie wątki tarnogórskie. Już w pierwszych rozdziałach wójt Szebesta, ojciec trzyletniego Ondraszka, sławnego zbójnika z ziemi cieszyńskiej, przyjechał do Tarnowskich Gór powitać króla Jana III Sobieskiego maszerującego z husarią na odsiecz Wiednia. Jest kilka zdań w tej prozie namaszczenia Ondraszka przez króla na polskiego rozbójnickiego hetmana: „dojrzały jego siwe oczy małego synka o czarnej czuprynie i śmiałym spojrzeniu. Zatrzymuje się król, patrzy w chłopięce oczy, potem oddaje przybocznemu rycerzowi buławę, oddaje Symbolium apostolium, schyla się, podnosi Ondraszka w ramionach, wysoko, patrzy mu wciąż w oczy, teraz coś mówi do niego i całuje w czoło”. Kolejnym wątkiem jest ukrywanie się Moronia z ondraszkowej gromady przed obławami w tarnogórskich podziemiach.

Tym, którego poruszyła powieść Gustawa Morcinka, był Władysław Rowiński, rajca Miejskiej Rady Narodowej w Tarnowskich Górach. W wysłanym do pisarza 16 czerwca 1952 roku piśmianem na maszynie liście radny zachwycał się twórczością prozaika. Jak na owe czasy przystało, dużo w pochwałach działacza było agitatorskich frazesów i sloganów o wyzwisku człowieka pracy przez grafów, właścicieli ziemskich i kapitalistów. Sednem była jednak troska o właściwe opisanie pracy

gwarków w pierwotnych warunkach, zmaganie z żywiołem podziemi i wody. Dlatego Rowiński przesłał Morcinkowi publikację o tarnogórskim górnictwie Józefa Piernikarczyka i zaprosił twórcę do odwiedzin miejscowych podziemi kopalni rud ołowiu i srebra oraz sztolni. Obiecał także udostępnić ustne opowieści górnicze do wykorzystania w pisarstwie.

Gustaw Morcinek nie zlekceważył zaproszenia i 9 lipca 1952 roku odpisał na zwykłej karcie pocztowej ze znaczkiem z podobizną Bolesława Bieruta. Zapropował radnemu spotkanie w Tarnowskich Górach 14 lipca 1952 roku, gdy przyjedzie jako prelegent na zebranie w sprawie Pokoju z ramienia Komitetu Obrońców Pokoju do miejscowej Szkoły Przystosowania Zawodowego nr 2. Po spotkaniu z uczniami, podczas którego pisarz opowiadał o przyczynach szorstkości górników oraz ich zwyczajach, spotkał się z Władysławem Rowińskim i sztygarem Alfonsem Kopia, który nosił się z zamiarem założenia stowarzyszenia pracującego nad udostępnieniem wyrobisk kopalnianych do zwiedzania. Prozaik spędził nawet, poczęstowany krupniokiem, noc w mieszkaniu sztygara w zrujnowanym budynku winiarni Sedlaczka przy Rynku. Pokłosem tej wizyty była „Legenda o tarnogórskim dzwonie” opisująca romans Zeflika, syna Ondraszka, ze Stazyjką, dziewczką służebną z miasta gwarków. To kolejna opowieść Morcinka łącząca legendy cieszyńskie i tarnogórskie. Zwieńczeniem znajomości z prozaikiem był jego wieczór autorski 20 stycznia 1955 roku w ramach cyklu spotkań „Czwartki Tarnogórskie” organizowanego przez powstałe w 1953 roku Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej. ■



Gustaw Morcinek w Tarnowskich Górach, 1952 r.

fol. arch.

Jednym z 15 rozszaniach po całym świecie (w Europie, Azji i w Ameryce Północnej) miast partnerskich Bielska-Białej jest ukraiński Berdiańsk – port o strategicznym znaczeniu i popularne uzdrowisko nad Morzem Azowskim. W przeszłości był turystyczną i rekreacyjno-leczniczą perłą Ukrainy. Od 15 miesięcy miasto doświadcza jednak okropieństw wojennej okupacji przez armię rosyjską. Jego położenie było od dawna przyczyną zaciętych sporów ukraińsko-rosyjskich. Warto bowiem uświadomić sobie, że Morze Azowskie jest tak naprawdę częścią składową Morza Czarnego, oddzieloną od niego tylko wąską i dość płytką Cieśniną Kerczeńską. Wyodrębniony w ten sposób akwen morski należy geograficznie do dwóch państw.

Geografia i polityka

W wydany w 2002 roku ilustrowanym albumie „Najpiękniejsze miejsca w Europie” znalazła się wymowna mapka z przebiegiem ukraińsko-rosyjskiej granicy na Morzu Azowskim. Tylko jego wschodni fragment (ok. 35% całego akwenu zajmującego łączną powierzchnię blisko 38 tysięcy km²) znajduje się w granicach Rosji. Pozostały obszar stanowi integralną część państwa ukraińskiego.

Ukraińsko-rosyjska granica państwowa została wytyczona formalnie przed 32 lata po rozpadzie Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich. Traktat o tzw. demarkacji wspólnej granicy między Rosją a niepodległą Ukrainą zawarto 17 maja 2010 roku. Podpisany pod dokumentem złożyli ministrowie spraw zagranicznych obu państw.

Lecznicze kąpiele błotne

Położony w obwodzie zaporoskim Berdiańsk – uznawany za jedno z najbardziej atrakcyjnych uzdrowisk ukraińskich – słynął od niepamiętnych czasów z leczniczych kąpiei błotnych. Zalecano je kuracjom obciążonym schorzeniami układu ruchu, zaburzeniami metabolicznymi i hormonalnymi, a także chorobami obwodowego układu nerwowego. Liczący ok. 110 tysięcy mieszkańców kurort cieszył się dużą popularnością wśród turystów. W sezonie pojawiało się dodatkowo w Berdiańsku blisko dwa miliony przybyszów zainteresowanych walorami Morza Azowskiego i jego atrakcyjnych plaż.

Dwa wieki historii

Dzieje samego miasta liczą sobie niespełna 200 lat. Utworzono je w 1827 roku, ale pod inną nazwą. Prawa miejskie otrzymało – według brytyjskich źródeł historycznych – w połowie lat trzydziestych XIX stulecia. Pod obecną nazwą istnieje dopiero od 1842 roku. Potem jednak znów zmieniał dora-

Perła splamiona krwią

ZBIGNIEW LUBOWSKI

nie – od czasu do czasu – swoje imię. W roku 1958 przybrało np. tymczasową nazwę Ossipienko.

Berdiańsk był jednak przede wszystkim portem morskim – jednym z kilku ukraińskich „okien na świat”, obok Odessy nad Morzem Czarnym, Sewastopola i Kerczu na Krymie oraz Mariupola nad Morzem Azowskim. Obecnie zmieniło się to jednak radykalnie z powodu barbarzyńskiej wojny, wszczętej przez Rosję pod koniec lutego w ubiegłym roku.

19-kilometrowy most nad cieśniną

Po aneksji Krymu w 2014 roku Rosja stanęła przed strategicznym problemem: jak połączyć odebrany Ukrainie półwysep z resztą kraju?

Ko-munikacyjne zespolenie Krymu z Rosją było dla Władimira Putina jednym z istotnych wyzwań politycznych, wzmacniających tendencje separatystyczne w tzw. Donbasie (konsekwencje samowolnego utworzenia Donieckiej i Ługańskiej Republiki Ludowej). Rosyjski dyktator postanowił zbudować potężny 19-kilometrowy most nad Cieśniną Kerczeńską.

Nie był to pierwszy tego rodzaju pomysł w dziejach, bo podobny obiekt powstał już w okresie II wojny świa-

towej. Uległ on jednak całkowitemu zniszczeniu w 1945 roku z powodu naporu kry lodowej i łodzi uderzających o filary mostu podczas sztormowej pogody.

Tym razem użyto nowoczesnych metod budowlano-konstrukcyjnych. Zaangażowano 10 tysięcy robotników, którzy przez dwa lata wznosili gigantyczny most drogowy, wsparty na licznych podporach. Zaprojektowano obiekt ze 185-metrowym prześwietem, umożliwiającym przepuszczanie nawet największych jednostek pływających. Inwestycja została oddana do użytku przed pięcioma laty. W 2019 roku otwarto natomiast równoległy most kolejowy. Realizacja kolosalnego przedsięwzięcia pochłonięła spore fundusze. Budowa kosztowała – jak się szacuje – ponad 8 miliardów dolarów.

Jeszcze przed wybuchem obecnej wojny rosyjsko-ukraińskiej wyszło na jaw, jakiemu celowi służyło właściwie wzniesienie mostu. Okazało się, że Putinowi przyświecała idea zupełnego udaremnienia ruchu ukraińskich statków z Berdiańska czy Mariupola, płynących m.in. do portów w Bułgarii, Rumunii czy Turcji, a więc państw położonych nad Morzem Czarnym.

W potężnym prześwicie pod strategicznym – z wojskowego punktu widzenia – mostem łączącym Krym z Rosją ustawały się wielkie statki rosyjskie, które skutecznie blokowały ruch morski wszelkich jednostek ukraińskich. W takich warunkach handel morski oraz żegluga pasażerska zostały kompletnie sparaliżowane. Dyktator dramatycznie skomplikował życie marynarzom z Berdiańska.

Życie w czasach wojny

Ostatni dzień lutego w 2022 roku stał się pierwszym dniem rosyjskiej okupacji miasta. Od tamtego czasu Berdiańsk mocno opustoszał, a jego dramatyczne losy mogą wręcz uchodzić za symbol ponurych dziejów ziem leżących na ukraińsko-rosyjskim pograniczu. W mieście pozostało już niewiele rodowitych mieszkańców o ukraińskim pochodzeniu etnicznym. Wielu z nich wyjechało z Berdiańska.





*Zamieszczone na tej stronie zdjęcia pochodzą z albumu „Berdiańsk – serce Azowa”,
wydanego przez władze miejskie w roku 2014*



*Осінь в барвистій шалі,
Як молода циганка,
З радості шчэ печалі
З вітром танцюе зражкы.
Любов Проконьчын*



Natalia Łovkina i Antonina Mishchenko przed drzwiami bielskiej kawiarenki

W gronie uchodźców znalazły się m.in. **Natalia Łovkina** i **Antonina Mishchenko**. Pracują dziś w bielskiej kawiarence o sympatycznej nazwie „Dobrego Dnia”. Polsko-ukraińska placówka przy ul. Mickiewicza pełni zarazem rolę biblioteki z nie małą pulą książek polskich i ukraińskich. Lokal został otwarty 11 lutego. Jest prowadzony przez Towarzystwo Przyjaciół Bielska-Białej i Podbeskidzia. Ukrainki z Berdiańska są gospodyniami w kawiarence. Podają klientom pyszną kawę, pieką ciasta i gotują rozmaite potrawy. Każdy z zainteresowanych może wstąpić do tego kameralnego lokalu ze stolikami na 30 miejsc. Panuje przytulna atmosfera, a spokojny bywalców kawiarenki nie zakłócają – na szczęście – odgłosy syren alarmowych.

Płacz wnuczka...

Z obiema Ukrainkami spotkałem się w bielskiej kafejce w sobotnie przedpołudnie wiosenne. Bez większych barier językowych udało mi się porozmawiać z nimi o trudnych i bolesnych sprawach. Nie ukrywały swojego przygnębienia z powodu rosyjskiej napaści na ich kraj.

– Czy nie mieliście kłopotów z dotarciem do Bielska-Białej z miasta okupowanego przez Rosjan?

Natalia: Nie było to łatwe. Na trasie przejazdu samochodem naliczyłam aż 17 posterunków kontrolnych. Były one dość gęsto rozlokowane. Rosyjscy żołnierze sprawdzali wszystko, co było w samochodzie. Szczególnie ich interesowała zawartość telefonów komórkowych. Przepuszczali tylko pojazdy z pasażerami mówiącymi po rosyjsku. Jeśli usłyszeli język ukraiński, to reagowali bardzo agresywnie. Poczułam ogromną ulgę, gdy już znalazłam się na terytorium Ukrainy, poza strefą okupowaną przez Rosjan. Tam wsiadłam do specjalnego autobusu, który zawiózł mnie wraz z moimi dziećmi do Bielska-Białej. Podróż została zorganizowana przez wolontariuszy z Polski. Nad logistyczną stroną przedsięwzięcia czuwała organizacja Human Doc w Warszawie. Już na terenie Polski włączyła się do akcji pani Grażyna Staniszevska, która na co dzień kieruje działalnością Towarzystwa Przyjaciół Bielska-Białej i Podbeskidzia. Dzięki temu znalazłam się u podnóża Beskidów.

Antonina: Najtrudniej było zdobyć benzynę do samochodu. Potem w trakcie jazdy przez strefę okupowaną miałam sporo obaw. Nie wiedziałam, co może się wydarzyć. Towarzyszyły mi moje dzieci. Udało się nam jednak dotrzeć bez większych kłopotów na teren kontrolowany przez wojska ukraińskie.

Chciałam docelowo znaleźć się w Bielsku, bo przed czterema laty wypoczywałam tu na wakacjach. Spodobało mi się to miasto. Moje plany się spełniły. Pracuję teraz w Bielsku, a mieszkam w Jaworzu, turystycznej wsi w powiecie bielskim. Zawdzięczam to również Grażynie Staniszevskiej.

– Gdzie pracowaliście przed wybuchem wojny, która trwa już 15 miesięcy?

Antonina: Jestem z wykształcenia psychologiem dziecięcym, absolwentką berdiańskiego uniwersytetu. Pracowałam w przedszkolu, a potem w szkole, w której byłam zastępcą dyrektora. W ostatnim czasie zajęłam się jednak biznesem, prowadziłam sklep spożywczy.

Natalia: Ja też ukończyłam studia w berdiańskim uniwersytecie. Jestem ekonomistką z wykształcenia (marketing i zarządzanie). Przez długi czas pracowałam na stacji benzynowej Shell (personel placówki). Potem jednak zmieniłam pracę. Prowadziłam sklep odzieżowy.

– Jak toczyło się życie w Berdiańsku w przeszłości?

Natalia: Nadmorskie miasto było renomowanym kurortem wypoczynkowym. Przed rokiem 2014 przyjeżdżało tam w okresie wakacyjnym wielu turystów z Rosji, w tym nawet z Moskwy. Sporo było też Turków, Hiszpanów, Francuzów. W lecie temperatury dochodziły do 40 stopni Celsjusza. Morze Azowskie z krystalicznie czystą wodą i piaszczystymi plażami przyciągało niemało chętnych złaknionych wypoczynku na łonie natury. Sezon kąpielowy trwał od maja do października.

Antonina: Berdiańsk był powszechnie uważany za serce Azowa. W mieście organizowano liczne koncerty i festiwale. Atutem uzdrowiska były obiekty sanatoryjne z wannami do kąpieli błotnych. Kilkadziesiąt hoteli dla turystów. Kurort miał zasłużoną markę. Służby porządkowe dbały skrupulatnie o czystość plaż i całego miasta.

– Który z prezydentów Ukrainy zapisał się najlepiej w waszej pamięci?

Antonina: Nie ma najmniejszych wątpliwości, że Wołodymyr Zelenski jest najlepszym ze wszystkich dotychczasowych prezydentów Ukrainy. Za jego kadencji pojawiła się wreszcie realna nadzieja na poprawę naszego bytu. Uważam, że powinien on rządzić w państwie przez kolejną kadencję.

– Czy pamiętacie jeszcze swoje pierwsze reakcje na wieść o wybuchu wojny?

Natalia: Dla mnie to był absolutny szok. Nie mogłam w ogóle uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Antonina: 24 lutego 2022 roku przypadły akurat trzecie urodziny mojego wnuczka. Spodziewałam się licznych gości, miała być w domu uroczysta impreza. Ostatecznie nikt nie przyjechał. Panowała rozpacz.

– Czy wojenne realia odcisnęły silnie swoje piętno na realiach życia w mieście?

Natalia: Nie dało się na dłuższą metę egzystować w takich warunkach. Wyły syreny alarmowe, a bomby spadały na lotnisko w Berdiańsku. Płacz, krzyki rozlegały się na każdym kroku. Brakowało wody, nie było światła i gazu. Z powodu braku ogrzewania spaliśmy nocami w kurtkach i w butach. Żywność w sklepach była racjonowana. Odczuwało się niedobory podstawowych artykułów spożywczych. Gdyby nie moja mama mieszkająca na wsi (17 km od Berdiańska), to nie miałabym w ogóle ziemniaków i marchewki. To jeszcze nie wszystko – w aptekach nie można było kupić insuliny dla cukrzyków.

Antonina: Rosjanie utworzyli szpital polowy w jednym z atrakcyjnych obiektów, służących przedtem celom kulturalnym. Berdiańscy partyzanci zniszczyli ten obiekt. Rosyjscy żołnierze są wrogami dla Ukraińców. Zamordowali wielu naszych rodaków, niekiedy w wyjątkowo bestialski sposób.

– Kiedy opuściliście Berdiańsk?

Natalia, Antonina: W kwietniu zeszłego roku, w drugim miesiącu wojny. Naszym największym marzeniem jest doczekać pokoju w Ukrainie. Chcemy, żeby wojna jak najszybciej się skończyła. ■



Natalia i Antonina ukończyły studia na berdiańskim uniwersytecie. Siedziba uczelni na zdjęciu z albumu „Berdiańsk – serce Azowa”

Lęk jako gatunek literacki (II)

PIOTR ZACZKOWSKI

W perspektywie dzień, w którym będę mógł w końcu pisać.

Roland Barthes (*Dziennik żałobny*)

73 Zatem notatka w dzienniku pomaga wyprowadzić się z depresji, zrezygnować z fałszywej i przekupnej wolności. Wreszcie nadejdzie dzień, gdy obietnica śmierci będzie sobą. Na nowo spełni się i wypełni w życiu, będzie to czyniła tak długo, aż cofnie dane nam słowo.

74 Preparując osobiste zapiski do druku i dla publiczności pomija się całą fizyczną, niemal fizjologiczną stronę pisania – opowiada się o niezgodzie na życie jako akcie męki wyłącznie intelektualnej urody.

75 Czytelnicy podejrzewają, że wstrzeźmieliwie reaguje na przygodę życia i wyciąga jedynie słuszne, bo lapidarne wnioski z przymusowej obecności w świecie. Nie wiedzą, że tysiące słów – przypadkowych, banalnych, bezmyślnych – trafiło do kosza. Ból nigdy nie chce przystać, że w praktyce jest słowotokiem, emocją uwikłaną w grafomanię, uczuciem przegranym i przegadaniem.

76 Na pierwszej stronie zeszytu do rachunków życiowych napisał: śmierć. Słowo śmierć pozostało wierne i bierne – jak słowo wojna wypowiedziane do ostatniego naboju.

77 Z idealnego punktu widzenia, pisanie powinno mieć ten sam cel, co samobójstwo. Ale w pisaniu żal do życia jest znacznie bardziej przemyślany i ma charakter odnawialny.

78 Znużone dedykacje w tomikach zapomnianych poetów.

79 „Dochodzę do siebie” jest zdaniem streszczającym potrzebę powrotu do siebie, do kogoś, kim się było. „Spotykać się ze sobą” to formuła bardziej zwodnicza, nęcąca pojednaniem z podwójnością, dwuznacznością, rozdwojeniem i rozszczepieniem, a nawet gotowa wieszczyć wymianę spojrzeń, nie możliwą w ciemności.

80 Nieludzkie są dwa słowa: szczęście i cierpienie. Obydwa uspokajają – jak początek i kres pacierza.

81 Czyni ze skłonności do lęku we wnętrzną, wielowątkową, ni to gorącą, ni to zimną dysputę. Tego rodzaju dysputa

podtrzymuje wolę nie tyle życia, ile bólu, którego musi wystarczyć do końca życia.

82 W więzieniu depresji wszystko jest przewidywalne, pozbawione niespodziewanych zwrotów akcji, nadmiernej nadziei i zbytecznych rozczarowań. Do pogodzenia z losem nie trzeba jakiejś szczególnej odwagi. Przynajmniej do dnia egzekucji.

83 Gdyby na biurku nagle wyrosła brzoza lub chociaż zakwitło trochę prawdziwej trawy, byłby w mocy dać temu wyraz, ale rośnie wyłącznie znużenie – w słowach i oczach.

84 Jedyna książka, którą potrafiłby domyśleć, otworzyć, rozwinąć i zakończyć, opowiedziałaby o autorze, który boi się pisania, lecz namawiany przez terapeutę, rodzinę i przyjaciół, a nawet przełożonych w urzędzie, nurkuje w głąb siebie, aby wydobyć na powierzchnię świetnie zachowaną fabułę o lęku.

85 Cierpliwie – godzinę, dwie, niekiedy całą noc – negocjował z nią ustępstwa. Potem depresja szła gdzie indziej, bawiła rozmową kogoś innego. Do użytku wewnętrznego pozostawiała dwieście lub trzysta znaków ze spacjami.

86 Zdawał sobie sprawę, że nawyk pisania jest największą przeszkodą do zadowolenia się w świecie. Ale zapłacił za to z dala od literatury, a więc niepotrzebnie.

87 Nie pcha żadnego głazu pod beznadziejną górę. Wędruje z małym kamyczkiem w bucie. Dodatkowo uwiera go myśl, że zasłużył na wygodniejszy trakt, łagodniejsze, lepsze traktowanie. Siada na skraju, droga wierci się i niecierpliw, chciałaby pójść dalej i dalej. Zamyka oczy, droga, widziana już tylko przez świat, wyraźnie się uspokaja.

88 *Nieudolność dotkliwie zraniona i przestraszona, ale precyzyjnie przemyślana, poprawiona i odpowiednio zredagowana, ma pewną wartość rynkową.*

89 Układanie zdań to pozbawiona akcentów litości, codzienna fizyczna praca – jakby w klatce hodowano kamień.

90 Ma szereg doświadczeń w beznadziejnym oczekiwaniu na siebie, ale nic po nich, bo każda przyгода jest niepowtarzalna, więc za każdym razem zmienia kostium i oszukuje inaczej.

91 Nie porzucił nadziei, że przeznaczenie wyśle opiekuna, który będzie odbierał telefony i wiadomości, wyręczał w sprawunkach lub opłatach, zarezerwuje pociąg, hotel bądź miejsce w czasopiśmie na kolejny fragment dziennika. Zaparzy herbatę, podleje kwiaty, zetrze kurze, siądzie na twardym krześle – otworzy pustą zeszyt.

92 W pewnych okolicznościach pęknięte lustro zastępuje drzwi. Przegląda się w nich lęk nie do przekroczenia.

93 Często pisarz specjalizuje się w archeologii wewnętrznej. To niebezpieczne zajęcie. Nadejdą dni, gdy będzie zapadać się po szyję w piachu – a niekiedy w gównie.

94 Śmierć nudzi Pana Boga, zwierza się zaufanym aniołom, że ma ją za krzykliwą, ale w gruncie rzeczy nieszkodliwą herezję.

95 Wszystkie rozdziały życia były bardzo rzeczowe i właściwie materialne. Z jakiej materii wykonano lustra, że wytrzymały ciężar tyłu odbić?

96 Megalomania podbija hałaśliwie świat. Wlecze się nią depresja. Jest bardziej okrutna, nie wierzy białym przeszcieradłom i nie bierze jeńców.

97 Przygarnęły martwe schody, wybaczyły zamurowane drzwi i ślepe otwory okien.

98 Udawane umieranie mizdrzy się do heroizmu. Z prawdziwym łączy je to wyłączenie, że opuścił je rozum.

99 Czy zdąży dopisać kilka sentencji o dzienniku jako masce pośmiertnej?

100 Nie szukał przyjaźni z krytykami literackimi i nie miał znajomków wśród wydawców. Nie przyjmował listów pochwalnych, nagród i odznaczeń, nie czytał recenzji i nie promował jednej pozycji książkowej za drugą. Za najważniejszą uznawał całkowitą szczerą, na którą mógł pozwolić sobie jedynie umarli.

101 Nie tworzyć to nie pomnażać, nie uczestniczyć w procesie wymiany towarów kultury, kwestionować sens wspólnoty producentów (bo nie ma żadnej wspólnoty), zdecydować się na samotność, w której nie będzie ani obietnicy, ani iluzji obietnicy. Ale deklaracja odmowy – nawet gorzka i uczciwa – to również forma towaru.

- 102** Należy wyprowadzać finał na długie spacerki, bawić się z nim, nie zapominając o higienie, karmić dobrze i obficie, ale z rozważą, być dla niego czułym, aczkolwiek zdecydowanym. Wówczas na pewno nie przyniesie wstydu, zachwyci znawców i zdobędzie wiele medali na wystawach rasowych finałów.
- 103** Wyrok wciąż się czyta od początku, nieustannie powraca ku tym samym zwrotom, przekręca słowa, kaprysi, przyrudza, dopomina się uwagi, troski, czułości. Pozostaje w tym naiwny i dziecinny, mimo że każdego dnia starzeje się razem ze skaźcem.
- 104** Popełnić samobójstwo tylko dlatego, że nie sprostało się pisaniu? To tak, jakby postanowił unicestwić się stolarz, od którego odwrócili się nabywcy (a powinien zachować zimną krew i posiadać plan zastępczy nawet wówczas, gdy specjalizuje się w wyrobieniu trumien).
- 105** Ostatnie myśli idą albo do piekła, albo do nieba, trzeciej drogi nie ma. Wyjątkiem są myśli bez reszty pograżone w depresji, nieodwracalnie błędzące i niezdolne do przyjęcia odpowiedzialności za najbardziej proste wybory.
- 106** Karta choroby przypominała plan miasta. Splądrowane, poparzone i bezdomne zabłądziło do lazaretu.
- 107** Przepaść po drugiej stronie białych drzwi twardo stąpała po ziemi i miała znudzoną twarz dyżurnej pielęgniarki.
- 107** Zwłoki samobójców bezradnie i naiwnie obejmowały ostatnie lęki, które zdążyły zobaczyć.
- 108** Nadwrażliwość tańczy boso, w łachmanach i całą noc.
- 109** Ciało, które nie chce przestać się bać, to radykalna ciekawostka przyrodnicza.
- 110** Jednym z kroków zalecanych anonimowym alkoholikom jest przeproszenie wszystkich, którym – świadomie bądź mimowolnie – wyrządziło się krzywdę. Podobny krok powinni rozważyć również anonimowi pisarze.
- 111** Zwierzęta konsumują się wzajemnie, znane są przypadki, usprawiedliwione wyższą koniecznością lub prawem dzungli, gdy nie brzydzą się mięsem krewniaków i bez skrupułów przyrządzają na obiad własne potomstwo. Człowiek także zjada innego człowieka. Najbardziej drapieżna jest padlina moralna.
- 112** Gdyby miał być konsekwentny w umiłowaniu samobójstwa, musiałby, nim zlikwiduje siebie, zatrzeć ślady po sobie, spalić papiery osobiste, skasować, odesłać do odległej, nieosiągalnej dla nikogo cyberprzestrzeni, notatniki, listy i e-maile. Do tego trzeba co najmniej tyle odwagi, ile do połknięcia paru garści tabletek nasennych, zakrapianych wódką, podcięcia żył żyłką (gdzie ją kupić? – chyba w antykwariacie), czy do sprowokowania skutecznych incydentów ze sznurem, nie wspominając o wychodzeniu naprzeciw pędzącego pociągu, albo o rzucaniu się w dół z okna wieżowca, w którym nigdy nie zamieszkał ludzie.
- 113** Wyobrażenia o sobie kłamią bez umiaru. Z czasem nabiera się do nich dystansu. Lamenty ogarniają się i osiągają równowagę – mimo że świat nigdy nie będzie kliniką leczenia bólem.
- 114** Nie ma sensu żywić do siebie urazy, dokarmiać niechęci i wrogości. Któregoś dnia podziękujemy za cyniczną grę, którą toczyliśmy ze sobą na śmierć i życie. Na śmierć.
- 115** Najpierw zniechęciły się rozmowy, które prowadził z bliskimi i przyjaciółmi. Po jakimś czasie znużyły się i straciły oddech monologi wewnętrzne. Najdłuższe sprostały dzienniki. Wszystko wybaczyło dopiero samobójstwo.
- 116** Poskąpiono ciągnącej się w nieskończoność, koszarnej rozprawy, w której przypadłaby mu rola głównego oskarżonego. Innych ról również nie było. Melancholia to poczekalnia w sądzie. Odebrano zegarki i zegary.
- 117** Ambicje życiowe, z natury śmiechu warte, jedynie w samobójstwie przybierają postać dramatyczną.
- 118** *Niewątpliwym sukcesem trupów jest to, że nie potrzebują ani dobrych ocen w szkole, ani drugorzędnych sukcesów.*
- 119** *Pusta scena. Reszta obsady depresji nie opuściła sennych kulis, milczących garderób lub cmentarzy.*
- 120** Najbardziej przerażający akt adopcji – wówczas, gdy ból przygarnia i zagarnia pisanie.
- 121** Nadal chce, by była jego własną śmiercią, a nie modelem do składania, którego instrukcją obsługi w zawiły sposób objaśnia nauczyciele, duchowni i terapeuci.
- 122** Historia strachu staje się częścią historii literatury jedynie w tych przypadkach, gdy udaje się zapisać strach od początku do końca.
- 123** Nauczyciele tolerowali fantazje samobójcze jako łamigłówkę umysłową i ćwiczenie przynoszące wyobraźni uczniów wyraźną ulgę.
- 124** Ważnym krokiem zalecanym anonimowym alkoholikom jest przeproszenie wszystkich, którym – świadomie bądź mimowolnie – wyrządziło się krzywdę. Podobny krok powinni również rozważyć anonimowi pisarze.
- 125** Dokładnie zaplanowana i poprawnie dokonana rezygnacja z siebie uznawana bywa za dzieło wielkiej wagi i niepośledniej odwagi. Gdy to dzieło się nie udaje – pozostaje miniaturowym lękiem.
- 126** Przysięgał, że będzie wierny do końca, że nigdy o sobie nie zapomni. Ale obietnice dawane zmarłym są stratą czasu.
- 127** Nieudolnych, przedwczesnych samobójców, szybko ocuconych i napędzanych zreperowanych, odsyłano do psychiatry. Po krótkim przesłuchaniu wręczał urzędowe potwierdzenie zawieszenia kary śmierci.
- 128** Dziennik podróży – nawet pozbawiony miejsc pustych, uzupełniany co godzinę, dopuszczający różne punkty widzenia, tolerancyjny i pełen szczegółów – nie wystarczy, by uratować pasażerów.
- 129** Pamięci nie należy dotykać, bo można się okaleczyć. Puszczona samopas gotowa pokąsać śmiertelnie.
- 130** Po chodniku, chodnikiem, obok jezdni, nie przyglądając się samochodom, w ogóle nie widząc za wiele, idąc dalej, obchodząc czas, przechodząc samego siebie, nie wątpiąc, powstrzymując się od przekleństw i wymiotów, mimo że nawet drogę mdli od bezdomności, którą mija.
- 131** Ustawiono nas w szeregu. Przysmykamy oczy. Niektórym drżą dłonie. Zaciśnięte usta. Nie wszyscy wyładowaliśmy na swojej planecie.
- 132** W zgodzie na umieranie nie było niczego ani śmiesznego, ani heroicznego. Spanikowały oczy, ręce, nogi, mięśnie, kości, włosy, paznokcie. Za co miałby teraz być odpowiedzialny? Za to, że przedłużył życie włosom i paznokciom?
- 133** Z rozmysłem, dobierając przemyślane argumenty i wyciągając trafne wnioski, wybaczył chłopcu, któremu nie udało się samobójstwo. Dużo z nim rozmawiał, dyskretnie wykorzystując zdobycze ironii, a niekiedy nawet zasoby czarnego humoru. Niech sobie marzy do woli, przekonywał; niech pojmie, podkreślał raz po raz, że nie warto płacić za grę u progu gry; najważniejsze, by życie nie do zniesienia napisał lepiej lub gorzej.
- 134** Strach, który stanął w gardle, obiecał puszczać pigułki szczęścia rano, wieczór, we dnie, w nocy i ku pomocy.

Urzeczywistniony pomysł z roku 1923. Doman Wieluch i jego chińsko-polski słownik

JAN MALICKI

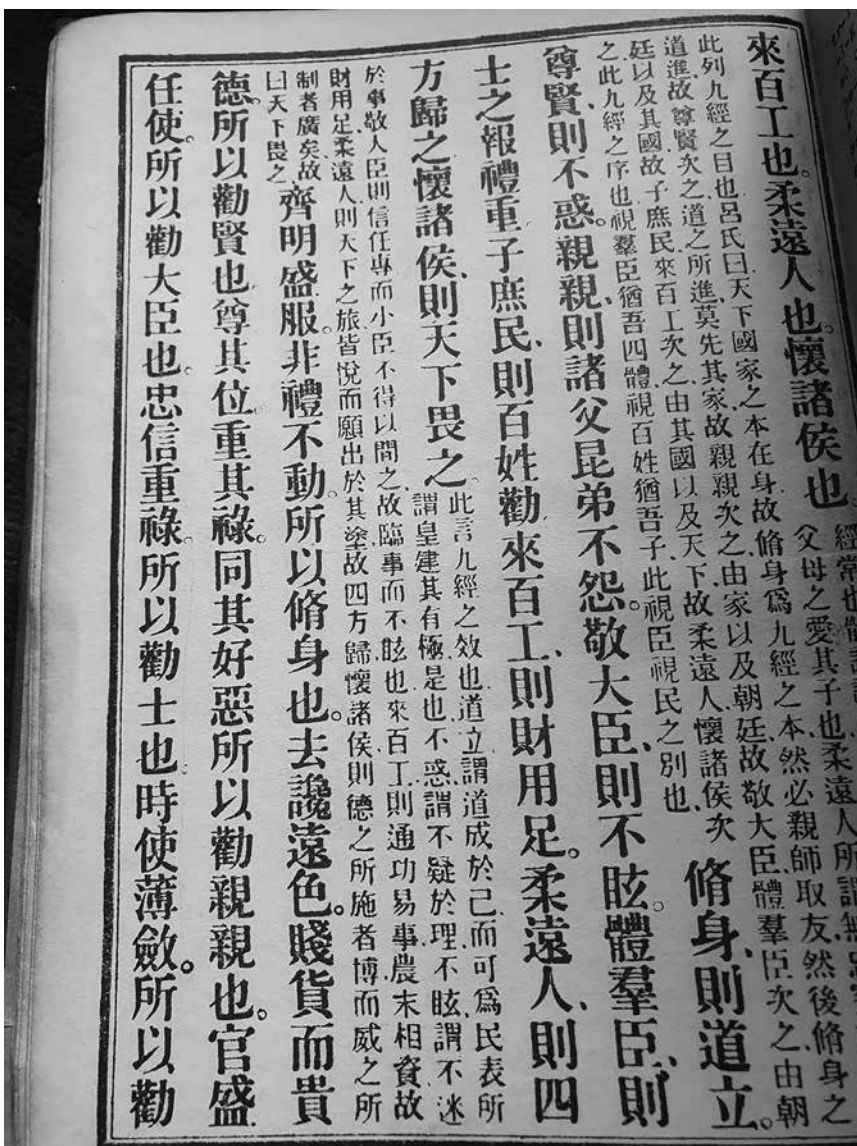
Urzeczywistniony pomysł z roku 1923. Doman Wieluch i jego chińsko-polski słownik. „Jeszcze w czerwcu roku 1936 nie było zgoła europejczyka (z wyjątkiem autora i jego przyjaciół), który by nie zaakceptował bez namysłu twierdzenia, że «zawiłość alfabetu chińskiego, złożonego z kilkudziesięciu tysięcy znaków, utrudnia tak dalekie czytanie i pisanie, że tylko najzdolniejsi mogą

się temu poświęcić». Mniemanie takie, zakorzenione od stuleci, utrudnia oczywiście w najwyższym stopniu poznanie bogatego piśmiennictwa chińskiego, a przez to uniemożliwia zupełnie głębsze wniknięcie w piękności i subtelności chińskiej kultury”.

Tak polemizował Doman Wieluch z nie byle kim, bo z samym Wincentym Lutosławskim, erudytą, filozofem,

założycielem „Eleusis”, nade wszystko zaś poliglotą; polemizował zaś o możliwościach bezpośredniego poznawania chińskiej kultury, poprzez teksty prymarne, oryginalne. Lutosławski bowiem 3 czerwca 1936 roku w krakowskim „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” zamieścił artykuł, będący dla Wielucha, człowieka w pełni przekonanego o trafności swoich spostrzeżeń, rodzajem prowokacji. Artykuł ten był też z pewnością decydującym impulsem, który uruchomił i zintensyfikował prowadzone od lat prace nad poznaniem tajemnicy piśmiennictwa chińskiego. Już bowiem 10 grudnia tegoż roku Doman Wieluch kończy pisanie wstępu do przygotowywanej edycji i opatruje go datą. Nie wierzę zatem, że pracę nad tak skomplikowanym dziełem, jakim jest słownik, można napisać w ciągu zaledwie siedmiu miesięcy. Tak też zresztą nie było. Autor doskonale o tym wiedział, silnie zaznaczając odmienność i specyfikę swojego dzieła, skoro we wstępie, pisze tak: „Niniejsza publikacja ma zmienić ten stan rzeczy. Ukaże ona, jako urzeczywistnienie pomysłu, pochodzącego jeszcze z roku 1923, że cała różnorodność wszystkich 40 czy 50 tysięcy znaków czyli wyrazów chińskich jest zbudowana, tak jak nasze wyrazy z liter, ale z niespełna trzystu elementów graficznych, prostych i łatwych do spamiętania, jeżeli są odpowiednio traktowane”.

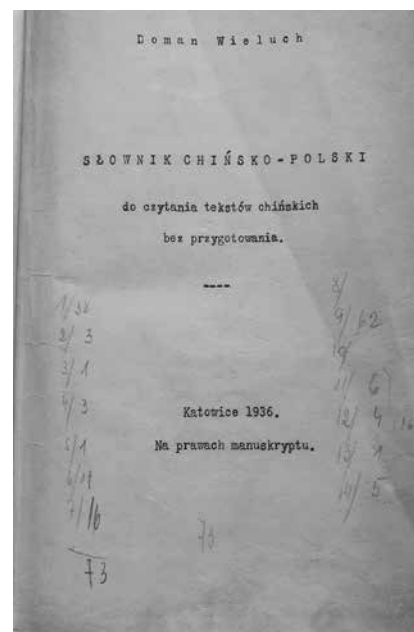
Był to więc już końcowy etap pracy nad szalonym dziełem przelamującym w jego czasach europejsko-filologiczno-rutynowe przyzwyczajenia z dopuszczaną w nauce niekonwencjonalnością, nieprzewidywalnością, świeżością, za którą zawsze się ukrywa nowa metodologia poczyniła badawczych. Ale każdego obserwatora odkryć naukowych intrygują etapy docierania do prawdy. Z pewnością nie tylko Newtonowskie jabłko i eureka Archimedesesa. Częściej noblowskie „nie wiem” Wisławy Szymborskiej, inspirujące i wymuszające chęć poznawania. Nierzadko przez lata. Znamy początek, znamy też koniec. To opu-



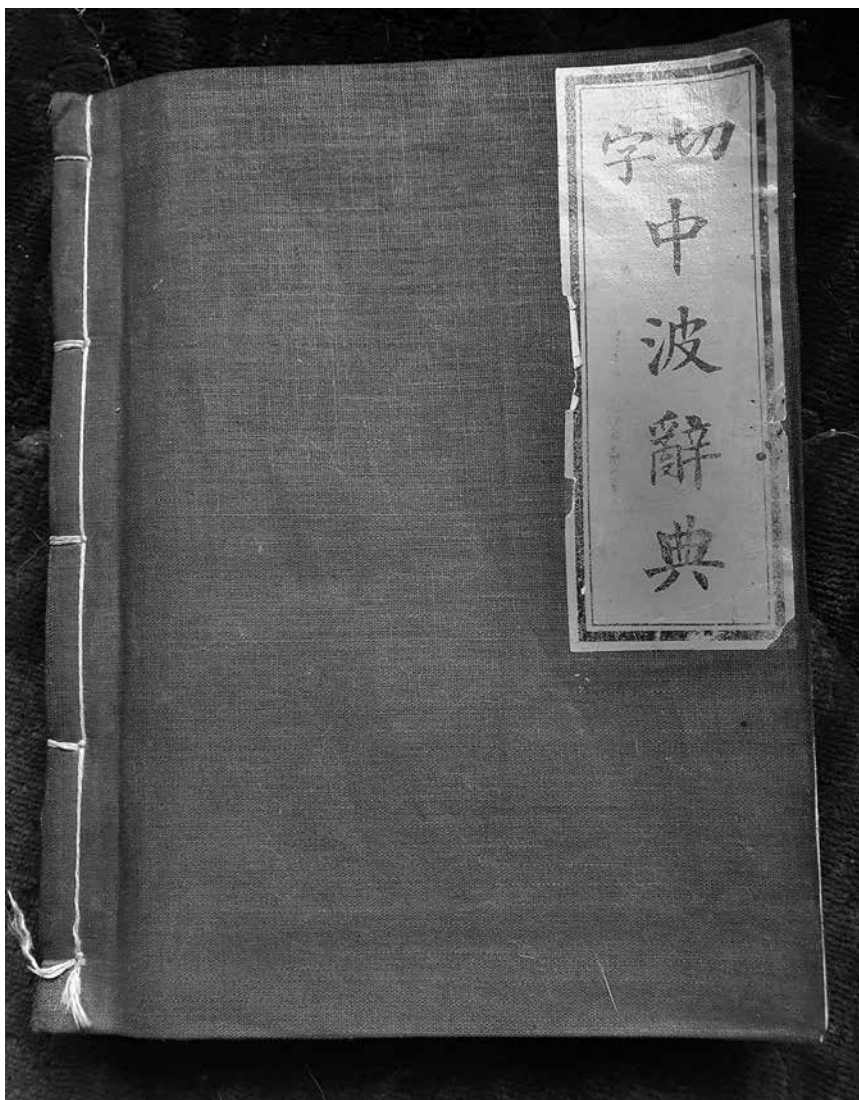
blikowanie „na prawach manuskryptu” w Katowicach w 1936 roku „Słownika chińsko-polskiego do czytania tekstów chińskich bez przygotowania”. Spróbujmy zatem wyodrębnić hipotetyczne etapy sinologicznych fascynacji jego autora. To jednak ledwie rekonesans dopełniający.

Spotkanie byłego konsula z kulturą pisarską Chin nastąpiło w sposób naturalny; bo w jednej z kopenhaskich bibliotek. Co więcej; studiując tam dostępne teksty chińskie doszedł do wniosku, iż możliwe jest zbudowanie uproszczonego systemu, który z owych 50 tysięcy znaków wydobędzie... No właśnie. Ile? Dostępny Wieluchowi chińsko-angielski słownik Giles’a z 1912 roku pozwalał uprościć ich liczbę do 14 tysięcy znaków. I tu dochodzimy do istoty wynalazku Domana Wielucha. Doc. Józef Mayer już przed wojną opisywał istotę tego odkrycia. Pisał: „Metoda D. Wielucha wprowadza w tej dziedzinie zasadniczy zwrot. Opiera się ona na spostrzeżeniu, iż wśród różnorodnych na pozór 50 tysięcy znaków chińskich powtarzają się w różnych kombinacjach pewne stałe, jedne i te same elementy graficzne, przy czym jest ich – 296. Wszelki

znak (wyraz) chiński zbudowany jest – jak nasze słowa z liter – z jednego lub kilku takich elementów i wystarczy je zapamiętać, by swobodnie orientować się w tekście chińskim. Każdy z tych elementów autor opatrzył odpowiednią do jego kształtu i znaczenia krótką nazwą w języku angielskim, co umożliwia światowy zasięg jego odkrycia”. A nieco dalej doda: „Dalszą oryginalnością Słownika D. Wielucha jest to, iż zawiera on tylko jedną tablicę z reprodukcją chińską wspomnianych elementów i ich angielskimi odpowiednikami, dalej zaś operuje już tylko owymi odpowiednikami z alfabetu łacińskiego, czyli – jest to chiński bez... chińskich czcionek”. Tyle doc. Józef Mayer o Wieluchowej metodzie. Czy sprawdziła się ona w praktyce? Z pewnością korzystał z niej Jan Wypler, równie zafascynowany tym kręgiem kulturowym; zwolennikami jej byli i Wilhelm Szewczyk i Aleksander Widera. Mieli ponoć z niej korzystać – i to przez długie lata – studenci sinologii Uniwersytetu Warszawskiego. Ale też potwierdzeniem rangi tego odkrycia było uhonorowanie autora Słownika tytułem członka korespondenta Towarzystwa



Chińsko-Polskiego w Nankinie. Znakiem rozpoznawczym był specyficzny sygnet, a dla jego biblioteka otrzymała chińską tablicę z czerwonego jedwabiu z oryginalnym napisem: brzuch pełen klasyków i filozofów. Nieprzypadkowo. W bogatej bowiem prywatnej bibliotece znajdowało się około 120 oryginalnych chińskich dzieł, w tym tak unikatowych, jak np. „Szi ki” (*Zapiski dziejów*), które badacz tak opisuje: „W 213 roku przed Chrystusem totalistyczny cesarz Szi Huang ti z dynastii Tsin, by nic nie mąciło doskonałości stworzonego reżimu, kazał ściąć 470 uczonych, spalić cały dorobek pisarski Chin, a państwo otoczyć Chińskim Murem. W sto lat później uczonemu Se Ma Tsjen udało się jednak zrekonstruować zniszczone kroniki – właśnie owe «Szi ki». Przeminał totalistyczny władca – odżyły dawne dzieje” (J. Mayer). Jednak perłą w koronie był jedyny ocalały z przebogatej kolekcji cesarza chińskich tom, oprawiony w żółty jedwab (kolor zastrzeżony dla cesarza), zatytułowany „Plan ceremoniału wielkiej dynastii Tsing”. Jedyny jaki ocalał po wyprawie interwencyjnej zachodnich państw po zabójstwie ambasadora Niemiec. Biblioteka cesarza splądrowana, zniszczona, unicestwiona. Nie pierwsza i nie ostatnia. Ale tym razem przez regiment śląski. Tak trafiły na Śląsk chińskie artefakty zakupione przez bytomskie muzeum. Czy zachowały się do dziś? Taką też drogą – zapewne w plecaku grabieżcy – przeszedł „Plan ceremoniału...” Kolekcjonerstwo – już trzecia pasja Domana Wielucha. Pasja szlachetna. ■



„Ada” Nabokova do gry zawsze gotowa!

JERZY PASZEK

Pamięci Leszka Engelkinga (1955–2022)

To Mistrza tomiszczala

Miłośnikom twórczości Władimira Nabokova znana jest fotografia pisarza z roku 1966, na której Philippe Halsman uwiecznił zamyślonego nad wielką księgą autora *Ady*. Wielgachne tomiszczce to 3350-stronicowy (w formacie *in quarto*) *Webster's Second International Dictionary* (New York 1934). Polski czytelnik może sobie wyobrazić rozmiary owego foliantu, gdy weźmie do ręki jednotomowy *Wielki słownik ortograficzno-fleksyjny* pod redakcją Jerzego Podrackiego, mieszczący na 1654 stronicach 182154 hasła. Z tej konfrontacji dwu dużych dykcjonarzy wynika, iż amerykańska księga jest dwa razy obszerniejsza i trzy razy bogatsza pod względem ilości haseł, bo liczy ich ponad 600000. Gdy zważyć, iż *Praktyczny słownik współczesnej polszczyzny* pod redakcją Haliny Zgółkowej w swoich 50 tomach (po ok. 300 stronic w każdym) ma prawie 130000 haseł, a 11-tomowy *Słownik języka polskiego* pod redakcją Witolda Doroszewskiego zawiera 125632 hasła, to leksykon Webstera – nie pomijający haseł osobowych, wzbogacony o liczne ilustracje i 140000 wywodów etymologicznych – musi robić ani chybi potężne wrażenie na każdym poliglocie.

Ale nie jest to jedyna taka fascynacja leksykomaną czy nawet „leksykomaniaką” (jak mówią o nim złośliwi krytycy); okazuje się, że drugim często przeglądany przez Nabokova tezaurem był *Tołkowyj słowar' żywego wielikorusskogo jazyka* (1863–1866) Władimira Dala (Dahla), który w 4 tomach ma ponad 200000 haseł. Oba te lingwistyczne skarby badał z Nowej Zelandii, Briand Boyd, łączy w jednym zdaniu: „W latach dwudziestych, lękając się utraty biegłości w posługiwaniu się językiem rosyjskim, [pisarz] codziennie studiował kilkanaście haseł ze słownika Dahla; we frankofońskiej części Szwajcarii zasiadał nad słownikiem Webstera” (B. Boyd: *Nabokov. Dwa oblicza*, oprac. i przeł. W. Sadkowski, Warszawa 2006, s. 348; nb. po s. 400 widnieje omawiane tu zdjęcie autora *Ady* nad folialem Webstera).

Tę admirację podziela z powieściopisarzem jego bohaterka, Ada (Adelajda), która wprowadza miłą dla oka i ucha grę słów: „the unconventional magnanimity of four-volume Dahl (»My darling dahlia,« moaned Ada)” (V. Nabokov: *Ada or Ardor: A Family Chronicle*, New York – Toronto 1971, s. 225; edycję oznaczam skrótem AD). Rosyjski przekład Oksany Kiriczenko wyjątkowo zauważa ową zabawę, dając obok „czteryiechtomnogo »Dalja«” apozycję „Daleńkaja Dalija” (W. Nabokov: *Ada, ili Erotiada. Siemiejnaja chronika*, pier. O. Kiriczenko, Moskwa 2000, s. 117; tę wersję internetową oznaczam skrótem OKS). Po polsku słabiej zaznacza się entuzjazm *Ady*: „niekonwencjonalna wielkoduszność czterotomowego Dala (»Moja ukochna dalia« – – jęczała Ada)” (V. Nabokov: *Ada albo Żar. Kronika rodzinna*, przeł., koment. i posłowiem opatrzył L. Engelking, Warszawa 2009, s. 272; tłum. to oznaczam jako

LEN). Uważam, że można było tu sięgnąć po sztuczki skrablowych prolongacji, dając frazę „choć Dal (Dahl) w dali, DALIA jest moja!” (DALI + A = DALIA).

Przedłużki i alonże

W ten prosty sposób „Ogary poszły w las”, czyli przystępując do kontynuacji rozważań, zawartych w kwietniowym numerze „Śląska” [z roku 2021], a zatytułowanych *Spojrzenie skrablisty na »Adę« Nabokova*. Nabokov wymyślił dla współczesnej amerykańskiej wersji scrabble, zwanej dziś po rosyjsku erudit, inną nazwę: fławita (anagram słowa alfawit, czyli 'alfabet'). W tekście omawianej powieści mistrzynią tej gry jest właśnie Ada, której bajecznie sprzyja szczęście w losowaniu liter. Wyśmiewa się z dziecinnej Lucindy (Lucette), iż z posiadanych przez siebie 6 płytek (R, O, T, I, K, L) nie umie ułożyć cennego punktowo wyrazu KLITOR (grają po rosyjsku, więc chodzi o 'techtaczkę'; po polsku byłby to LIKTOR, antyczny urzędnik rzymski, dzierżący FASCES, czyli różgi; nb. jest to słynny alonż do słowa FASCE – 'beczułce' – FASCE + S = FASCESI!), a wyklada na planszy słówko ROTIK, czyli 'usteczka'. Ta historyjka ukazana jest w rozdz. 36 cz. I, gdzie dużo opowiada się o podstawowej dla gry sztuce anagramowania. Nabokov wymyśla leksemę CITROILS i STIRCOIL (AD, 279), by dać aluzję do nieznanego Lucetcie słowa CLITORIS! ANAGRAMS to ARS MAGNA! By zrozumieć, jak wielce jest owa sztuka pomocna dla gracza może wystarczy poinformować czytelnika, iż z zestawu K, O, R, A, M, I, N, A (nb. nazwa leku nasercowego dawniej) ekspert układa ponad 10 wyrazów: AKRANIOM, ARIANKOM, KARANIOM, KARMIONA, KONARAMI, KORANAMI, MARIANKO, ORANKAMI, ORKANAMI, ORMIANKA, RAMIONKA.

Tak samo wszakoż ważną umiejętnością i kompetencją jest pamięć o prefiksalnych i sufiksalnych dodawaniach litery do wyłożonego już słówka w ten sposób, by uzyskać droższe punktowo dwa wyrazy jednocześnie. Oto przykład, zaczynający się od ŁOWCÓW, do których dołączono formę MIASTU (tworząc w ten sposób ŁOWCÓW, czyli 'skały osadowe'), a przedłużając literą G [ze słowa NAGRAMY] formę MIASTU do MIASTUG (dop. 1m od MIASTUGA, czyli 'ryba kostna'), dostajemy szansę na ANAGRAMY (NAGRAMY + A = ANAGRAMY):

M
I Ł O W C Ó W
A
S
T
U
N A G R A M Y

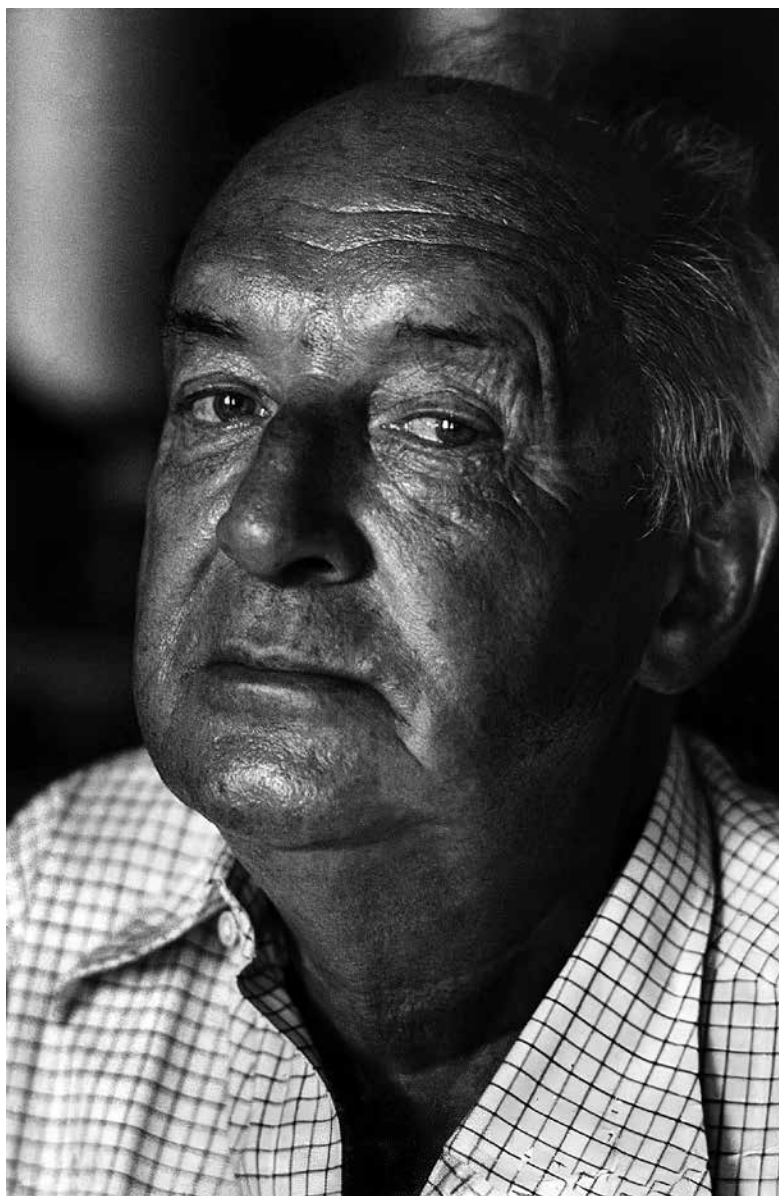
Z prolongacjami bywają niekiedy kłopoty, gdy zapomni się o zasadach ortografii, np. o tej, że w skrablach nie wolno używać wyrazów pisanych wielką literą! Stąd w przekształceniach wyrazu KORAMINA ORMIANKA nie jest

Armenką, lecz ordynką, szablą pochodzenia tatarskiego, natomiast wołacz MARIANKO nie był skierowany do jakiejś Marianny, lecz do zakonniczki ze Zgromadzenia Marianów pw. NMP. Gdy zaś mamy na stojaku zestaw CHEŁMIE, to jesteśmy w srogiej pułapce (jak się pisze HEŁM?), gdy nie wiemy, iż istnieje karaczan HEŁMIEC, dający premiiowaną siódmkę! Dwa miasta o nazwie CHEŁM są więc mylną podpowiedzią!

Podam tu kilka przykładów alonżek sufiksalnych, by udowodnić tezę o fundamentalnej roli bogini pamięci, czyli Mnemozynie czy Mnemosyne. Do rzeczownika ODZIE można dodawać m.in. literę R (ODZIER to 'opłat, część zewnętrzna oprzędu motyla jedwabnika') lub Ń (ODZIEN to dop. lm od rzeczownika ODZIENIE, nb. „co dzień” piszemy rozdzielnie!) czy Ż (ODZIEŻ). HUBA znajduje alonż w nazwie ptaka HUBARY (dop. lm HUBAR); do OBERŻY można dodać N, by wyprodukować OBERŻYNE, czyli bakłażan lub gruszkę miłosną; CZARTA oswoja się poprzez bylinę CZARTAWĘ z jej gruszkowatymi owocami (CZARTA + W = CZARTAW); MAKAMI zaś ma dalszy ciąg w MAKAMIE, czyli w krótkiej opowieści arabskiej; GREMIA i KOLEGIA bywają uzupełniane przez GREMIAŁ ('chusta na kolanach biskupa') oraz formę KOLEGIAT ('kościół nie będący katedrą'), itd., itp. Jedyń łatwiejszy i systemowy sposób prolongacji polega na używaniu dawniejszego sufiksu „-yj” zamiast „-ji” w rzeczownikach typu LEKCYJ (LEKCY + J = LEKCYJ), TORSYJ (TORSY + J = TORSYJ), HUSARYJ (HUSARY + J = HUSARYJ).

Alonżki w „Adzie”

W oryginalnym tekście powieści pojawia się nauczycielka języka francuskiego, bawiąca się swoim „tremulous POODLET” (AD, 37 i 456; majuskuły pochodzą ode mnie, J.P.), „trzęsącym się PUDELKIEM” (LEN, 54). Ten piesek musiałby po polsku być przedłużeniem epitetu PUDLI (PUDLIK), by osiągnąć rangę neologizmu Nabokova; wiadomo, że alonże przymiotnika PUDLI to PUDLIC lub PUDLIM. W formie POODLET mamy zdrobnienie POODLE + T = POODLET. Jest to pomysł autora, bo gdy spojrzymy do amerykańskiego podręcznika Saleema Ahmeda (S. Ahmed i in.: *The Scrabble Word-Building Book. A Family Project*, New York 1991, s. 393, s. v. Poodle), to zobaczymy jako przedłużkę dla POODLE tylko słówko POODLES (czyli lm podstawowego słowa). Bowiem w neologizmie Nabokova rzeczownik POODLE (widoczny też jako lm POODLES, AD, 457) kończy się szczęśliwie na „-e”, dzięki czemu łatwo było autorowi sugerować tu wyzyskanie sufiksu „-et”. Taką operacją dotyczy i rzeczownika NIPPLE ('sutek'), który został zdrobniony do formy NIPPLET (AD, 118). Nb. Ahmed z całą swoją rodziną (Carol „Yasmin”, Aisha, Seema) hasło NIPPLE przedłuża tylko w formie lm NIPPLES. Dodam jeszcze, iż obok pudelków w powieści ujawniają się również jamniki i taksy. Ada waha się pomiędzy określeniem „dackel or taksik” (AD, 91), to znaczy zastanawia się, czy piesek Dack jest angielską nazwą („dachshund”, AD, 455), bądź niemiec ką „Dackel”, a może rosyjską („taksik”). W leksykonach rosyjskich mamy hasła: „Taksi” ('taksówka'), „Taksa” ('taryfa') i „Taksa” ('jamnik, taks'). Nabokov używa zdrobniającego sufiksu „-ik”, czyli sugeruje nam, że do rzeczownika „taksi” wystarczy dodać „-k”, by stworzyć słówko „TAKSIK”. Tak to wygląda z punktu widzenia skrablisty! Leszek Engelking kongenialnie tłumaczy opisywaną frazę, kreując



dotatkowo ukryty kalambur (moja spacja): Ada „patrzyła na częściowo ozdobionego [wianuszkciem z margerytek] jamnika czy TAK SIKA” (LEN, 117).

PIECZENIEG

Trójjęzyczny kalambur dostrzegam w zdaniu o pułkowniku Ermininie, „którego wątroba, jak napisał w liściku, zachowywała się jak *pieczenieg*” (LEN, 103). Engelking namawia czytelnika, by odczytywał cytowane słowa jako zjawisko szaradziarskie; normalnie do rzeczownika PIECZENIE skrablista dodałby tylko „M” (PIECZENIEM), ale nigdy „G”! W oryginale tekst jest zrozumiały dla tych, którzy choć w minimalnym stopniu znają rosyjski, bo tylko tacy wpadną na trop, iż angielski termin „liver” ('wątroba') po rosyjsku brzmi „pieczeń”, a „pecheneg” oznacza nie tylko Pieczynga, czyli przedstawiciela koczowniczego plemienia tureckiego z IX wieku, określonego w przypisach Nabokova krótko i dosadnie „dzikusem” (LEN, 708), ale i dolegliwości związane z bólem wątroby: „Colonel Erminin, a widower, whose liver, he said in a note, was behaving like a *pecheneg*” (AD, 79). Andrzej Bańkowski stwierdza, że „pieczeń” jest skrótem używanym zamiast słowa „pieczenia”, oznaczającym od wieku XV do XVIII 'pieczone mięso', a nie jak w dawnym rosyjskim, gdzie mówiono „pieczeń o wątrobie, najczęściej pieczonej na rożnie przez myśliwych” (A. Bańkowski: *Etymologiczny słownik języka polskiego*, Warszawa 2000, t. II, s. v. Pieczenia). W XX wie-

ku leksykon rosyjsko-polski odnotował hasło Pieczeń ('wątrobą') obok hasła Pieczenije ('herbatniki' lub 'pieczywo').

Polak, interesujący się historią, otrzymuje piękną i zdziwiająco go prolongacją wyrazu PIECZENIE w formie PIECZENIEG. Anglik lub Amerykanin, pomimo zajązzenia w objaśnienia autora, musi sięgnąć do cudzych przypisów lub do dykcjonarza ruszczyzny. Natomiast tłumacz powieści na język rosyjski w zasadzie nic nie musi dodawać do brzmienia tekstu oryginalnego! I rzeczywiście tak się dzieje! Mam wycinek z „Litieraturnoj gaziety” z dnia 13. XI 1996, gdzie pod tytułem *Ada, ili Radosti strasti* ukazał się rozdz. 13 cz. I utworu z takim oto przekładem: „Erminin, wdowiec, czja pieczeń, soobszczil on zapiskoj, powieła siebia ›kak pieczenieg›” (W. Nabokow: *Ada, ili Radosti strasti*, pier. S. Iljin, „Litieraturnaja gazietat” 1996, nr 46). Wersja Oksany Kiriczenko jest podobna: „połkownik Łaskin, wdowiec, sosłałsja na pieczeń, kotoraja, kak sledowało iz jego zapiski, wieła siebia kak *pieczenieg*” (OKS, 45).

WIPEX I WYCIEREKSY

Uważam, iż podobnie oryginalna prolongacja dotyczy angielskiego i polskiego nazywania zwykłej papierowej chusteczki do nosa. *Ada*, wzruszona losem *Lucetty*, sięga po pojemnik z chusteczkami higienicznymi: „remarked *Ada* stretching across *Van* toward the *Wipex*” (AD, 420); „zauważyła *Ada*, wyciągając się nad *Vanem*, by sięgnąć po wyciereksy” (LEN, 501). Leżały one bowiem po stronie *Vana*: „a box of *Wipex*” (AD, 419; „paczka wyciereksów”, LEN, *ibid.*). Otóż *Ahmed* ma do czasownika WIPE ('wycierać, ocierać, ścierać') cztery przedłużki: SWIPE ('trzępienie'), WIPED, WIPES oraz WIPER ('wycieracz, ręcznik, chusteczka'; *Ahmed*, s. 576, s. v. *Wipe*). Wynika z tej szaradziarskiej kombinacji, że *Nabokow* mógł się z powodzeniem posłużyć alonżką WIPE + R = WIPER, wnosząc aluzję do słowa VIPER ('żmija'). Wymyślił jednak inną operację semantyczną WIPE + X = WIPEX, by pozbyć się niecelowej sugestii, a jednocześnie po to, by wyzyskać modę na rzeczowniki kończące się na „-ex”, która i w Polsce ongi się szerzyła.

Tłumacz miał do wyboru, z nasuwających się na myśl wyrazów typu: wycieraczka, wycierka, wycieruch ('osoba'), wycieruchy ('spodnie'), wycierus, wyciruch, wycirus, wyciruchy – kilka sensownych podpowiedzi na zakładanie fundamentu dalszych metamorfoz. Trafnie wybrał rzadkie słowo „wycierka”, czyli 'pulpa ziemniaczana' (wedle *Słownika Doroszewskiego*; nb. zna on też dawniejszy sens hasła: 'poniewierka'). Zmienił rodzaj gramatyczny leksemu i dodał mu modny pół wieku temu sufiks „-ex” (por. multipleks, sympleks, dupleks, apeks, koreks, interseks, lateks itp.), znany z nazw firm (Pewex, Budimex, Drobmex, Robimex, a nawet humorystyczne marki Lumpex i Szmatex). Tak więc mamy WYCIEREK (rodzaj męski od żeńskiej WYCIERKI, która zresztą w dop. l.m. też brzmi WYCIEREK) + S = WYCIEREKS (możliwy do zapisania jako znak firmy w formie: *Wycierex*), a l.m. jest dalszą prolongacją: WYCIEREKS + Y = WYCIEREKSY. *Oksana* nic takiego nie wymyśliła, zadawalając się frazą „paczka bumażnych płatków” (OKS, 216 i 217).

VERGE + R = VERGER

Dwujęzyczne odczytania nazwisk to inna onomastyczna zabawa *Nabokova*. W rozdz. 21 cz. I powieści wspomniany jest bibliotekarz *Verger*, chorujący na łuszczycę (nie był wolny od tej dolegliwości sam autor dzieła). Narrator nie ukrywa, iż *Verger* mógłby mieć ksywę „łuszczyk” (LEN, 164). W oryginale mówi się o tej złośliwej przypadłości jako psoriasis (AD, 132; epitet: PSORIATIC), a pacjentom są, oczywiście, kimś z grupy psoriatics (PSORIATIC + S = PSORIATICS). Na marginesie, *Van* przechodzi od rzeczownika clitoris do nazwy ogólniej clitorism

(CLITORIS + M = CLITORISM; AD, 394). *Verger*, co po francusku tłumaczy się jako 'ogród', posiada rdzeń „verge” (VERGE + R = VERGER), oznaczający 'prącie'. Po angielsku VERGE + R dają podobne skojarzenia, bo „verge” to 'berło', a „verger” bywa bedlem dzierżącym berło! Koleżanka *Vergera*, miss *Vertograd*, wnosi dawniejsze rosyjskie określenie 'ogrodu' – wiertograd; w staro-cerkiewno-słowiańskim był to wedle *Lindego*: wr'tograd'.

Gran D. du Mont

Kochanek *Mariny*, matki *Ady*, z którym pani *Durmanov* podróżowała po Półwyspie Iberyjskim („była w Hiszpanii ze swoim grandem”; LEN, 189; „*Marina* was in Spain with her Grandee”; AD, 153), wcześniej bywa bałamutnie i aluzyjnie nazywany m.in. dzięki alonżkom: „*Gran D. du Mont* (the ›D‹ also stood for Duke, his mother's maiden name)” (AD, 151); „mistrz sceny, *Gran D. du Mont* (owo ›D‹ znaczyło również Duke, nazwisko panieńskie jego matki)” (LEN, 187). Czy aktor jest tylko *Grand*, czyli *Wielki* (zob. „*grande cocotte*” AD, 151; LEN, 187), czy też należy do arystokracji hiszpańskiej (*Grand*) lub angielskiej i francuskiej (*Duke*, *Duc*), trudno zgadywać, bo autorowi wyraźnie chodzi tu jedynie o zademonstrowanie alonżki GRAN + D = GRAND, „wzmocnionej” przez ukrytego pod literą „D” *Duke'a*!

Bess, Sirin, Marmłady i polecat

Prolongacje zakończeń wyrazów dotyczą nazw zmyślnych, bo zmyślonych przez autora: np. „NEKTO”, któremu towarzyszy „NEKTOR” (AD, 339, 344; AD, 339: „*Necton*”); imię kobiece „BESS” osłania i odsłania rosyjskiego szatana: BES + S = BESS (AD, 435: „*Bess* [which is ›fiend‹ in Russian]”). Ale ta gra dotyczy również autentycznych terminów, jak np. „NIGERO”, pochodzące od nazwy „NIGER” (AD, 345) lub pseudonimów. *Nabokow*, jako autor pisanych po rosyjsku utworów, ukrywał się pod ksywą „SIRIN”; z jaką radością mógł więc ogłosić, iż w traktacie erotycznym szejka *Nefzawiego Pachnący ogród* wspomina się o dziele *Ben Sirine'a* (SIRIN + E = SIRINE) na temat interpretacji snów (LEN, 765 i 743; AD 344: „*Ben Sirine*”). Czasami alonż sygnalizuje erudycję: „*Marmład* before his *Marmłady* in *Dickens*” (AD, 360), czyli MARMLAD + Y = MARMLADY.

Engelking, chcąc grą słów odpowiedzieć na grę słów oryginału, zmienia bohaterów zdań o zdradliwych przyjaciółkach, kotach i tchórzach, a także Polkach i Polakach. Bohaterka powieści żali się: „I may not be as bright as I used to be, sadly said *Ada*, but I know somebody who is not simply a CAT, but a POLECAT, and that's *Cordula Tobacco* alias *Madame Perwitsky*. I read in this morning's paper that in France ninety percent of CATS die of cancer. I don't know what the situation is in Poland” (AD, 420). Nie jest to, oczywiście, to samo, co w tłumaczeniu: „Może nie jestem taka bystra jak kiedyś – powiedziała smutna *Ada* – ale znam kogoś, kto nie tylko jest PAWIEM, ale i PAWIANEM, a tym kimś jest *Cordula Tobacco* alias *Madame Perwitsky*. Czytałam w dzisiejszej gazecie, że PAWIE w ogrodach zoologicznych masowo zdychają, nie wiem, jak jest z PAWIANAMI” (LEN, 504).

Podziwiam tę substytucję polskiego kota czy kici na pawia i pawiana, bo wszak możliwa jest tu nawet operacja prolongacji PAWIA + N = PAWIAN! Szkoda, iż jednocześnie ginie na pograniczu anglo-polskim przedłużka POLECA + T = POLECAT... Ale można byłoby *Madame Perwitsky* coś wrzucić o jej gabarytach i tłustych kształtach, o jej metamorfozach: najpierw jest małym ptaszkiem leśnym (PASZKOTEM), potem zaś wypasionym kocurem, czyli pełnym PASZKOTEM! Nie muszą dodawać, że POLECAT jest 'tchórzem', ale „ma w sobie” Polki i Polaków wraz z ich kotami!

„Zawsze wiedziałam, że najbardziej nieprawdopodobne rzeczy zdarzają się właśnie w życiu, w prawdziwym życiu, że żadna wyobraźnia nie potrafi stworzyć tego, co daje ludziom tak zwane zwyczajne życie” – biografia dr Wandy Póltawskiej, której przecież czytelnikowi przedstawiać nie trzeba – potwierdza to mniemanie w całości. Ile ról życiowych pełniła: doktor nauk medycznych w zakresie psychiatrii, profesor Papieskiej Akademii Teologicznej, blisko zaprzyjaźniona z papieżem Janem Pawłem II i jego konsultantka w sprawach rodziny, a także harcerka, więźniarka obozu koncentracyjnego w Ravensbrück i ofiara eksperymentów medycznych, żona wybitnego filozofa personalisty, profesora Andrzeja Póltawskiego, matka czwórki dzieci. Ks. Tadeusz Fedorowicz twierdził, że z jej życia można by „wykroić trzydzieści” życiorysów.

Wanda Wiktoria to kobieta silna (jakże może być inaczej przy takich imionach), odważna, w cierpieniu skupiona, w modlitwie żarliwa, w miłości i przyjaźni wierna aż do bólu i taka jej sylwetka wyłania się z właśnie wydanej książki *O więcej niż życie*. Na wstępie zamieszczono trochę żartobliwe wprowadzenie autorki skierowane do czytelnika w związku z jubileuszem (Wanda Póltawska urodziła się w roku 1921): „od dość dłuższego czasu wszędzie, gdzie bywam, jestem najstarsza i czasem myślę, że osoby, które mnie odwiedzają, to trochę tak, jakby oglądały ekspozycję w muzeum! Słyszę życzenia «wszystkiego najlepszego» i «wszelkiej pomyślności» itp., powielane wielokrotnie, i oczywiście muszą robić «bilans życia», mając wrażenie, że już napisali mi klepsydrę”.

Gdyby jednak zacząć od początku, to najpierw była ukochana „tatusiowa córeczka”, mająca pogodne dzieciństwo w Lublinie, Kochający dom i wielką radość z życia, potem uczennica i drużna Wanda, zachwycona otaczającym światem i sądząca, że nie ma nic jaśniejszego, mocniejszego niż „zastęp wędrujących harcerzek”. Po wrześniu 1939 roku odmieniło się wszystko. O tym i o wzrastaniu wewnętrznym, prowadzonym przez tragiczne, bardzo bolesne doświadczenia opowiada właśnie książka *O więcej niż życie* stanowiąca bardzo interesująco skomponowaną biografię, w której fragmenty z tekstów dr Póltawskiej publikowanych i niepublikowanych układają się w dynamiczną i fascynującą opowieść autobiograficzną, z której wyłania się żywy, czujący i myślący człowiek.

Po szczęśliwym dzieciństwie i pięknej młodości, są Szare Szeregi a potem Ravensbrück i fragmenty wspomnień *I boję się snów*, dalej miłość i małżeństwo z filozofem Andrzejem Póltawskim, macierzyństwo, nowotwór, który zniknął za wstawiennictwem o. Pio, a potem *Beskidzkie rekolekcje* i wiele innych rekolekcji. I niezliczona ilość spotkań, przyjaźni, znajomości, bolesnych, powikłanych spraw ludzkich i nie-ludzkich oraz spraw, jakie niesie życie. Widzimy współpracę z wybitnym osobowościami naszych czasów, nie tylko Papieżem – Polakiem, ale sprawdzonymi przyjaciółmi, których nazwiska mogą stać się

„Trzydzieści życiorysów” Wandy Póltawskiej

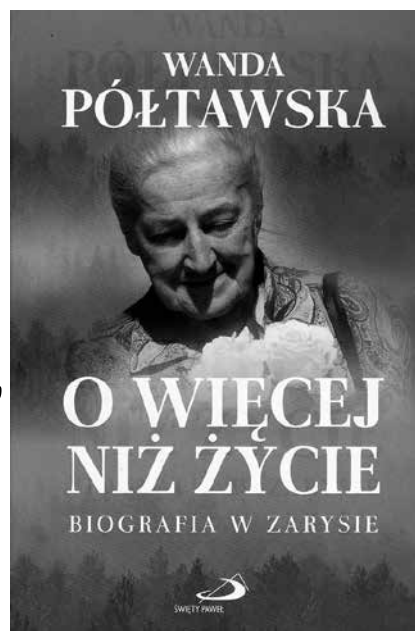
KSIAŻKI

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

wzorem dla następnych pokoleń. Jest wśród nich Jérôme Lejeune – francuski pediatra i genetyk, odkrywca etiologii zespołu Dawna i pierwszy przewodniczący Papieskiej Akademii Życia, ks. Tadeusz Fedorowicz organizator Krajowego Duszpasterstwa Ociemniałych, od młodości związany z Laskami, wybitny teolog ks. prof. Ignacy Różycki, to może wydawać się oczywiste, ale zaskoczeniem może być fakt wspólnych wędrówek po Tatrach Wysokich z biskupem Józefem Rozwadowskim, a nawet wspinaczek i wspólnego „związania liną”, podobnie jak z ks. Józefem Sanakiem.

Znajdziemy też w książce temat śląski, a mianowicie postać ks. Norberta Bończyka w zaskakującym kontekście. Otóż utarł się taki zwyczaj, że autorka jadąc do Rzymu przywoziła Janowi Pawłowi II polskie książki. Kiedyś przywoziła *Nieznany kraj* Zofii Kossak, ale trzeba oddać głos Wandzie Póltawskiej: „Ta książka to są dzieje walk Śląska o polskość. Wśród innych jest opowieść pt. *Poetyckie wzloty*, w której autorka opowiada historię starego księdza, który zostaje uwięziony za to, że mówił po polsku, uczył po polsku dzieci – siedzi teraz samotny w celi i marzy o pisaniu wierszy [...] Ogarnęło go nowe, jak sam określał, «wakacyjne szaleństwo». Nieprzemierzalna chęć pisania. Pisał wprawdzie zawsze dużo artykułów, lecz teraz pragnął czegoś innego. Pisania wierszy... Zzymał się na tę zachciankę, drwił sam z siebie boleśnie, upokarzająco – daremnie. Chęć silniejsza była niż autokrytyka. Znużony walką powoli się rozgrzeszał. Cóż to szkodzi? Tyle czasu wolnego ma przed sobą, tego, co napisze, nie potrzebuje nikomu pokazywać”. W tym miejscu Ojciec Święty przerwał mi i mówi: „To zupełnie tak jak ja”. A ja na to: „No to trzeba napisać” – i podobno tak zaczął powstawać *Tryptyk rzymski!*

Ten ksiądz, wspomniany przez autorkę, to Norbert Bończyk. Wprawdzie Bończyk trafił do więzienia w roku 1872 za przetłumacze-



nie na język polski i wydanie opowiadania Konrada Bolandena *Stary bóg żyje*, ale istotnie był zaangażowany bardzo w promowanie języka polskiego na zgermanizowanym wówczas Śląsku. Informacja o takiej genezie *Tryptyku rzymskiego* jest bardzo interesująca, jakkolwiek Marek Skwarnicki wspomina, że dzieło powstawało latem i jesienią roku 2002, co nie wyklucza jednak wersji dr Póltawskiej.

Piękne, zaskakujące wewnętrznym rytmem są tzw. „filary życia” ukazujące w skrócie, lecz obrazowo, aksjologię doktor Póltawskiej: Bóg, eucharystia, modlitwa, Krzyż, Ojczyzna, przyjaźń i las, to właśnie było jej duchowe oparcie, niezawodne w każdej potrzebie. Przez te rozważania snuje się wątek cierpienia, bólu, w którym zanurzony jest współczesny świat. Autorkę dotknęło w życiu wiele cierpień, w tym to najokrutniejsze, nowotworowe (pisze o nim tak przejmująco, że zaczynamy odczuwać lęk), dlatego ma prawo do takiego uogólnienia: „ból, który jest nad miarę, zamyka człowieka w kręgu samotności”, która jeszcze ten ból potęguję, zamyka na drugiego człowieka, nawet na Boga. Tyle pokory jest w tym pisaniu, chwilami nawet milczenia. A przecież też pojawia się radość, trudno pojąć, jednak to właśnie Wanda Póltawska pisze, że jest ze „szczęśliwego pokolenia”, które poważnie kochało Boga i Polskę, na serio traktowało pojęcie honoru, a dzieci miały pełne ciepła domy i Kochających rodziców. Zamyka te rozważania las, „źródło radości i siły” – ten piękny końcowy akcent książki otwiera dla czytelnika przestrzeń wolności dającej siłę „do życia, do znoszenia świata, ludzi i losu. ■

**Wanda Póltawska: *O więcej niż życie*.
Biografia w zarysie. „Święty Paweł”,
Częstochowa 2023, s. 647, ilustr.**

Paulina Świst to najbardziej tajemnicza postać w światku polskiej literatury kryminalnej. Nikt nigdy z kilkuset tysięcy czytelników i czytelniczek jej powieści nie był na spotkaniu autorskim pisarki, nie widział jej twarzy. Autorka ukrywa swoją tożsamość, podpisując się pseudonimem, bo podobno jest urodzoną w 1986 roku w Gliwicach wziętą wrocławską adwokatką, która wykorzystuje prowadzone sprawy w tematyce swoich książek. Jednak wcale nie ma pewności, czy to nie kolejny kamuflaż potrzebny do wzbudzenia zainteresowania jej pisarstwem.

A ma w dorobku kilka książek poukładanych w cykle, które łączą stworzone fikcyjne postacie lub tematy. Jednym z najnowszych łączników są miejsca akcji, ulokowane nad wodnymi akwenami Górnego Śląska. Paprocany, Sztauwajery to sztuczne jeziora, znane miłośnikom plażowania, i żeglowania. Należy do nich także zalew Nakło-Chechło, utworzony ponad pół wieku temu w wyrobiskach kopalni piasku.

Paulina Świst wykorzystała tylko pierwszy człon nazwy, tytułując swój kryminał „Chechło”. Jednak każdy, kto sięgnie po powieść z nadzieją, że zanurzy się w zdarzenia rozgrywane nad brzegami czy na wodach zalewu będzie rozczarowany. Autorka, zanim uraczy opisami dojazdu nad Costa del Chechło, jak drwiąco nazywa akwen, i wyglądem parkingów, plaż oraz ośrodków letniego wypoczynku, najpierw wodzi czytelników za nos, przedstawiając biurowe życie w urzędzie gminy, kelnerowanie w prowincjonalnej restauracji i barszkowanie w wielkomiejskim apartamencie.

I trzeba przyznać, że zmysł krytyczny autorki, odmalowującej z satyrycznym zacięciem gangsterskie spółki, samorządowe układy, nepotyzm, pozwala przebrnąć przez pierwsze strony powieści, kiedy to poznamy główną bohaterkę. Paulina Makselon, przypuszczalnie drugie ja pisarki, po burzliwych przejściach z mężem zmuszona do rezygnacji z pracy w palestrze, dzięki kuzynowi Wojciechowi Makselonowi, który jest wójtem Świerklańca, podejmuje pracę w Urzędzie Gminy. I to pierwsza rzecz łącząca ją z Chechłem, gdyż gmina zarządza terenem zalewu.

To na raucie przedsiębiorców, robiących szemrane interesy, gdzie bohaterka dorabia jako kelnerka, ma bowiem sporo długów do spłacenia, co zmusza ją nawet do sprzedaży ulubionych markowych szpilek, dochodzi do nagłego zwrotu akcji i znaczących zmian w losie Pauliny. Poznaje przystojnego adwokata Marcina Szewerskiego, można powiedzieć bratnią duszę z podobnymi upodobaniami seksualnymi. Ma się rozumieć zamiast do domu trafia do apartamentu nowo poznanego prawnika na ostatnim piętrze wieżowca na katowickim Osiedlu Tysiąclecia.

W tym momencie narracja książki diamentalnie się zmienia, z lekko satyrycznej w erotyczną. Przez dobre sto stron autorka serwuje opisy sekscesów, przy których

Daleko od Chechła

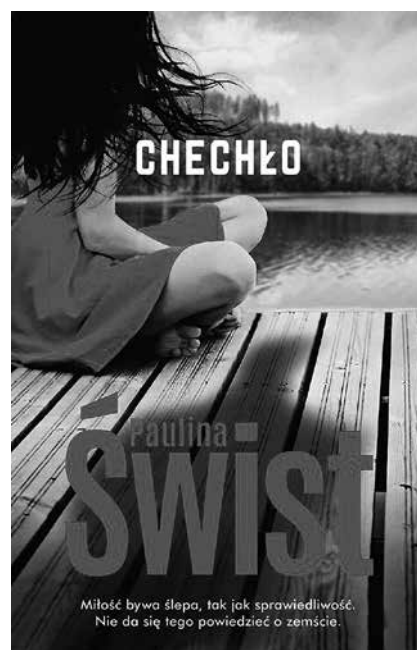
KSIAŻKI

bledną opisy Blanki Lipińskiej, pisarki znanej autorce, bo nawet wspomina w tekście nazwisko literackiej konkurentki.

Ponieważ na narrację powieści „Chechło” składają się głównie monologi postaci biorących udział w wydarzeniach i opowiadających o własnych przeżyciach czy refleksjach siłą rzeczy język ich wypowiedzi jest nader potoczny. Przypomina knajacki żargon, czasami odmianę prawniczej nowomowy czy gangsterskiego slangu. Zaskakuje liczna ilość przekleństw: „Zosia już patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym zajął z kuszy wszystkie renifery świętego Mikołaja i zrobił z nich pasztet. Kurwa, tylko przyzwoitki mi brakowało!” Oprócz popularnego słowa na k... stosowanego jako przecinek pojawia się wiele wulgaryzmów czasownikowych i przymiotnikowych. O ile ma to sens w przypadku konwersacji postaci, dialogi są bardziej przejrzyste, odzwierciedlając zarazem charakter emocjonalny rozmówców, to mija się z celem w przypadku fragmentów analitycznych czy opisie zdarzeń, sphycając ich wartość.

W trakcie seksualnego zauroczenia Pauliny i Marcina trwającego sporo czasu, przy okazji wychodzą na jaw przekręty, w jakie wplątani zostali kochankowie. Planowana budowa sanatorium nad zalewem Chechło, to jedynie pretekst do przejęcia gruntów rekreacyjnych przez gospodarczych gangsterów. W dodatku potajemnie na tereny chronione jeden z biznesmenów wywozi beczki z toksyczną zawartością, aby zutilizować ją w leśnej ściółce. Wśród winowajców jest Dariusz Niemiec, były mąż Pauliny, który wcześniej wrobił ją w kryminalną aferę, długi i zakaz pracy w palestrze.

Leniwie tocząca się akcja powieści ulega przyspieszeniu dopiero po 240 stronach przemienionych narracji postaci, kiedy w wan-



RYSZARD BEDNARCZYK

nie ośrodka wypoczynkowego „Truskawka” tuż przy plaży w Chechle pojawia się trup. Jak na kryminał pisarka kazała długo na niego czekać. „Pochyliłam się i spojrzałam na kompletnie nagiego faceta. W wannie, wybałuszając na mnie przerażone oczy, siedział Bartosz Kowalec. I bez cienia wątpliwości – nie żył”, uświadamia sobie bohaterka zmuszona do obdukcji przez byłego męża, który jest mordercą współnika, i siłą uprowadził ją z mieszkania kochanka nad zalew, żeby pomogła mu zatuszować zabójstwo. Dla Pauliny Makselon to okazja do odegrania się na mężu. „Ja natomiast nie mam żadnych takich znajomości, aby pomóc ci pozamiatać trupa...Przyznaj się, idź na współpracę, wyraż skruchę. Może dostaniesz dziesięć lat”, radzi byłemu małżonkowi.

Po takiej poradzie prawnej Dariusz Niemiec nie topi swojej adwokata w zalewie tylko dlatego, że w porę na pomoc przybywa Marcin Szewerski, wspierany przez znajomego gangstera Lucę. I jak na kryminał przystało, morderca zostaje ustalony i odpowie za swój występki. Cała reszta niedoszłych lub potencjalnych przekrętów pseudo biznesmenów, choć ujawniona nie trafia w młyny sprawiedliwości. Zasluga to adwokatów na usługach firm. Do pełni szczęśliwego zakończenia dochodzi uwolnienie Pauliny od zarzutów i długów, o czym radośnie informuje wrocławska gazeta. Całkowicie bohaterka może oddać się miłosnym igraszkom z kolegą po fachu, na których opisy zamieszczone w kolejnej powieści akwenowego cyklu z niecierpliwością oczekują czytelnicy płci obojga. ■

Paulina Świst, *Chechło*. Wydawnictwo Akurat, Warszawa 2021, s. 316.

Dramat napisany przez autorkę *Wojny polsko-ruskiej* miał swoją premierę w Teatrze STUDIO im. Stanisława Ignacego Witkiewicza, zanim jeszcze ukazał się w formie książkowej. Kusząca wydaje się wizja spotkania na scenie barwnej postaci Davida Bowiego. Niemniej jednak rozpoczynając od spektaklu, rezygnujemy z obcowania z językiem autorki, z eksperymentów stylistycznych oraz ze wzbogacającymi publikację rysunkami Mariusza Wilczyńskiego. Niestety, rysunki – chociaż bardzo dobrze wpisują się w klimat dramatu – po kilkudziesięciu stronach zaczynają się powtarzać.

Barwna postać brytyjskiego wokalisty Davida Bowiego oraz jego podróż z Moskwy do Berlina w kwietniu 1976 roku stała się niemal mityczną opowieścią, ponieważ na krótko zatrzymał się on w Warszawie. To właśnie od niego zaczyna się dramat Masłowskiej.

Nudzący się w pociągu muzyk liczy na kalkulatorze coraz to większe liczby. Ze snu wytrąca go sielski krajobraz łąk oraz dwie pastereczki nawołujące się z oddali. Za takim pejzażem z pewnością można zatęsknić: wieś, pola, zachodzące słońce. Co jednak z Warszawą? Socjalistyczna stolica i realia życia w państwie polskim dają się we znaki. W tym momencie Bowie znika, a czytelnik będzie wypatrywał tytułowej postaci, przewracając kartkę za kartką. Musi jednak uzbroidzić się w cierpliwość, bo oto przed nim ukazuje się rys polskiego społeczeństwa.

W Warszawie poszukiwany jest Dusidamek – złoczynca duszący kobiety szalikiem z napisem „SKI”. To właśnie przez niego plutonowy Wojciech Krętek nie może spać, natomiast jego żona – wręcz przeciwnie – bardzo chciałaby zasnąć.

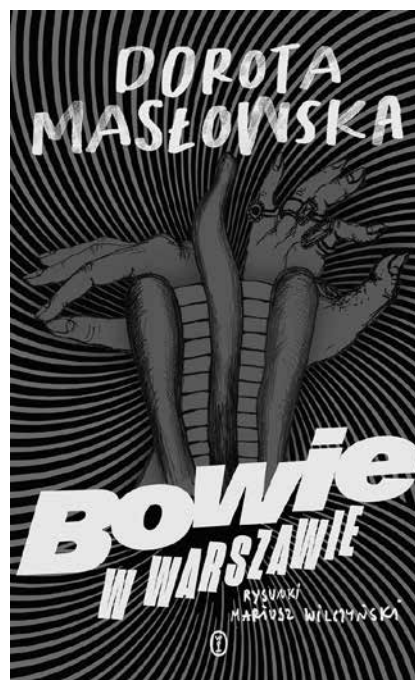
Prócz małżonki plutonowego spotykamy jeszcze wiele kobiet: Reginę, jej matkę, Bogusię, Karolinę, Judytę i Nastkę. W dramacie bardzo wyraźnie zarysowuje się wizerunek kobiet uwikłanych w patriariat, od którego nie sposób uciec – nawet lesbijskie epizody kolonijne Nastki i Judyty nie za wiele zmieniają.

Głównym wątkiem dramatu nie jest David Bowie, jak można by się spodziewać. Nie jest nim także polskie społeczeństwo w czasach PRL-u. To, o czym między wierszami pisze autorka, jest widoczne już na okładce.

Specjalne połączenie i ułożenie rąk wraz z umieszczonymi między nimi ustami kształtem może sugerować macicę. Różowy kolor także budzi skojarzenia z płcią żeńską. „Macica” na okładce jest różowa, tak samo jak różowe są kartki z kolejnymi aktami oraz czcionka, którą napisane są imiona postaci.

Śmiech przez łzy

KSIAŻKI



NATALIA ZIENTEK

Smutny, a nieraz tragiczny los kobiet kryje się niekiedy za komizmem sytuacyjnym lub słownym. Absurdalne sytuacje mieszają się z realiami współczesności, z którymi (niestety) nadal wiele kobiet może się utożsamiać. Czytelnik z pewnością będzie się to uśmiechał pod nosem, to znowu zatrzymywał na konkretnych zdaniach, by głębiej przeanalizować sytuację.

W dramacie odnaleźć można nawiązania do religii, a raczej religijnej predestynacji kobiet do konkretnych zachowań: „Prześliczna Panienska: [...] los twój wódką spisany na potłuczonym szkle. Synowie z wódki zrodzeni, do wódki ciągnęli ich będzie. Lecz kobieta cierpieć musi, a w cichości trudy swe i wódki niedogodności zawierzyć Panu, a On weźmie je od ciebie i tobiez wszystko, co złe, wynagrodzi swojemiż darami. (Owe dary obrazowałyby kilka grzybów leśnych, lekko nadgryzionych przez robactwo)” (s. 72–73).

Bezpośrednio z sytuacją płci żeńskiej wiąże się temat wolności. Regina – główna bohaterka – zdaje sobie sprawę z niewielkiej sprawczości i ze schematów kierujących światem: „W dupie to mam! Nie będę tak żyć. Chodźbym miała zdechnąć! [...] Chcę żyć! A nie wiecznie udawać. Siebie udawać, odgrywać pod dyktando scenariusz tandetnego obrazu” (s. 27).

Styl, którego używa Masłowska, momentami przypomina rap, lecz nie pojawia się on tak często jak w *Wojnie polsko-ruskiej* lub w *Innych ludziach*. Dramat jest bardzo intertekstualny, podczas lektury czytelnik może mieć wrażenie, że gdzieś już słyszał te kwestie dialogowe, nietypowe połączenia

słów mogą wydawać się znajome. Ciekawa jest tu archaizacja i stylizacja na mowę religijną, ponieważ wyróżnia się na tle dramatu pisanego kolokwialnym, nieraz trywialnym językiem.

David Bowie jest tylko pretekstem do przedstawienia panoramy warszawskiego społeczeństwa lat 70. XX wieku. Świat PRL-u nie jest kolorowy, co silnie kontrastuje z postacią artysty. Ale czy zobaczymy go jeszcze w utworze? Tak, bo skoro pojawił się na początku, wypadałoby, aby pożegnał się z czytelnikiem. Muzyk został utożsamiony z grasującym po stolicy Dusibobkiem. Bohaterowie dramatu rozpoczynają pościg, który ma na celu nie tylko ukaranie mordercy, ale rozliczenie się z własną historią, upatrują w nim źródło swoich trosk i problemów. Kompozycja kłamrowa jest zdecydowanym atutem utworu, jednak wątpliwości budzi potraktowanie kultowej postaci. Można uważać, że sama postać niewiele wnosi do całości dramatu... z tym, że nie taka jest jej funkcja.

Społeczeństwo polskie nie jest gotowe na zmiany, nowości, pewną obcość. Jest nieszcześliwe, momentami wręcz tonie w swojej beznadziei, ale gdy pojawia się cień szansy prowadzącej do zmiany – nie dość, że zostaje ona odrzucona, to jeszcze paradoksalnie staje się przyczyną wszystkich porażek i niedogodności. Od lat półwiecza niewiele się zmieniło. ■

Dorothea Masłowska, *Bowie w Warszawie*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022, s. 176.

Już sam tytuł intryguje. *Senny ofsajd* Wojciecha Brzoski zbliża się w swej wymowie do zaszyfrowanego oksymoronu. „Senność” nie przynależy bowiem naruszeniu sportowych reguł, zaś nieco spolszczony literowo „offside” jest zwykle efektem piłkarskiej dynamiki i parcia do przodu, a nie letargu czy senności. Ową poetycką „zagrywkę”, by pozostać przy terminologii sportowej, potwierdza szata graficzna jedenastego tomu poezji śląskiego twórcy. Zdjęcie na okładce Radosława Kazimierczaka, zrobione prawdopodobnie okiem drona lub z wysokiego balkonu, przedstawia zaśnieżone auta na parkingu. Obraz przecina wzorek śladów stóp i czarny prostokąt po jednym z pojazdów. Widać śnieg padał dopiero co, a „meczw” się właśnie zaczyna.

Brzoska lubi zaskakiwać, wytrącać z rutyny i równowagi. *Blisko coraz dalej, Wiersze podejrzone, Drugi koniec wszystkiego* to tytuły tylko niektórych jego zbiorów. *Senny ofsajd*, jak to zwykle bywa z tytułami, został dopowiedziany przez wiersz opatrzoney tym samym tytułem, chociaż w tomiku blisko połowa utworów posiada tylko incipity, jakby nazwanie ich, zmierzenie się z treścią okazywało się dla poety zbyt trudne.

Posłuchajmy: „szemrany plac zabaw przy więziennym murze./ dzieci bawią się w konfidentów i złodziei.// temat lekcji; WYBIEG DLA PSÓW, zapisany kredką na czerwonych ceglach.// po chwili – senny wjazd radiowozu w parkową alejkę, w prezencie/ na pierwszego czerwca.// z dachu – »dyskoteka« dźwięków i świateł.// dzisiaj dzieci po raz ostatni obsiadają policjantów jak szarańcza.// przez megafon wydają / ostrzegawcze komunikaty”.

Skądś znam ten obraz. Przypomina *Zabawy dziecięce* Pietera Bruegla. Ta sama malarska perspektywa. Dzieci bawią się w dorosłych. Brak zabawek, indywidualizujących bohaterów, szczegółów. Za to uchwycone na „gorącym uczynku” życie, jak u niderlandzkiego mistrza, jest etapem „prześciowym” ku dorosłości. Dzieci wkrótce poznają ukryte znaczenie wypisanych na ceglach słów, a gra przestanie być zabawą. Na razie brzmi, dudni „dyskoteka”, a komunikaty są wyłącznie ostrzegawcze. Brzoska – zawodowo związany ze Służbą Więzienną – często uniwersalizuje motywy penitencjarne, nadając im egzystencjalny wymiar, analizując rzeczywistość przed i za kratami, przywołuje paradoksy wolności i zniewolenia. Bohaterowie *Sennego ofsajdu* biorą udział w grze, której reguły nie do końca są dla nich jasne, ludyczność sceny pochmurnieje, a „szemrany plac przy więziennym murze” ociera się o metafizyczny wymiar.

Senny ofsajd 2, zamieszczony kilka wierszy dalej, wypełnia już nieco inna oniryczna barwa. Sytuacja liryczna zostaje wzięta ze snu nastolatka, który spada. Jednak i tutaj w jakimś sensie świat jest widziany „na opak” i „zwrotnie”, bo: „nie po-

Między nami

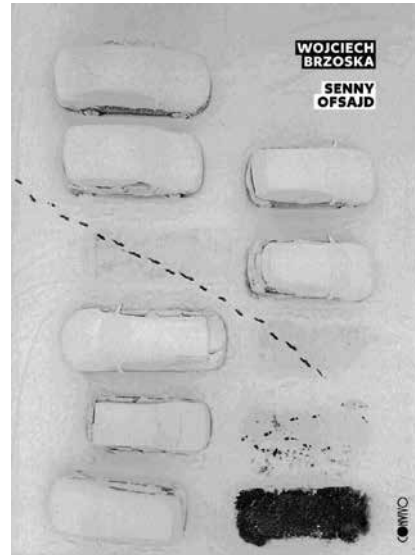
KSIĄŻKI

PIOTR SKOWRONEK

trafisz znaleźć odpowiednich słów/ dla swoich strachów.// zamiast skakać z balkonu./ zaczynasz latać.// machać rekami na to ziemskie/ przyciąganie. // na jawie wszystkie przepaści/ odwrócone są do góry nogami”. Ta kolejna senna „zagrywka” pokazuje nam możliwości poetyckiej wyobraźni, która potrafi postawić ostry kontrpunkt rzeczywistości, nie zawsze grając „fair”, za to obrazując jej nonsensy. Gra dotyczy również pierwszego tematu książki – miłości.

Autorki skrzydełkowych blurbów podjęcie tego, starego jak sama poezja tematu, traktują jako ważny poetycki chwyt. Marta Podgórnica napisała: „dostajemy to, na co przygotował nas chłodny wychów przedstawionego świata: opowieść o miłości i o rozczarowaniu; sami musimy wyważyć proporcje”. Anna Cieplak dodała: „Tak jak Brzoska »wczoraj był majorem, poetą/ a nawet świętym/ mikołajem na telefon«, tak jego wiersze mienią się barwami: roztapiają miłością, bolą załamaniem rozstania, wkurwiają Polską, niepokoją samotnością, prześwitują wojną, pulsują nieprzewidywalnością jutra”.

W odbiorze krytycznym i czytelniczym obok „uczuciowego” tematu podkreślona została wspólnota doświadczeń z bohaterem tekstów. Nie mamy bowiem wątpliwości, że ów bohater daje nam się poznać miękawko, w różnych stanach swojej uwagi, tonacjach dobytých głosów, wosbnie i na zewnątrz, z góry, z boku, i w wielu innych wyśnionych konstelacjach. Tom spaja bowiem właśnie owo – rozpisane na wiele partytur – wyznające (konfesyjne), kochające i prowadzące z nami grę poetyckie „ja” Brzoski. Jest przewrotnie, słodko, błogo i strasznie, wszystko na raz i wszystko z osobna, bo: „biały piesek »snowy« po jesiennych liściach/ ucieka do zimy – już go nie dogonimy podobnie jak// miłości.// nawet jeśli na przekór w święto zmarłych/ wybierzesz się do jej centrum –// będą



tam królować korespondencje pośmiertne.// a potem, w środku nocy, na schodowej klatce/ zobaczysz odwrócony do góry słowami napis:// kocham cię”.

Nie wiem dlaczego, ale wobec takiego „pierwszego zagrania” słyszę w uszach *Rosemary's Lullaby* Komedy i coś każe mi być niezwykle czujnym i rozglądać się skąd nadleci „piłka”. Oryginalność poezji Brzoski wydaje się być budowana na podsycanym w nas niepokoju i braku przewidywalności, zaś nieoczywiste obrazy w swojej emocjonalnej warstwie odkrywają w nas w jakimś sensie pokłady wspólnych przeżyć. Kto z nas nie mógłby powtórzyć: „martwy ciąg między nami/ nie do uniesienia.// same zatrzymanie/ przegnębienia.// wciągnij jakby w pół drogi/ do wspólnego życia.// każde z nas ma swoje/ ciężary.// każdego dnia razem/ ważą więcej”. Brzoska po prostu za nas, a raczej razem z nami w naszej i jego wyobraźni, szuka języka, obraca w palcach słowa, gra nimi, by rzecz dobrze nazwać, przyspilić, uchwytać, a nawet „wyflaczyć”, zawsze z pazurem, na przekór, po swojemu. Widać to wyraźnie w wierszu o wieloznacznym tytule *Losy*: „zwitki słów w prezencie od ciebie/ do porannej kawy.// najbardziej cieszę te wobec mnie/ nieużywane.// od kilku dni wyjmuję je co rano/ z cukiernicy i wkładam do kontaktu/ jak baterie do doładowania./ wczoraj wylosowałem miłosne wyzwanie./ nad ranem zapukała cudza śmierć”. Końcowy akord, swista pointa ma w sobie coś z gwizdka sędziego, który odgwiszduje metafizycznego „spalonego”, bo przecież zawodnik brał/ bierze „czynny udział” w grze? ■

Wojciech Brzoska, *Senny ofsajd*.
Wydawnictwo CONVIVO, Warszawa
2022, s. 58.

P*ety i petardy* – najnowsza stustronicowa publikacja Roberta ‘Milorda’ Kowalskiego to studium odzierania myśli z balastu wyrazów. Pierwotnie snuć się musiała za autorem, niczym cień za wędrowcem; snuła się, szantażując skondensowanym pragnieniem przynależności do zbioru zdań, szkiców, uwag ważnych i przenikliwych. Tymczasem ową myśl dostrzegł i dopadł surowy asortyment narzędziowni świata pracy. W pierwszej kolejności trafiła – całkiem elokwentna – między okładziny bezdusznego imadła. Otrzymaliśmy przekaz tyleż lapidarny – co mocny, twardy, tyleż przewidywalny – co zaskakujący. Z dziką satysfakcją konstatuję, że książkę przyjąłem w całości na pokładzie niebieskiej strzałki podczas podróży z Gliwic do Katowic. Zapoznawszy się z nią, umieszczam jej tytuł w dzienniczku prywatnych lektur pod nagłówkiem działu: przygód prawie bezbolesnych i w wielu miejscach zabawnych. Śmieję się, uśmiecham? Uprzedzając pytanie, zapewniam, że ani myślę drwić sobie z inteligentnych petów, petard, zapalów! Ani zamierzam, ani myślę, ani też... Nie tym razem, zostawmy spodziewany, wysoce przewidywalny dopisek na koniec, nie psujemy, nie rozbrajamy efektu zaskoczenia.

Bezbolesne i zabawne. Pierwszy epitet dotyczy objętości, drugi bezpośrednio czytelniczej reakcji. Czegoś takiego właśnie oczekiwaliśmy i oczekujemy od wyznaczników gatunku; wymagamy tego od dzieł arcy mistrzów, średniaków oraz sumiennych czeladników powolnych surowym regułem receptu. Krótko i zabawnie. Gdybyż tak można było całą książkę z krótkich i zabawnych zdań zebrać, złożyć, wydrukować. Mam na myśli książkę z zarazem obszerną i zagęszczoną. Tymczasem, ktoś z apoplegią dopowie, czegoś takiego ani w naturze, ani tym bardziej w kulturze nie znajdziesz. Szukając dzieła utrzymanego w tym kimacie, zachowałbym się jak meloman wymagający od sonaty treści składającej się wyłącznie z dźwięków. Tymczasem warto przypominać, że o unikalnym pięknie utworu świadczy także interpunkcja, optymalnie zastosowane fermy, udany suspens, przejścia, solówki, pasaże, kontrapunkty.

Książka Roberta ‘Milorda’ Kowalskiego dowodzi zastosowania wyższej świadomości reguł. Jedną z przewidywalnych zasad jest gotowość podejmowania delikatnej modyfikacji strukturalnej. *Novum* zastosowanym przez Kowalskiego jest ukazanie właściwej hierarchii, czyli powagi, sztyku, znaczenia i piękna w obrębie katalogu języków europejskich. Za sprawą tłumaczeń Magdaleny Iwińskiej oraz Katarzyny Kwapisz-Osadnik, tłumaczeń wybitnych czy, jak drzewiej pisano: kongenialnych, zaufano procedurze powrotu do gradacji najbardziej odpowiedzialnej i najwłaściwszej. *Kurica* nie *ptica* – zaczepny europejski dudziarz, nade wszystko u nas: w Pomezaniu i na Śląsku. Nie z każdego peta petardę utoczysz, osobliwie zaś zdolną palca

Krótko, Najkrócej

KSIAŻKI

urwać, nie każdy pet pamięta jak papierosem był, ale wszystkie bez wyjątku sprawdzają się w roli strażnika ładu jak z obrazka. Wskazaną zaletę wybitnej książki kojarzymy z przykładami literatury konkretnej. Mam na myśli konkretność w rozumieniu podwójnym! Oto dowód: „Jak witać gościa, / gdy nie ma progę?” (s. 47).

Robert ‘Milord’ Kowalski odniósł się do obrazowej oczywistości sięgając po konwencję pytania retorycznego. Za chwilę uwagę na podobny temat podtrzyma i określi dosadniej niż problem na to zasługuje: „Dziesiątki lat wygody i pokoju / zabiło instynkt samozachowawczy / naszej europejskiej cywilizacji” (s. 53).

Pozbawiony sąsiedztwa pogląd mógłby u co wrażliwszych wywołać uczucie onieśmienia; sugestią, że jedyną ofiarą przywiązania do wygody i pokoju jest „śmierć” instynktu. Stanowczo niska cena, wszak konsekwencjom ewidentnej straty mogłaby zaradzić instalacja odpowiednika inteligentnej forticy. Nie musimy się bić, wystarczy z nadatkiem zapłacić za ochronę. Skoro wygoda wypadła z rozpędzonych sanek a pokój zamieniono w teatr działań, żadnym nie będzie odkryciem, że oczywistość, przemielilo doświadczenie nieodwracalnej zmiany. Bez sąsiedztwa zdań rozpraszających marazm ponurego nastroju groziłby nam bezbrzech drzemki; przepadałaby bezcenna szansa z kręgu skutecznej aktywności. Jeśli miałyby ponownie przepaść, niech się to dzieje w duchu szczerości wyzbytej koloryzacji: „Mowa srebrem, milczenie złotem... dość! / Gdy milczałem, to milczałem!” (s. 55).

Pety i petardy to zbiór aforyzmów, którego najdrobniejszy element kształtuje obraz całości dzieła. Kompetencje rzeczy najmniejszych podniesione zostały do maksimum możliwości. Przyglądając się okładce, rozpoznamy gest zapowiadający intencję całości. Urodę i logikę odsłonią liczne przeja-



GRZEGORZ HAJKOWSKI

wy. Wygląd okładki wypowiedź o cechach tłumaczących przesłanie. Tworzenie aforyzmów to sztuka stawiania kopki nad „i”. Kropka, ilekroć ktoś ją znajdzie, tylekroć utwierdzi się w przekonaniu, że autor zamierza obficie korzystać ze skrótów wiodących do sedna wypowiedzi. Nadpalony łąpek zapalki w roli poszukiwanej kropki zawiera informację o stanie świata. Sensu jako takiego w nim tyle, ile na upalonym czubku. Na tym się nie kończy sztuka „obrazowania”. Przyjrzyjmy się innej ostentacji, czyli sposobowi zamieszczania wytłuszczonych zdań polskich w konfrontacji z wychudzoną, skromną postacią tłumaczenia tegoż na angielski i francuski. Na mnie robi wrażenie brak tłumaczeń na inne w języki. Nie ma ich. I nie będzie, choć placu sporo. To znak czasu – przejrzysty i wymowny. Pozostaje żywić przekonanie, że czytelnik wie, o jakich językach myślę, że tym razem nie chodzi ani o bułgarski, ani o szwedzki.

Powstało dzieło powierzchownie i przejmująco konkretne. Powierzchnownie, czyli precyzyjnie zaprojektowane i pieczołowicie dopilnowane. Bez tego otrzymalibyśmy książkę rażącą brakiem spójności. Przejmująca konkretność dotyczy treści. Przeważają zdania potwierdzające dowody gościnności. Autor zapewnia, że nawet myśli słabej można nadać wdzięk. W takiej sytuacji o jej słuszności decydować będzie surowy rymsztunek. *Pety i petardy* wyłoniła pewność, że jeśli zachowamy hierarchię, wdzięk, blask i gitarę, to nawet uzbrojoną żabą skutecznie polem wroga pogonimy. ■

Robert ‘Milord’ Kowalski: *Pety i petardy*. Świeże – Wtórne – Mądre – Durne. W przekładach Magdaleny Iwińskiej i Katarzyny Kwapisz-Osadnik, ZLP, Olsztyn 2023, s. 101

Ze starych i nowych przyokazyjek (4)

MAREK PIECHOTA

[Remerciements et satisfaction]

Burgund¹ mi rozjaśnia głowę:
Nie każdemu Bóg dał dar –
Chciałbym tak malować (słowem),
Jak Pierre Augusté Renoire!

Pewnie bym się nie ośmielił,
Ale Kraków, burgund, wena –
Więc dziękuję siostrze Eli²
Za Moneta i Gauguina.

Kraków, 1 lipca 2001 r.

¹ Ulubione wino Adama Mickiewicza. Szczep Pinot Noir – kolejny, niedoceniony przez badaczy aspekt „czarnego romantyzmu”.

² Tekst na karcie wstępu na wystawę „Od Maneta do Gauguina. Impresjoniści i postimpresjoniści z Musée D’Orsay w Paryżu”. To prezent mojej siostry Elżbiety Thune na 25-tą rocznicę naszego ślubu z mą Małgosią. Późnowieczorne zwiedzanie w Muzeum Narodowym w Krakowie poprzedzała degustacja francuskich serów i win w namiocie rozstawionym przed wejściem – uczta dla oczu i podniebienia, której wspomnienia czas nie zmienia.

Uroki transakcentacji

Zachwyam się maksymą tą⁴:
„Jak cię widzą, tak cię piszą”...
Zoczyłem rano auto Renault
W kolorze musztardy z Dijon.

Tarnowskie Góry, 25 listopada 2022 r.

⁴ Gdyby ten wierszyk nie był metalingwistyczną epifanią, a dygresją w obszerniejszym poemacie, mógłby go poprzedzać wers: *Lecz revenons à nos moutons* [‘wróćmy do naszych baranów’], bo ładnie współbrzmi zwłaszcza z Dijon. Cytat pochodzi z *Farsy mistrza Pathelena* (nieznanego autora franc. z ok. 1464 r.). Mógłby, ale to fraza pospolita w sztuce konwersacji i esyście raczej niższego lotu.

Na wyjeźdym³

Bociany już odleciały
I na nas przychodzi pora –
Tradycja to dobry nawyk.
Za oknem zmierzcha wrzesień,
Kot mruży: „Idzie jesień”,
Kres każdy ma coś z wieczora.

Układam na dnie walizki
Ubrania – po warstwie warstwa.
Wyjazd – jak co rok – bliski,
Znów lekko drżą mi ręce,
Lecz miejsca coraz więcej
Zajmują konieczne lekarstwa...

Tarnowskie Góry, schyłek września 2022 r.

³ Sądziłem (miałem nadzieję), że wymyśliłem strofę sześciowersową o wyrafinowanym układzie rymów abaccb, czyli wariantu klasycznej sekstyny ababcc. Komputer jest „potwornym” urządzeniem, a Internet bywa przekleństwem współczesności. Bez trudu znalazłem, a raczej to on mnie znalazł, tekst z lat 60-tych ubiegłego wieku omawiający liryki Jana Lemańskiego (1866–1933), satyryka i bajkopisarza, bliskiego współpracowników „Chimery”, z tomiku *W kraju słotca* (1919), a tam sonety, w których dwie tercyny bywały zapisywane w wersji jednej sekstyny o takim właśnie układzie rymów: abaccb. W przyrodzie, w książnicach, nic nie ginie, poza tym, co spłonie. Odkąd mamy Internetową chmurę nad nami, dopóki jest elektryczność. Moje *novum* polega na tym, że sekstyny Lemańskiego są (tak decyduje wzorzec sonetowy) równozgłoskowe, rytm moich jest też aluzją do rytmu pięciowersowego limeryku, w którym wersy trzeci i czwarty rymowane bb są krótsze (tak moje czwarty i piaty rymowane cc). Nie była to inspiracja eksperymentami formalnymi poety Młodej Polski, a podobieństwo jest przypadkowe.

Charon i włoscy bariści

W życia wędrówce, za połową czasu...
(Dante, *Pieśń I*, w. 1)⁵

Rzecz pełna dramatu i zarazem banalna:
lada chwila wypadnie się przekonać,
jak niewygodna i nieodwracalna
jest łódź Charona...
Akt z pewnością – kolejny debiut – nieśmiały,
wsiadę z obolem w garści obolały cały.

Osobna sprawa,
że coraz trudniej znoszę
reklamowe spazmy
w rodzaju „Prawdziwa włoska kawa!”,
atakujące mnie z udomowionej płazmy
w mojej siedemdziesiątej wiosnie,
a przecież kawa, o ile się orientuję,
we Włoszech nie rośnie.

Z krótkiego rekonesansu w Internecie wynika:
jeśli interesuje cię oryginalna, nie kopia,
o aromacie i smaku *arabica*,
krajem pochodzenia tych ziaren
powinna być bezdyskusyjnie Etiopia.

Oczywiście w grę wchodzi poza potomkinią Abisynii
inne kraje, ale prawda jest taka,
(żaden marketing niech cię nie omami!),
że uprawa kaw nie udaje się poza zwrotnikami⁶
Koziorożca i Raka.
Zatem, jako się rzekło, w grę wchodzi inne kraje:
Ameryki (południowa i obszary bliższe środka),
równie smaczne i aromatyczne
ziarna spotkasz –
jeśli ulegniesz cenie lub modzie –
na Dalekim Wschodzie.

Nad kolejnym wątkiem dobrze się namyśl:
Nawet jeśli weźmiesz pod uwagę
wszystkie do mokki utensylia
et alia kawowe paraferalia⁷,
wiele krajów może ci przyjść na myśl,
ale nie Italia.
Nie Toskania czy Romania-Emilia⁸,
nie Kampania czy inna Sycylia.

Sądziłem, że moje rozumowanie każdy poprze,
„Aliści – dopowiada żona, jak zwykle
mym myślom w poprzek –
są jeszcze włoscy bariści...”⁹

Tarnowskie Góry, 1 kwietnia 2023 r.



⁵ Dante Alighieri, *Boska Komedia*. Przeł. E. Porębowicz. Wyd. 6, Warszawa 1990, s. 25. Drobne odstępstwo od oryginału, który brzmi: „W życia wędrówce, na połowie czasu, (...)”.

⁶ Wiem to, nie wydaje mi się!

Trudno oprzeć się pokusie,
by umieścić w przypisie
anomalie:

uprawy kawy (w innej niż *arabica* odmianie)
udają się także poza zwrotnikami –
na południu na Mauritiusie,
na północy zaś na Tajwanie.

⁷ To pochodzące z jęz. greckiego (od *parápherna* 'posąg') słówko opasły i zacyjny dykcyjnik objaśnia następująco: „1. «rzeczy osobiste; akcesoria, wyposażenie» 2. arch. «majątek osobisty mężatki wnoszony w posagu»” (*Wielki słownik wyrazów obcych PWN*. Pod red. M. Bańki, Warszawa 2003, s. 938). Mamy tu więc metaforyczną sugestię spojony z uosobieniem kawy – młodość, dziewczęcość, period „na wydaniu”...

⁸ Italio, wybacz tę inwersję – zdradę Rzymu dla rymu.

Poeta rymuje, jak potrafi,
drwiąc sobie czasem z geografii.

⁹ Pogląd to nie dość dotąd rozpowszechniony,
że większość baristów pochodzi,
jak twierdzą młodzi,
z ukochanego miasta renesansowej królowej Bony.

Karol Wieczorek – malarstwo

TADEUSZ NYCZEK

Karol Wieczorek jest spełnieniem modelowym superkatowiczana. Z miłości do wypełniania świata sztuką zrealizował tak ogromną ilość obrazów, rysunków, grafik, kolaży, montaży czy jak to jeszcze nazwać, że mógłby nimi obdzielić kilku zwyczajniejszych artystów. Dotknął każdego bodaj materiału malarskiego, łącznie z malowaniem na starych walizkach i powłóczkach poduszek. Większość tych obrazów-ryunków to dzieła nadzwyczajnego, misternego kunsztu, choć przecież nie on, kunszt, był ich celem. Istotą tej roboty jest bodaj to, co kiedyś Wisława Szymborska nazwała „radością tworzenia”. Wieczorek zdaje się być absolutnie wolny w tym co robi, a malując czy rysując rzeczy najzupełniej realne oraz najzupełniej wymyślone, skutecznie umyka szufladkom, klasyfikacjom, doktrynom i tak dalej. Zwykła martwa natura sąsiaduje tam z portretem ulicy, cyrk z wnętrzem smutnego pokoju w bloku, gdzie nieletnia, naga dziewczyna gra na gitarze.

Całość tego Wieczorkowego świata napiętnowana jest pewną groteskową deformacją, jakby ironiczno-gorzkiem skrzywieniem ust. Nawet absolutne piękno przedstawia się artystycznie jako potencjalnie chore. Zza każdego, nawet najbanalniejszego przedmiotu może wysunąć się twarz diabła. Nie przypadkiem Wieczorek — mistrzowsko — zilustrował Mistrza i Małgorzatę Bułhakowa.

A przecież Katowice to tylko punkt wyjścia, baza sztuki i życia Karola Wieczorka. Już sto metrów dalej w dowolną stronę za rogatkami miasta sztuka ta staje się własnością świata, mówi wieloma językami czytelnymi wszędzie, gdzie zechciałaby być wysłuchana.

Świętny, skupiony, poważny artysta.

MONIKA MAŁKOWSKA

...sztuka Karola Wieczorka jest tak osobna, że zagubiła się pomiędzy współczesnymi nurtami i tematami. Ale, gdy się na nią trafia — albo się ją całkowicie odrzuca, albo się w nią wpada, zapada.

Myszę, że największym komplemtem dla artysty jest nieobojętność odbiorcy. Bo zimna, zmajstrowana według bieżącej koniunktury sztuka może doczekać się — i na ogół tak się staje — omówień ze strony krytyków, równie zimnych i formułujących swoje wypowiedzi wedle tego, co wypada, co się sprzedaje, co jest dotowane przez instytucje...

A prace Karola Wieczorka są antytezą modnych, kosmopolitycznych postaw. Ani to rzecz o gender, ani o feminizmie, ani o emigrantach. To twórczość o kondycji człowieka. Współczesnego, lecz także — niejako — bez ukorzenienia, bytującego poza czasem, poza terenem.

Mówią: autor typowo śląski. Niczego takiego nie zauważam.

Wieczorek to reinkarnacja (kontynuacja?) Jana van Eycka, Matthiasa Grunevalda, Albrechta Dürera, Francisco Goi, van Gogha, Fridy Kahlo. I wielu innych, którzy dostrzegali ból bliźnich i nie bali się przełożyć ten niewdzięczny temat na sztukę. Nieistotne, czy był to twórca ze średniowiecza, renesansu, wieku XIX, czy bieżącego stulecia.

Bo u Wieczorka czas został utopiony w... ciągłym braku. W niedostatku — uczucia, pieniędzy, urody. W oczekiwaniu. W nadziei i jej upadku....

IRMA KOZINA

Świat obrazów Karola Wieczorka, to świat w którym średniowieczny Bóg chrześcijański dawno już został pożegnany, to świat postnietzscheański stawiający przed człowiekiem zadanie wypracowania nowych wartości, odpowiadających specyfice współczesnych mu czasów.

Łącząc sztuki plastyczne z wątkiem apolińskim Friedrich Nietzsche przypisywał malarzom dążenie do upiększania rzeczywistości, wprowadzanie sztucznej harmonii i fikcyjnego porządku, konstruowanie pozornej idylli — diametralnie odmiennej od życiowych realiów, na tyle wyidealizowanej, by stawała się ona ułudą umożliwiającą łatwiejsze znoszenie konfrontacji z doświadczaniem codzienności. Tymczasem pozbawione apolińskiej iluzoryczności, nierzadko werystyczne, czy nawet podane turpistycznej deformacji kształty kre-

owanych przez Karola Wieczorka zwierząt i ludzi dowodzą, że także w malarstwie i rysunku można oddawać hołd — uznanemu przez Nietschego za prawdziwsze oblicze rzeczywistości — wątkowi dionizyjskiemu, w którym człowiek zmuszony do wyzbycia się lęku przed realnym życiem jest przede wszystkim ciałem, a rozum jedynie wspomagającym to ciało w realizacji zdefiniowanego teleologicznie życiowego planu. Niemi bohaterowie w przedstawieniach katowickiego artysty wzrokiem i gestem informują, że ich losem jest zmierzanie się z nieuniknioną koniecznością hartującą ducha dążącego do wolności pojmowanej, jako stan, w którym wszystkie wybory i decyzje dokonywane są w sposób niezawisły i świadomy. W tak zdefiniowanych ludzkich zmaganiach z realnością, zło i dobro nie są kategoriami ustalonymi raz na zawsze, lecz poddane zostają relatywizmowi określanemu każdorazowo przez jednostkowe cele.

...W świecie Wieczorka potencja realizacji celów wolnej jaźni jawi się już nawet w sposobach istnienia właściwych takim stworzeniom, jak mysz, mucha, czy motyl... Te byty — pomimo swej kruchości i efemeryczności — nie pozwoliły się człowiekowi okiełznać i dana jest im możliwość zachowania pełnej niezależności w prowadzeniu życia nierzadko pozostającego w sprzeczności, lub nawet szkodliwego dla habitatu przenikniętemu zamysłami formułowanymi przez dążący do zniewolenia przyrody gatunek ludzki. ■

Karol Wieczorek – urodzony w Bytomiu w 1949 roku. Studia: krakowska Akademia Sztuk Pięknych, Wydział Grafiki i Malarstwa w Katowicach

Dyplom 1972 z wyróżnieniem i medalem.

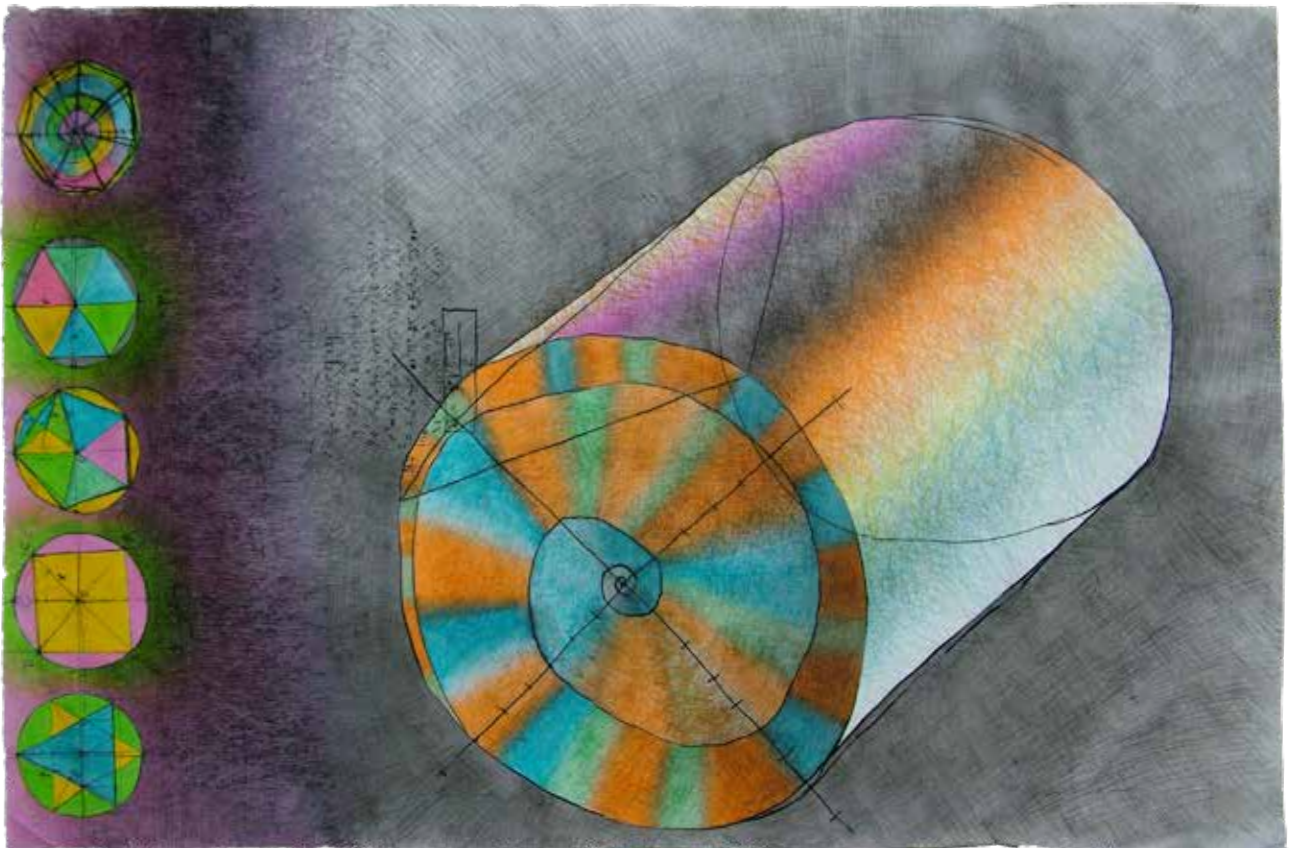
W latach 1974–1976 i 1989–1990 stypendysta Funduszu Rozwoju Twórczości Plastycznej Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Zrealizował 17 wystaw indywidualnych w Katowicach, Krakowie, Warszawie, Cieszynie, Nakle Śląskim i Paryżu. Udział w kilkudziesięciu wystawach sztuki polskiej w kraju i za granicą, m.in. w: Paryżu, Wiedniu, Bratysławie, Pradze, Koszycach, Budapeszcie, Moskwie, Berlinie, Düsseldorfie, Darmstadt, Barcelonie, Madrycie, Ystad, Göteborgu, Dessau, Nowym Jorku, Kuwejcie.

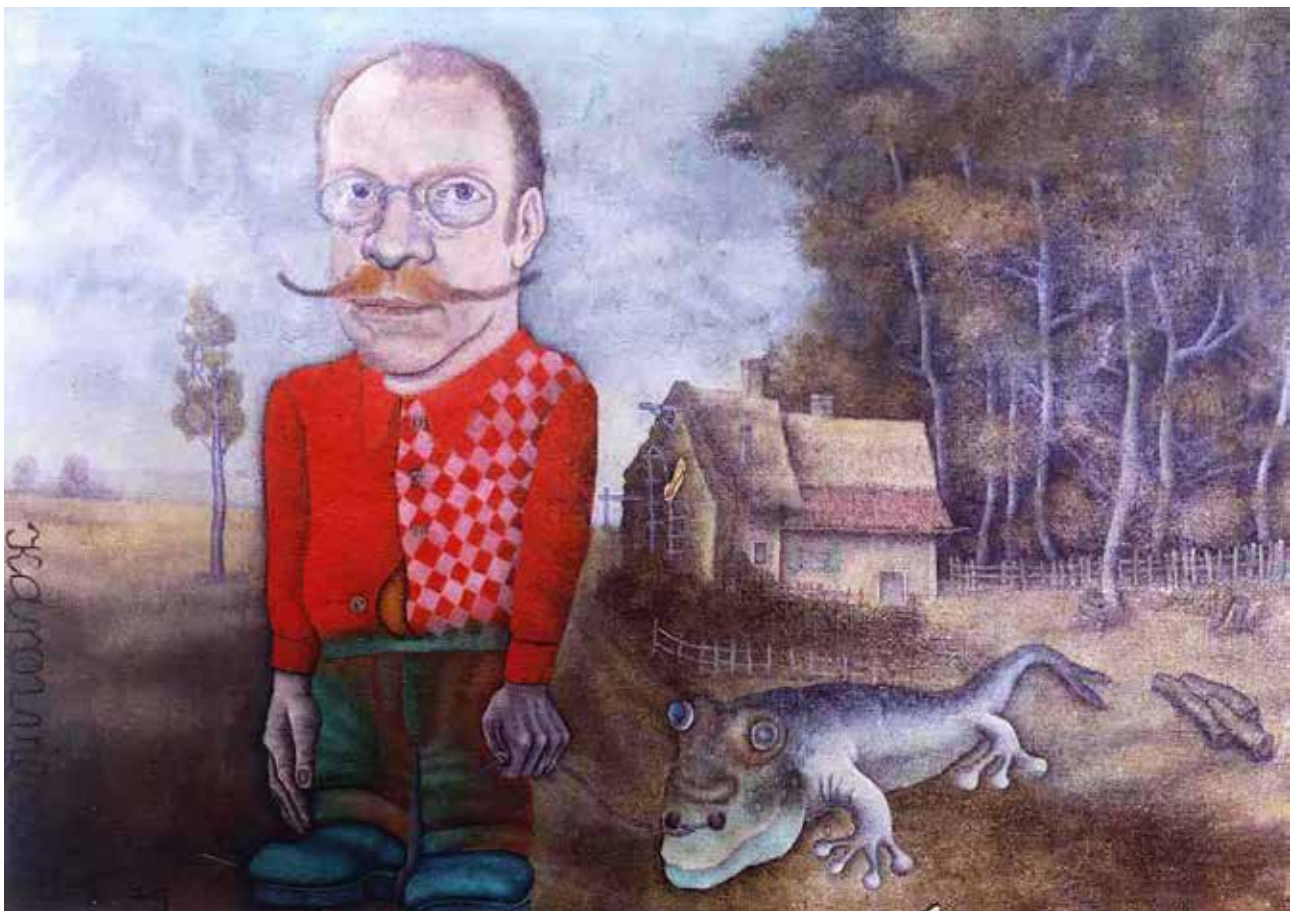
Brał udział w aukcjach sztuki polskiej w: Palais Gallerie, Espace Cardin, Targach Sztuki Współczesnej „Fiac” Grand Palais w Paryżu.

Nagrody na wystawach okręgowych, nagroda w ogólnopolskim konkursie na okładkę miesięcznika „Polska” 1972, wyróżnienie i nagroda na Salonie Zimowym „Radom 81”, dwa srebrne medale i dwa wyróżnienia na Bielskich Jesieniach, wyróżnienie na Międzynarodowym Biennale „Wobec wartości”, nagroda Grand Prix International d’art Contemporain de Monte Carlo, nominacja do Paszportu „Polityki” w 1993 r, I nagroda na Ogólnopolskim Triennale Autoportretu w Radomiu 2006, nagroda na 3 Międzynarodowym Konkursie Rysunku – Wrocław 2006, nagroda na Ogólnopolskim Triennale Grafiki 2006, nominacja do „Cegły Janoscha 2007”

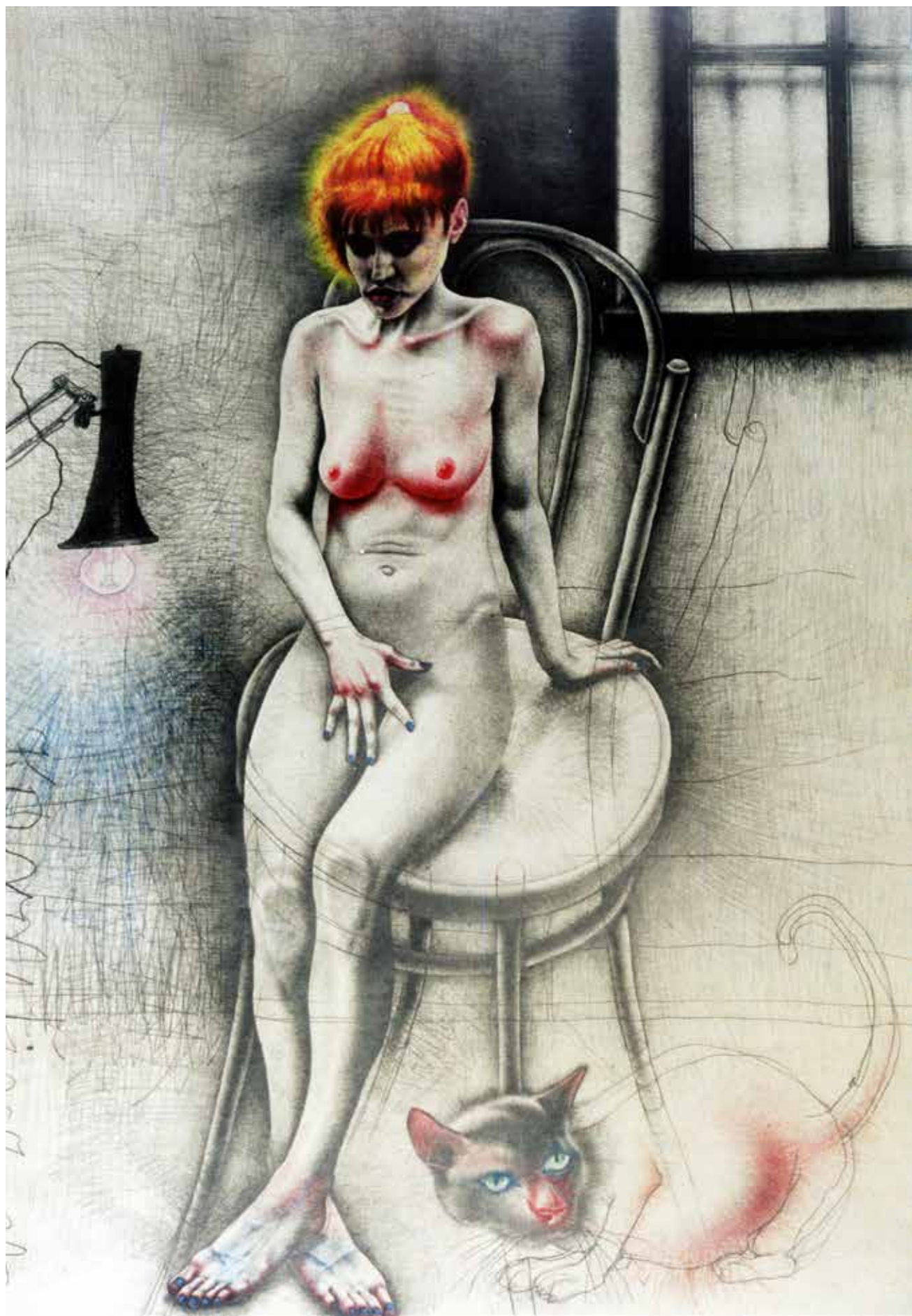
Prace w zbiorach: Muzeum Narodowe w Krakowie, Muzeum Śląskie w Katowicach, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, Muzeum Historii Katowic, BWA – Katowice, Biblioteka Narodowa w Warszawie, Muzeum Okręgowe w Bielsku Białym, a także w zbiorach prywatnych, między innymi w Paryżu, Berlinie, Dubaju, Londynie, Warszawie i Nowym Jorku (m.in. w kolekcji Woody Allena).



ZAWIJAS kredka, ołówek 1995



KROKODYL olej 1976



KOT ołówek 1992

móha



MÓHA olej, techn. wł. 2014



ŚWINIA olej 2014



OBRZYDLIWOŚĆ 2 olej 2014

C.G. Jung i ja

C.G. Jung w swojej *Czerwonej księdze* pokazuje swoje wizje rojenia i sny dokonuje indywidualizacji i integracji różnych części osobowości ja też mam bujne sny które są syntezą przeszłości i teraźniejszości różnych trudnych przeżyć wysiłków a nawet porażek i obaw błędę w labiryntach „ja” (np. korytarzy pokoi i biur) dokonuję odkryć (związanych np. z odkryciem antycznych ksiąg ukrywanych przed nazistami) podziwiam piękno (np. malowideł S. Dalego na murku budynku szkolnego) odczuwam dojmujący smutek (np. gdy nie potrafię nauczyć się j. angielskiego w szkole wyższej) więc wypłakuję się koledze w rękaw gdy odczuwam bezsilność i rozpacz ja też dokonuję indywidualizacji i integracji osobowości i doświadczeń choć codziennie rozbija tę jednię moje życie: to praca dla każdego na całe życie.

Ja i wartości czyli trzeźwe spojrzenie na świat

bezsensowny i bezcelowy samorozwój? dialog wewnętrzny ja-ty zmienia się w dialog uniwersalny ja-Ty; pustka duchowa? brak właściwej analizy intelektualnej i rozpoznania? pragnienia i tęsknoty są ślepe bo prowadzą do miłości destrukcji siebie i innych – trzeba korzystać z wolności: odrzucenie innych w celu samostanowienia; odrzucenie odpowiedzialności i niebranie niczego ponad własne siły; nabranie do świata większego dystansu a gdy rola obserwatora nie wystarcza? nie być zatroskanym ale pozostać niezakłamanym; godzić się ze sobą i ze światem; samoposiadanie; nie przesadzać z otwartością – być bardziej zamkniętym; zachowywać się stosownie do swego wieku; być bardziej powierzchownym a nie głębokim; nie krzywdzić nikogo; nie poszukiwać nowego; nie wiązać się uczuciowo z nikim; bardziej dbać o zdrowie i spokój; nie angażować się; nie ocalać innych lecz siebie samego; nie przeżywać; mieć nadzieję mimo bycia między życiem a śmiercią; rezygnacja bez rozpacz.

O odbiorze moich wierszy

czytelniczki i czytelnicy mojej poezji piszą mi że piszę prawdę gdy pokazuję chamstwo i brutalność w życiu społecznym piszą mi że mam dużą wrażliwość w tej sprawie ale są wyjątki w odbiorze tej poezji otóż to co większość potwierdza inaczej odbierane jest przez p. J. a mianowicie twierdzi on że nie mam racji i że to jest akurat słabe czyżby p. J. nie miał wrażliwości i współczucia dla ofiar takich sytuacji w tym dla mnie samego on uważa że wszystko jest w porządku że nikomu nie dzieje się żadna krzywda otóż nie wszystko jest w porządku i wszyscy o tym wiemy.

Pies

rwał się do mnie pies – ja mówię do niego: „co chciałeś piesku?” a on nic podałem mu wierzchnią część ręki do powąchania a on powąchał z lekkim niezadowoleniem więc ja pogłaskałem go po głowie on brązowej maści na głowie przyjął to z flegmą („brąz-zową” bo ja już kiedyś zauważyłem że brąz to flegma) i z umiarkowaną obojętnością (widocznie pies jest spokojny) dobrze? dobrze.

Sapere auso.

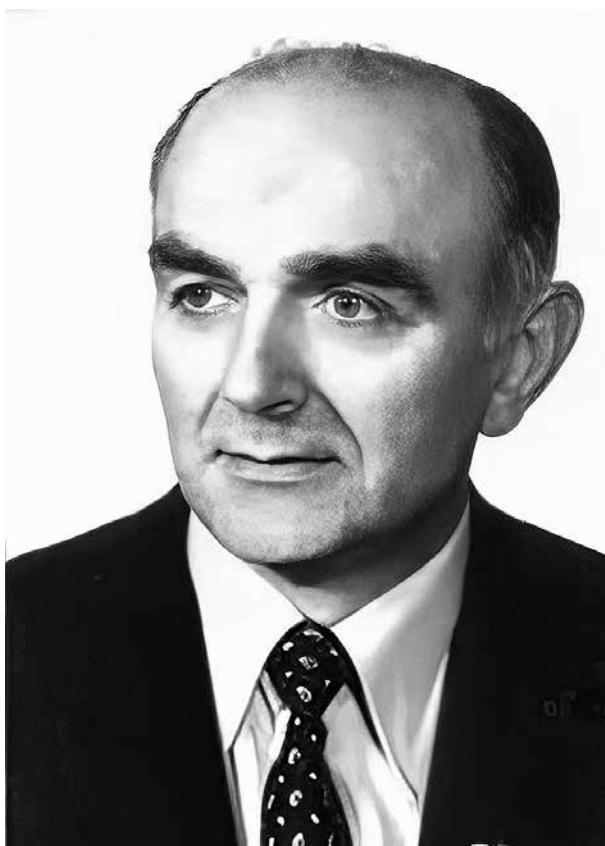
O Włodzimierzu Kolmanie

ROMAN WYBORSKI

Rzecz o kilku Kolmanach w jednej osobie „odważnej mądrością”, jak można rozumieć łacińską dewizę sprzed 250 lat na medalu, którym JKM Stanisław August uczcił osobę i dokonania skromnego pijara ks. Konarskiego, giganta acz jednego z wielu odnowicieli wychowania, priorytetu trzech dekad ostatniego pokolenia królewskiego i państwowego dramatu Rzeczypospolitej Pierwszej. Zanim niedawno oświatowy spadkobierca Stanisławowego KEN uczcił wreszcie tym medalem emerytalnego licealnego profesora Kolman był zwyczajnie niezwykłym rusycystą (przypadkowym), druhem, kuratorem, wybranym przewodniczącym pierwszej wojewódzkiej nauczycielskiej „Solidarności” itd. Oraz jest nadal prywatnie przyjacielem wielu, biblijnym Starszym inteligentnego środowiska, ostoją skromnej elegancji bytowania w zaangażowaniu, za chwilę 90-latkim, dziadkiem, wdowcem... Niewrażliwy na pozory zaszczytów tytułowy medal pokazywał jednak z pewną satysfakcją, może nawet dumą. Na przeciwnym krańcu skali postaw ludzkich, w tym instytucjonalnych, dyskretnie zwykle przemilczał nie tak rzadkie przejawy niegodnego omijania niewygodnego nazwiska i postaci. O czym dłuższa opowieść.

Częstochowski dom z ogrodem przy ul. Kościelnej opuszczony przez żonę Wiesię równo trzydzieści lat temu w okolicznościach bardziej niż dramatycznych, nie dla jednej chwilowo bezdomnej osoby stawał się godnym tego miana przytuliskiem, ostatnio trzech pokoleń Ukrainek. Jakiż to dramat się rozegrał w styczniu 1993 roku, apogeuem konfliktu kuratora Oświaty instytucjonalnej z oświatą związkową w jej części spod znaku „Solidarności”, której pierwszemu pokoleniu przewodniczył w latach 80/81, niesłusznie zwanych karna-

wałem. Pokolenie drugie, „powojennie” rewolucyjne, hegemon polityczny początku lat 90-tych, protestowało przeciw jego metodzie ewolucyjnego przekształcania kadr oświatowych m. in. w ramach konkursowego obejmowania dyrekcji szkół w gestii gminnie prawdziwej samorządności na podstawie kompetencji uznanych przez komisje, a nie poza konkursowego, dyskwa-



Włodzimierz Kolman

lifikującego jakoby kryterium epizodu oportunistycznej przeszłości w tzw. PZPR. Agresja protestu posunęła się wtedy aż po atak bojówki na ów dom, w którym umierała żona Kuratora, i to pod jego tamże nieobecność. Agresja trwała niż – eufemistycznie – wybryk, którego się wstydzą ówczesni liderzy – pożałuj, Boże – solidarnościowi. W 1996 roku Tadeusz Wrona, niespodzianie – i też „solidarnościowo”! – były już prezydent Częstochowy pierwszej i drugiej kadencji, zaprosił dyplomatę (po zjeździe

z placówki) do publicznej konferencji o „gminnej racji Stanu”, do której wzorca dostarczyły prelegentowi lokalnie trzy nazwiska: oprócz prezydenta Wrony i pani Małgorzaty Nowak, dyrektor Ośrodka i Festiwalu Gaude Mater, właśnie Włodzimierza Kolmana, kuratora 1990-1996, od kilku tygodni też byłego. Miejscowy tygodnik „Gazeta...” w dłuższej informacji o konferencji wymienia owe wzorcowe nazwiska, ale bez Kolmana. Na moją interwencję redaktor tejeż, dziś aż warszawski wiceminister i lokalny numer jeden partii władzy, odpowiada: o tym nazwisku można żle albo wcale. Innymi słowy w rzekomo niezależnych mediach III RP peerelowski „zapis”: nie ma nazwiska, nie ma osoby. W 1997 roku, w nowych okolicznościach – i ambicjach, wówczas AWS-owsko – politycznych redaktora, nb. których opisu krotochwilnego szantażu podaruję czytelnikom „Śląska” – krótka notatka przeproszała i przywracała komu co trzeba było. *Causa finita?* I tak, i nie.

Zarówno ów głupi „zapis” jak i agresja na mir domowy ze zgonem niewinnej ofiary byłyby dla pokoleń XXI wieku dowodem na to w jakich emocjach kształtowały się początki Rzeczypospolitej, na której docelowym sukcesie zależało licealnemu wychowawcy nie tylko od lat 70. (= gierkowskich,

powiedzmy dla chronologicznego ułatwienia). Boć nie ma innego jej celu niż młodzi odpowiednie wychowanie, rzekłoby się Staszicem. Gdy w jednym historycznie szacownym liceum rusycysta Kolman nie może przewalczyć idiotycznie partyjnego dyrektora przechodzi z co najmniej dziesiątkiem podobnych Mu wychowawców do innego liceum do dyrektora Drzazgi, którego powszechnie uznawane dyrektorowanie zakończy, niestety, młodzieżowy wybryk – dla jednych patriotyczny, dla innych idiotyczny, dla trzecich

provokacyjny – „Katyń pomścimy” w kwietniu 1980 wymalowany na ścianie tzw. megasamu przy najruchliwszym skrzyżowaniu i w najczęstszym – przystanek tramwajowy – miejscu spotkań „na kwadratach”, na dodatek w sąsiedztwie „czerwonego placu” czyli ówczesnej siedziby samowwanczej partyjnie władzy. O represjach dla wyczynowców i rodziców, nawet o ich nazwiskach do dziś zapadło znamienne milczenie.

„Trauguttowi”, prawie równolatkowi Rzeczypospolitej, wychowankowie zafundowali publikację „Notatek dla Stulatki”; z dwustu stron jedną czwartą wypełniają zwierzenia co najmniej dwadziściorga Kolmańczyków czyli szczepu pod zobowiązującym patronatem bohaterów powstania styczniowego, którego wielu inicjatywom druh instruktor nadawał formę do przełknięcia dla t. zw. instancji partyjnych i, oczywiście, dodawał ducha, gdy tegoż zaczynało brakować w ówczesnej quasi powszechnej atmosferze soft power, miękkiego szantażu wedle aluzji wicie rozumiecie. W 1978 roku druh Włodzimierz ustąpił. Dlaczego? Doszło w liceum do typowego, niestety, zebrań: na zaskoczonych pełnoletnich maturzystach i wychowankach Kolmana, spośród nich wielu nominalnych instruktorach ZHP miejski aktywista rozdałszy t.zw. deklaracje członkowskie PZPR wymuszał (standardowymi wówczas groźbami, np. „się dostaniem” na studia) zapisanie do jego „organizacji”. Gdy ów wyszedł wszedł szczepowy, na ich zdeorientowane pytania „co robić” odpowiedział: nie należałem, nie należę i nie będę należał. I wyszedł. Tak o tym fakcie napisała Małgorzata Kulawiak Jackowska (nb. wieloletnia dyrektorka tego liceum) dodając w swojej „notatce”: o ile wiem nikt z tej grupy w szeregi partii nie wstąpił, a na studia dostali się wszyscy. Spośród nich moralnie sprawna dorosła przedsięwziętość w odpowiedniej relacji sił i zamiarów w większości pozostałaby dumą prof. druha, którego dzienna porcja telefonów i wizyt wychowanków „u Włodka” (z trzecim już, bywa, pokoleniem...) osobę trzecią, jak piszący te słowa, wprawia w zdumiony – i zaduma-



ny...– zachwył. Gdyby nie jedno „ale...”, troska inaczej: oprócz jednego nie biorą udziału w życiu publicznym, co próbował – albo się łudził – nomen omen zaszczyścić na dorosłe życie swojemu szczepowi. Owo rozczarowanie – i poczucie nieprzystawania do pokoleń XXI – modelu tradycyjnego inteligenta odbiera wolę bezsensownego, jak mawia, trwania prawie 90-letniemu przyjacielowi, którego przy znośnym zdrowiu podtrzymują utytułowani wychowankowie chyba wszystkich specjalności medycznych w Kraju.

Nie takiemu jak niniejsze skrótove opisanie przynależy diagnoza pokolenia entuzjastów lat 70. złamanego bądź skorumpowanego przez lata 80. spod znaku tzw. stanu wojennego, który jednakże w niczym nie naruszał filarów takich jak Kolman. Tylko jego, odważnego inaczej, stać było na przywiezienie, jako pierwszego i wtedy jedynego, matki Zofii do internowanego syna, Jarka Kapsy do bieszczadzkiego Łupkowa (nb. skąd wyszedł jako ostatni, razem ze śląską elitą), a potem dyskretne wspomaganie rodziny, gdy matka przedwcześnie umierała przegrywając walkę z nowotworem. Solidarność prawdziwa, drobnych (!) gestów, na które wtedy (!) stać było tylko jednostki. Podobnie byłoby z odtwarzaniem entuzjazmu oraz inwestowaniem samego siebie w kształt i treści wielkiej zmiany roku 1990. Wybrany (!) Kurator buduje, zakłada szkoły (m.in. tzw. kolegium nauczycielskie), fundację, wydawnictwo, ale przede wszystkim wywozi oświato-

we kadry w świat. Głównie dzięki emigracyjnym wychowankom realizuje 13 studyjnych podróży europejskich i zaatlantycką, które mają realnie, doświadczalnie naprawiać odkształconą mentalność pedagogów. Jednym z owoców tej koncepcji byłaby programowa dwukierunkowość nauczycieli, od lat skutecznie stosowana w niejednym kraju.

Oczywiście nie jest sam. Wyżej podkreślone odtwarzanie entuzjazmu towarzyszy częstochoowskiej samorządnej i katolickiej ofensywie „roku owego” 1991 i jej apogeum – sierpniowym Dniom Młodzieży. Jarosław Kapsa podjął na łamach „Śląska” próbę przypomnienia tamtych wyzwiań. Do kuratora Kolmana dopiszmy co prędzej – np. do Rady Fundacji – wojewodę Jerzego Gułę (kandydata Unii Likatu Katolickiego, przysłówiowego języczka u solidarnościowo-samorządowej wagi) oraz posłankę Barucką, z którą dziesięć lat wcześniej Kolman reprezentował oświatową „S” ku swojemu – rusycysty! wtedy..., a dzisiaj? – zaskoczeniu. Ale przede wszystkim ks. Marianna Dudę, nie dość że pierwszoplanową postać ówczesnego lokalnego Kościoła, to akuszerza cywilnych „świeckich” faktów i postaci, w których Kościół, prawdziwy podmiot dobra Rzeczypospolitej upatruje tu i teraz najważniejszych decyzji i rozwiązań. Na marginesie dodajmy: tak ujętej odpowiedzialności Kościoła i temu akurat omniobecnemu akuszerowi Zmiany należałoby się osobny tekst. Niemniej w Kolmanowym zaskoczeniu i... zauroczeniu trwajmy nadal.

Kosy

Z małżeństwem Kosów znaleźmy się
od dość dawna, nasze domy gniazda
ukryte w zielonych dłoniach
pełnącej po murze hortensji

Dramat jaki się wydarzył –

Z dyskretną gracją drobne ciała
Kosów wnikały na noc w gęstwę liści
– zawsze pierwszy pan Kos
i dopiero po chwili żona, Ptaszka –
żeby o świcie sfrunąć na trawnik:
dwie dziobate kule w kolorze błota
chytřejsze od kota którego obecność
padła cieniem na życie Ogrodu

Znajomość nasza z Kosami
nacechowana początkową nieufnością
i wzajemnym podglądaniem się ukradkiem
przerodziła się w nienachalną przyjaźń

myślę o podobieństwach –
myślę o dzieciach wylatujących
z azylu gniazda w stronę własnych orbit
o samotnych porankach rodziców
i pociesze wygrzanych słońcem
letnich wieczorów

Dlatego dramat jaki się wydarzył
ta kolizja Ptaszki z szybą
umyła poprzedniego popołudnia:
szyba imituje powietrzny bezkres
a jednak odcina, okno tylko udaje
że zaprasza na pokoje
a to jest zaproszenie
w całkiem innym wymiar

umyte okno
trumna dla ptaka
powiedziała ludzka żona –

dramat jaki się wydarzył
zaskoczył nas i poruszył

trzeba było widzieć pana Kosa
jak zastygł w bezruchu przy trupie
swojej Ptaszki stał tak do wieczora
obojętny na resztę świata rajski
ogród nadpsuty zjawieniem się kota

Zajęliśmy się pochówkiem Ptaszki
a pan Kos zniknął nam z oczu
niepokoją rozrzucone
w Ogrodzie ptasie pióra

Twarze Księżniczki

czekam, czy zjawią się jej liczne twarze?
z głową w poduszce poranka
czekam, czy już mała księżniczka?
to jej stopy, kłaśnięcia bosych kroków
pieszczota nagiej zieleni wklęśnięcia
zdeptanych traw powolne powroty
czekam, pod łopatką pięć pieśni
i w twarz uderzenie kolorów

czekam, jej bliski śmiech nabrzmiewa
w palcach, podchodzi pod sam próg
chce do gardła, już tylko blizna – –
pobrząkuje przez uchylonych okien
monitor, zapyta czy pamiętam
przecież nigdy nie zapomnę naszej łąki

czekam, odgłos żabek, wiatr rozsuwa
firanki, otwiera widok – –
jej liczne twarze, powietrzne
kleją się do rzęs jak plakaty
nakładają na siebie, blisko, odejdą

liczne twarze księżniczki
są odbiciem w szybie pamięci
nie płynie w nich krew pod skórą
pali mnie ich pusty dotyk

.....
.....
najlepszy był jednak tomik wierszy
który napisałem krótko po swojej śmierci
może dlatego że jeszcze tak dobrze
pamiętałem klimaty ziemskie i już wiedziałem
o wszystkich rzeczach nieważnych
pod moją ręką stygły w kształt jak zwierzęta
chwile ważne, o tak, wszystkie bardzo ważne

pamiętam że książkowe mole od razu
pożreć chciały wszystkie linijki mojej
książki którą napisałem parę miesięcy
po swojej nagłej śmierci
literacka publiczność
rozsmakowała się w słowie,
a było to moje ciało które
jej na pamiątkę dałem,
więc na spotkania z artystycznym
moim duchem przychodziły tłumy
ludzi, jak ja nieobecnych . . .

Jeśli życie... (1)

a jeśli życie to piosenka? *Jeśli*,
jakkolwiek nieoryginalnie? pięciolinia
którą na przybrzeżnym piasku narysował,
nad piątą najwyższą krzykliwą oktawą
w powietrzu ciężko zawisły mewy
ale od spodu do pierwszej linii
przywarły usta nieobecnych –
duża pauza

w jaki sposób rozmnażają się umarli?
plotką, w zapisanych kartkach, niekompletnie?
jeżeli życie piosenką – wystarczy się nastroić
ono nawet spod cmentarnej płyty
do nas zanuci i jak na dany znak
z grobów wybiegną czarne żuki –

a jeśli życie to nie piosenka ale worek
w którym zamknięto zdziwioną twarz, dłonie
górze, gałąź? a jeśli jednak piosenka
co przelatuje po pięciolinii jak pociąg?
I czy nie łotrem jest gdy w biegu otwiera
drzwi i worek z piosenką w ciemną noc
jak zakrwawioną odzież wyrzuca?

I czy możliwe jest że to dróżnik
za każdym razem myli semafony
i pięciolinia w kierunkach wielu
krzyżuje się, w poziomie, w pionie,
znikąd stąd dotąd i zostaje tylko
ogromna sieć wzdłuż i wszerz?

rozmowy z umarłymi w ogóle się nie kleją
zbyt różni się w esencjonalnych szczegółach,
powietrznie jak złapana ryba otwieram pyszczek

Jeśli życie... (2)

a jeśli, kolejny banał, życie: płomień świecy?
spójrz jak się zestarzał nam stary, zimnym blaskiem
płonie w świecie który ogarnęła zimna zorza, *ciekawe*
czym się tak zmęczył, słabość podcina mu kolana
w drodze, pada na fotel: ciężki worek i pod powieki
sypie piasek czas, zasypia, zużył się stary

jak świece zapłonowe we fiatuniu które musiał
wymieniać co jakiś czas, to auto jakby żyło
więc i na nie przyszedł raz kres w ostatnią drogę
na własnych kołach pojechał fiatunio
a stary patrzył jak rozbierają go z blach
do gołych resorów i jeszcze nie myślał
że i on kiedyś, oj śmieszny stary
niezgrabny, kwadratowy sprzęt, jak

olbrzymia maszyna do pisania *optima*, na której
pisał scenariusze swoich małych bitew,
już niepotrzebny, walnął się na fotel i znowu zasnął,
szary jakiś taki jak stuletni film w barwie sepii

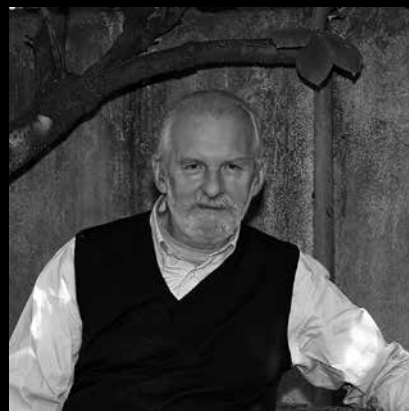
więc jeśli życie płomieniem jest, różą lub salwą
zorzy, czemu nie spłonie tylko szary siedzi
w białej pułapce ścian mieszkania
gdzie palniki ciszy brzęczą jak blachy
złomowanego fiatunia? *powiedz, stary ...*

Sprostowanie. Informujemy, że autorem cyklu wierszy pt. *Pan i pani Fishowie*, zamieszczonych w numerze kwietniowym na stronach 40-41 jest **John Surowiecki**, a nie **Henryk Cierniak**, jak podano. Ten ostatni jest autorem przekładu z języka angielskiego. Za zaistniałe niedopatrzenie przepraszamy zarówno Autora, jak i naszych Czytelników.

Piotr Gawron

21 stycznia 1943 – 11 stycznia 2023

JAN COFAŁKA



11 stycznia 2023 roku w Warszawie zmarł prof. Piotr Gawron, zadomowiony na Saskiej Kępie Ślązak, urodzony 21 stycznia 1943 roku w Bytomiu. Był wybitnym rzeźbiarzem małych form, portretu i medalierstwa, nauczycielem akademickim, wspaniałym i ciepłym człowiekiem. To on stworzył „Ślązaczkę” – Nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie.

Już czasie jego dzieciństwa, spędzanego na Śląsku, zauważono, że mały Piotr pięknie rysuje, wykazując się niepospolitymi zdolnościami plastycznymi, które nabył – jak twierdzono w rodzinie – po dziadku kowalu, potrafiącym wykuwać dzieciom zabawki z metalu. Namówiono więc Piotra, by zdawał do znanego Państwowego Liceum Technik Plastycznych w Zakopanem. Skończył je w 1966 roku. Tam zafascynował się sztuką dwóch wybitnych rzeźbiarzy: Władysława Hasióra i Antoniego Rząsy, którzy ukształtowali jego gust artystyczny i wybór zainteresowań. Rozwijał je na Wydziale Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie w latach 1966–1972. Studia ukończył z wyróżnieniem w pracowni prof. Zofii Dembowskiej. Następnie, już po zdobyciu złotego medalu na V Festiwalu Sztuk Pięknych w Warszawie, pozostał na uczelni, tutaj odkrył w sobie pasję pedagoga, prowadzącego studentów do sukcesów. Sam w swej twórczości preferował rzeźby kameralne, portretowe o oryginalnej symboliczno-groteskowej wymowie oraz medalierstwo. Z czasem zdobywał za swoje prace znaczące nagrody: złoty medal na VI Biennale Małych Form w Poznaniu (1986), wcześniej II nagrodę IV Biennale „Sport w sztuce” w Barcelonie, I nagrodę na Międzynarodowym Biennale Medalierstwa Unikatowego Warszawa 1988, czy też Grand Prix na Biennale Małych Form w 1989 roku także w Warszawie. Prof. Piotr Gawron jest również autorem pięknego medalu „Za-

służony Kulturze Gloria Artis”, jaki zaprojektował w 2004 roku, a otrzymał go w 2015 roku w uznaniu za usług dla kultury polskiej.

Gdy w 1989 roku w Warszawie powstało Towarzystwo Przyjaciół Śląska i poszukiwano propozycji dla ustanowienia dorocznej nagrody, wyrażającej „najwyższe uznanie osobom szczególnie zasłużonym dla Śląska, pochodzącym z tego regionu kraju, lub związanych z nim wieloletnią działalnością i uhonorowaniem ich wkładu w ogólnonarodowy dobro”, za sprawą innego pochodzącego ze Śląska, wybitnego rzeźbiarza, prorektora ASP – Jana Kucza, działacze Towarzystwa trafiają do Piotra Gawrona, który zaproponował na tę nagrodę rzeźbę popiersia dziewczyny w stroju rozbarskim – z jabłkiem w wyciągniętej dłoni, symbolizującej fakt, że Śląsk zwykle więcej dawał niż otrzymywał w zamian. Popiersie to początkowo nazywano „Karolinką”, lecz ostatecznie przyjęto, że jest to „Ślązaczka”. Stała się ona od 1995 roku, coroczną nagrodą Towarzystwa Przyjaciół Śląska. Co roku wręcza się jedną lub dwie „Ślązaczki”, w zależności od decyzji Kapituły Nagrody. Odbywa się to bardzo uroczysto podczas Święta Ślązaków w Warszawie, w przededniu kolejnej rocznicy III Powstania Śląskiego. Uznano bowiem, że jest to najbardziej godna i znacząca data z najnowszej historii Śląska.

Na podstawie marmurowej rzeźby umieszczana jest tabliczka z imieniem i nazwiskiem laureata oraz rorkiem jej przyznania. Dołączany jest także dyplom z decyzją Kapituły o jej przyznaniu. Samo zaś jej wręczenie poprzedzane jest laudacją skierowaną do laureata przez któregoś z jego przyjaciół. Rzeźba wraz z marmurową podstawą waży około 12 kg, co stanowi pewien problem przy jej wręczaniu, o czym zawsze muszą pamiętać uczestnicy ceremonii.

Profesor Piotr Gawron – postawny i przystojny mężczyzna z białą już,

staranną fryzurą i brodą, wspólnie z uroczą czarnowłosą żoną Ewą, regularnie pojawiał się na uroczystościach wręczenia nagród Towarzystwa tym bardziej, że musiał przecież przygotować kolejne jej egzemplarze. Okazało się, że modelką do rzeźby Ślązaczki była jego żona Ewa. Od 1995 roku Piotr Gawron (od 1994 roku profesor zwyczajny) do nieoczekiwanego odejścia wykonał ich już czterdzieści cztery. Pierwsze „Ślązaczki” trafiły w ręce: światowej sławy kompozytora Henryka Mikołaja Góreckiego i twórcy śląskiej trylogii filmowej Kazimierza Kutza. Kolejne dla nagrodzenia dalszych prawdziwych „tuzów śląskich”. Wymieńmy z nich kilkunastu: prof. Jana Szczyńskiego, prof. Stanisława Hadyń, prof. Jana Miodka, Gerarda Cieślika, Franciszka Pieczkę, Tadeusza Kijonkę, prof. Franciszka Kokota, senator Marię Pańczyk-Pozdziej, prof. Waldemara Świerzego, Jana Goczoła, Piotra Palecznego, Wojciecha Kilara, prof. Dorotę Simonides, abp Alfonsa Nossola, Krystynę Szostek-Radkową, prof. Andrzeja Bochenka, Otylię Jędrzejczak, abp. Damiana Zimonia, Lidie Grychtołówną, Olgierda Łukaszewicza, prof. Franciszka Marka, Adama Makowicza, Jerzego Buzka, Krystynę Loskę, prof. Stanisława S. Nicieję, czy też światowej sławy tenora Piotra Beczałę.

Profesor zawsze z zadowoleniem uczestniczył w Świętach Ślązaków, odbywających się na Zamku Królewskim, w pięknym Zamku Ostrogskich, a potem w Galerii Porczyńskich w Warszawie gdzie wręczano jego dzieło znakomitym osobowościom. Wędrowało ono potem z nimi do ich domów, nawet do Teksasu. Po nieoczekiwanym odejściu Profesora powstał problem, co dalej z jego „darem serca”? Ci, co otrzymali jego „Ślązaczkę” mają ją na wieczną pamiątkę, nam pozostaje pamiętać, że swym talentem i miłością stale dzielił się z rodzinnym Śląskiem. Za to mu dziękujemy. ■

Zofia Kossak. *Mulier fortis*

23 marca w TVP Historia odbyła się telewizyjna premiera filmu dokumentalnego w reżyserii Adama Kraśnickiego, poświęconego Zofii Kossak. *Mulier fortis. Kobieta mężna* jest najnowszą z filmowych prób opowiedzenia o wyjątkowej osobie, której biografia mogłaby posłużyć za kanwę wieloodcinkowego serialu. Pomysł nakręcenia filmu o Zofii Kossak dojrzał w reżyserze stopniowo. Zarówno osoba, jak i miejsce nie były mu obce. Wszak Górki Wielkie leżą na trasie z Górnego Śląska do Brennej, którą w celach turystycznych pokonują w sezonie co weekend tysiące turystów, mijając po drodze kierunkowskaz do muzeum. Pierwsze przymiarki do tematu Zofii Kossak rozpoczął już w 2020 roku, od przygotowania krótkiego materiału dla TVP Katowice. Faktyczne prace poprzedziły rozmowy z dr. Andrzejem Sznajderem, dyrektorem oddziału katowickiego IPN, instytucji, która została partnerem TVP Historia przy produkcji filmu. Jesienią 2021 roku Adam Kraśnicki z żoną odwiedził muzeum pisarki w Górkach Wielkich. Wizyta ta prawdopodobnie przypieczętowała ostateczną decyzję, choć to swojej małżonce reżyser zawdzięczał największą motywację do działania, aby w toku dyskusji na temat szeroko pojętego feminizmu, nakręcić film poświęcony wyjątkowej kobiecie.

Reżyser podjął się opowiedzenia o Zofii Kossak, nie rezygnując z tradycyjnej narracji, ale ubogacił ją, zapraszając do współpracy jedenaście osób, z których większość nie znała pisarki osobiście, ale na wszystkich jej postać wywarła mocny wpływ. W tym gronie są zarówno wnuki Zofii Kossak – Anna Fenby Taylor i prof. François Rosset, literaturoznawcy prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, dr Joanna Jurgała-Jureczka oraz prof. Ryszard Koziołek, duchowni – abp senior metropolii górnośląskiej dr Damian Zimoń oraz ks. prof. Jerzy Szymik, historycy – prof. Jan Żaryn i dr Andrzej Sznajder, reżyser prof. Krzysztof Zanussi oraz poetka i dziennikarka Barbara Gruszka-Zych. To oni opowiadają biografię pisarki, a każdy wątek, choć nagrywany w innym czasie i miejscu, dzięki umiejętnemu montażowi, płynnie łączy poszczególne wypowiedzi. Składają się one na obraz kobiety wyjątkowej, ale nie tworzą jej pomnika.

Wydarzenie zgromadziło rzeszę osób zaangażowanych w powstanie filmu, ale również tych, którym



Zofia Kossak jest szczególnie bliska. Od razu po katowickiej premierze w lokalnym środowisku pojawił się pomysł pokazania filmu w Górkach Wielkich, miejscu szczególnie drogim dla pisarki. Okazją do przygotowania projekcji stała się organizacja uroczystości 55. rocznicy śmierci Zofii Kossak, która ze względu na fakt, że 9 kwietnia wypadł w tym roku w Niedzielę Wielkanocną, została przeniesiona na 5 kwietnia. Wydarzenie zostało zorganizowane we współpracy Oddziałowego Biura Upamiętnienia Walk i Męczeństwa katowickiego IPNu, Starostwa Powiatowego w Cieszynie, Gminy Brenna oraz Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie, którego oddziałem jest Muzeum Zofii Kossak-Szatkowskiej. Uroczystość rozpoczęła się od modlitwy i złożenia kwiatów na grobie Zofii Kossak i jej męża Zygmunta Szatkowskiego na cmentarzu w Górkach Wielkich. Od zeszłego roku miejsce spoczynku pisarki jest oznaczone przez IPN znakiem pamięci „Grób weterana walk o Wolność i Niepodległość Polski”. Następnie zebrani przejechali do Dworu Kossaków w Górkach Wielkich. Dzięki pomocy Ośrodka Promocji Kultury i Sportu w Brennej udało się wypożyczyć profesjonalny projektor, który pozwolił na wyświetlenie w odpowiedniej jakości filmu *Mulier fortis. Kobieta mężna*. Projekcja odbyła się w miejscu dawnego salonu Kossaków, gdzie przed II wojną bywali znani literaci i artyści, co sprawiło, że dla uczestników było to wyjątkowe przeżycie. Zwieńczeniem uroczystości była dyskusja z udziałem reżysera Adama Kraśnickiego oraz prof. Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz – literaturoznawczynie i propagatorki twórczości Zofii Kossak, poprowadzona przez Lidę Dudkiewicz, wieloletnią redaktor tygodnika „Niedziela”. Rozmowa była okazją do zadania reżyserowi pytań o źródło zainteresowań Zofią Kossak, genezę powstania filmu, kulisy realizacji czy klucz doboru występujących osób. Dzięki niej można było się również dowiedzieć, że roboczy tytuł filmu był zupełnie inny, natomiast właściwy został zaczerpnięty z wypowiedzi abp seniora dr. Damiana Zimonia, wielkiego admiratora twórczości Zofii Kossak, a szczególnie książki *Nieznany kraj*. Profesor Heska-Kwaśniewicz wyznała przy okazji, że jej książka o Zofii Kossak – *Zwyczajna świętość* miała początkowo również nosić tytuł *Mulier fortis*, a więc to określenie było niejako pisarce przeznaczone. Rozmawiano również o sposobach przywracania nazwiska i osoby pisarki do szerszego obiegu społecznego, m.in. poprzez wprowadzenie niektórych jej książek do kanonu lektur. W toku dyskusji reżyser Adam Kraśnicki poruszył też problem słabo zaznaczonego wątku Zofii Kossak w narracji tak ważnych instytucji jak Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN w Warszawie, Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku czy Panteonie Górnośląskim w Katowicach, postulując konieczność wprowadzenia w tej kwestii poprawek, zwłaszcza w niedawno otwartym Panteonie. Padło też wiele ciepłych słów na temat działalności i funkcjonowania Muzeum Zofii Kossak-Szatkowskiej w Górkach Wielkich, które jest jedyną w Polsce placówką poświęconą nie tylko samej pisarce, ale i dotyczącej całej rodziny Kossaków, wyjątkowo zasłużonej dla rodzimej kultury.

Festiwal artystów bielsko-bialskich

BIELSKO-BIAŁA. Żywiółowa skrzypaczka Dominika Jurczuk-Gondek z bielskiej formacji country „Grupa Furmana” oraz nasz redakcyjny kolega, Zbigniew Lubowski, znany z wielu publikacji o tematyce muzycznej, zasiadają wspólnie w jury **II Festiwalu Piosenek Bielsko-Bialskich Artystów**. Organizatorzy z Fundacji Wspierania Talentów Dzieci, Młodzieży i Dorosłych WŁOCZYKIJE w Bielsku-Białej stawiają sobie za cel popularyzowanie muzycznego dorobku Marii Koterbskiej, Urszuli Dudziak, Renaty Przemek, Dominiki Gawędy, a także Jacka Lecha, Klaudiusza Magi, Zbigniew Preisnera, Bohdana Smolenia i innych sławnych piosenkarzy i kompozytorów o beskidzkim rodowodzie. Uroczysta gala festiwalowa odbędzie się **4 czerwca** w sali Bielskiego Centrum Kultury im. Marii Koterbskiej. Warto przypomnieć, że bielska instrumentalistka z popularnego zespołu country była jedną z bohaterek materiału reporterskiego „Country na szczycie”, zamieszczonego we wrześniowym wydaniu „Śląska” (nr 9/2022).



Wielkanocne kawalkady

GLIWICE. Nie gaśnie średniowieczna tradycja konnych procesji Wielkanocnych na Górnym Śląsku, zwanych gđzieniegdzie „krzyżokami”. Do najślawniejszych i być może najstarszych należy procesja w Ostropie – dawnej wsi, a od roku 1975 dzielnicy



fot. Z. Lubowski

Gliwic (na zdjęciu). Odnotowaliśmy podobne kawalkady również w Biskupicach, w Kościeliskach, w Bienkowicach, w Raciborzu-Sudole, w Żędowicach, w Zawadzie Książęcej i – bardzo szumnie – w Pietrowicach Wielkich. Ta lista nie jest kompletna i chyba się będzie rozwijać, bo tradycja Wielkanocnych procesji konnych już została wpisana na Krajową Listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego. Kawalkadę kończą zazwyczaj lokalne imprezy o charakterze świeckim. Nawet... wyścigi konne!

Małżeńska komedia pomyłek

GLIWICE. W primaaprilisowy wieczór zaserwowano widzom zgromadzonym w prywatnym teatrze Wit-Wit w Gliwicach obfitą porcję rozrywki scenicznej. Zabawna komedia małżeńska „**Jedyna miłość Oskara**” w reżyserii Beaty Deutschman dostarczyła publiczności sporo okazji do śmiechu. Fabuła przybierającego chwilami charakter zwiariowanej farsy widowiska na podstawie scenariusza Ewy i Stanisława Witomskich jest opowieścią o pełnej zaskakujących perypetii podróży poślubnej pewnego adwokata i jego zrzędlivej, choć bardzo zazdrosnej małżonki. Przedstawienie od 11 lat nie schodzi z afisza, ciesząc się nieustającym zainteresowaniem widzów. Rzecz rozgrywa się w środowisku artystycznym. Dwie prowincjonalne aktorki – Ilona i Monika – chcą za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę reżysera filmowego. Mylą jednak Jana Krygiera z jego adwokatem Oskarem, co staje się przyczyną dokuczliwych powikłań. Kluczową postacią osobliwej komedii pomyłek wydaje się Małgorzata, żona Oskara, dysponująca groźną bronią w postaci krewkiego ojca, wyposażonego w sztucer służący mu do polowań na jelenie. Atutem spektaklu są wyjątkowo rozrywkowe dialogi sceniczne. Świetne kreacje aktorskie Oskara (Kamil Bochniak), gadatliwego barmana hotelowego (Grzegorz Cinkowski), Małgorzaty (Beata Deutschman) i Ilony (Ewa Witomska) uwypuklają humor widowiska. To bez wątpienia repertuarowa perełka teatru Wit-Wit, jednej z kilku działających na Śląsku prywatnych placówek sztuki scenicznej. /luz/



fot. Materiały Prasowe

Stanisław Witomski i Beata Deutschman w scenie z „Jedyniej miłości Oskara”.






Miejska Biblioteka Publiczna im. G. Daniłowskiego w Sosnowcu

19 SOSNOWIECKIE DNI LITERATURY

15-21
maja
2023



© Katarzyna

 mbpsosnowiec  mbp_sosnowiec www.biblioteka.sosnowiec.pl  bibliotekasosnowiec  mbpsosnowiec  mbp_sosnowiec



PATRONAT HONOROWY
Prezydent Miasta Sosnowiec
Burmistrz Sosnowiec
Jednostki i organizacje społeczne



MARCIN KRUPA – PREZYDENT MIASTA KATOWICE ZAPRASZA

JOHANN STRAUSS

ZEMSTA NIETOPERZA

OPERETKA W 3 AKTACH / TEKST POLSKI: JULIAN TUWIM



20/21.05.2023 • GODZ. 18.00
KATOWICE MIASTO OGRODÓW • SALA KONCERTOWA

REŻYSERIA: GRZEGORZ ECKERT
KIEROWNICTWO MUZYCZNE: JUREK DYBAŁ
SCENOGRAFIA I KOSTIUMY: KATARZYNA PŁASKOWICZ (ASP KRAKÓW)
CHOREOGRAFIA: ARTUR FREDYK
FORTEPIAN: MATEUSZ LASATOWICZ

ORKIESTRA MASO Z CHARKOWA, JUREK DYBAŁ - DYRYGENT

Występują studenci Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach

EISENSTEIN Michał Ryguła
ROZALINDA Marta Jakubowska / Monika Radecka
FRANK Kacper Kostrzewski
ORLOFSKY Victoria Lerche-Kurpas / Dominika Noskiewicz / Artur Plinta
ALFRED Piotr Brożek
DR FALKE Martin Filipiak / Michał Zielonka
DR BLIND Paweł Bielawski / Jakub Borgiel
ADELA Adriana Garstka / Anna Koehler / Kamila Wawrzeńczyk
FROSCH Paweł Bielawski / Jakub Borgiel

BILETY: 30 ZŁ

(50% ZNIŻKI Z KATOWICKĄ
KARTĄ MIESZKAŃCĄ)
DOSTĘPNE NA: INTERTICKET.PL,
KUPBILECIK.PL
ORAZ W KASIE KMO.



Patronat
honorowy Prezydenta
Miasta Katowice
Marcina Krupa



Partner:



Patronat medialny:



Sponsor:



MIASTO-OGRODOW.EU